

CAPREÄ I ROMA.

OBRAZY

z pierwszego wieku

przez

J. I. Kraszewskiego.

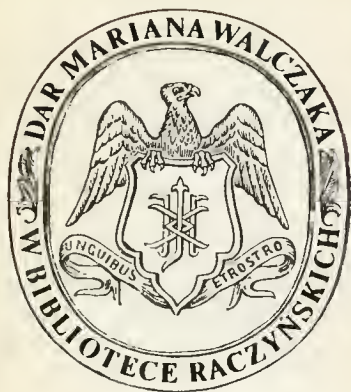
4^{ty} Tomy we 2^{ch}.

Tom I.

WILNO.

NAKŁADEM I DUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1860.



CAPREÄ I ROMA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CAPREÄ I ROMA.

OBRĄZY

z pierwszego wieku

PRZEZ

J. J. Kraszewskiego.

4^{ty} Tomy we 2^{ch}.

Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.
Virgilius. Ecl. Pollio.

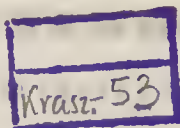
Tom pierwszy.



W I L N O.

NAKLADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 6 0.



I

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno, 8 Marca 1860 roku.

Cenzor, PAWEŁ KUKOLNIK.



T. 1- 120

1986 D 36

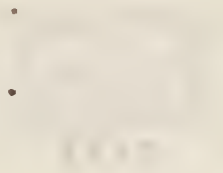
P A Ń U

STANISŁAWOWI JASIŃSKIEMU.

w Warszawie

przesyła w dowód szacunku i przyjaźni

Autor.



STATIONERY AND PRINTING

—continued—



SŁÓWKO WSTĘPNE.

W Capri, na zwaliskach willi Tyberyuszowych, powziąłem pierwszą myśl tego opowiadania, które (przejawszy się epoką, na gruzach jój widomych jeszcze), ułożyłem ze wszelkich dostępnych mi źródeł, z tą przyjemnością, jaką sprawia badanie odległych a mało nam znanych czasów i pełnych życia postaci, których imiona brzmią jeszcze do dziś dnia wspomnieniami niezatartymi. Nie przedsiębrałem powieści; chciałem tylko w szeregu obrazów charakterystyczniejszych odmalować tę chwilę, dla całej ludzkości stanowczą, która dzieliła dwa zupełnie odmienne światy, dwie wielkie epoki żywota dziejowego. Nie ośmieliłem się też porwać na historję, którą już raz skreśliło energiczne pióro Tacyty z siłą niezrównaną.

Z dzisiejszego naszego stanowiska, te pierwociny chrześcijaństwa, wśród rzymskiego świata, przedstawiały mi nad wszystkie zajmujący moment, nadzwyczajnym przeciągający urokiem. Na nieszczęście, szczupła garstka imion i podań została nam z téj epoki. Akta pierwszych męczenników prawie nic nie dostarczają do tego czasu; trochę w Filonie i Józefie, w Aktach Apostolskich, w późniejszych pisarzach, Euzebiuszu, Tertulianie, w żywotach świętych i tradycjach miejscowych—oto wszystko co pozostało z téj tajemniczej chwili. Historia Kościoła w pierwszym wieku pełna jest cudów i mroku; strona téż ta obrazu naszego jest równie tajemniczą i epizodyczną... kolebkę osłania ciemność, której fantazya rozdierać nie ma prawa. Pogański natomiast świat maluje się nam jasno, z rzeczywistością ziemskich zjawisk, z najdrobniejszymi swojego żywota szczegółami, w Tacycie, Swetoniuszu, Pliniuszu, Senece, w Dionie Cassiuszu i mnogich pism nłanikach, pomnikach, napisach, odnoszących się do téj epoki. Tu znouu wybór tylko był ciężki, a artystyczne połączenie téj rzeczywistości jaskrawej z ideałami mglistymi, nieskoń-

czenie trudne. Czerpaliśmy na odtworzenie całości ze wszystkich znanych pomników, użyliśmy wszystkiego co wspomódz mogło, najwięcej jednak opieramy się na źródłach współczesnych, lub jak najbliższych epoki. Zwiedzenie miejsc dało nam gotowe tło i niemal widzenie jawne przeszłości, której tu jeszcze mnóstwo pozostało śladów żywych i wybitnych.

Chcieliśmy rzecz naszą dokonać sumiennie—przedsięwziętą z miłością prawdy, zaczętą z zapalem, rzucamy z żalem prawie, życząc czytelnikom, aby tyle znaleźli przyjemności w czytaniu tego studjum, ileśmy, kreśląc go, doznali; prosimy ich jednak, by nie zapominali, że im wcale nie obiecujemy powieści...

d. 8 Czerwca 1859
z Żytomierza.

KSIĘGA Isza.

C A P R E Ä.

I.

Wśród najpiękniejszego morza w świecie, jakby z roztopionych ulanego lazurów, pod najczystsze niebem południa, u brzegu okrytego drzewy pomarańczowemi, na których świecą wiecznie złociste owoce, leży jak olbrzymi sarkofag na grobowisku przeszłości, wyspa skalista, ostre szczyty wspinając się ku niebu, stromemi ściany kamiennemi zanurzona w wodach, przyglądająca się niedbale z jednej strony Tyrrenieńskiemu morzu, z drugiej Cumańskiej zatoce.

To Capreä uroczy kątek ziemi, oderwany od lądu umyślnie, aby swobodniej mógł dumać i sam być panem sobie. Jakże mu tam ślicznie na tej

płyicie szafirowej, gdy się cały zarumieni od zachodzącego słońca, a złociste promienie, wskroś przenikając powietrze, otoczą go aureolą jasności!

Wyspa ta stoi z daleka, jakby na straży cudnej zatoki, którą starożytni Craterem, to jest *czarą*, zwali; jak czara bowiem zatacza się kolisto i jak ona poi najpiękniejszym w świecie widokiem. Brzegi całe Crateru okrywają gmachy, portyki, świątynie i piękniejsze nad nie drzewa zielone. Na starém tém, od wieków zamieszkanem wybrzeżu, przed tysiącem ośmiuset laty jeszcze może wdzięczniej niż dziś śmiało się niebo nagromadzonym tu przepychom.

Po wzgórzach i dolinach bieleły o jasnych i purpurowych kolumnach wille rzymskie, z rozkosznymi perystylami, obwieszone winem i bluszczami, świątynie ze złocistemi dachy, kolisty amfiteatrów stopnie, zawieszone nad morzem łaźnie i kosztownym kamieniem wykładane pieczary.

Jeszcze naówczas groźny wybuch śpiącego od wieków wulkanu nie rozerwał starego Wezuwiusza na dwoje i nie wyszczerbił boków jego, gruzami i ruinami góry zasypując miasta, tamując rzeki, równając doliny.

Na wyniosłych brzegach, spokojnej góry, od dawna wystygłej, zielone rozkładały się gaje i winnice, bieleły domki i dwory rzymskich wyzwolenców i lubiących wieś starców, którym się Rzym

uprzykrzył... pod sam prawie wierzchołek ciągnęły się budowły, zielenią poprzedzielane, galerye, kolumnady i wschody, w tajemnicze zakątki wiodące.

W pośrodku zatoki, pod wzgórzem, które się wzniosłój dźwigało, między górą Gaurus a Wezuwiuszem, stara Sirene, późniejsza Parthenope, królowa Campanii wesół, wznosiła się różnobarwnemi mury swemi.

Jak najszyjnik pereł, rozsypane brzegiem morza gmachy marmurowe, tworzyły owe miasto rozkoszne, do którego wzdychali rzymscy patrycyusze, mieniając tu rzymską togę i powagę na grecką suknię i lekkość

Paleopolis i Neapolis, złączone w gród jeden, zabywszy dawnych sporów, koronowały się ogrodami i palmami, i uśmiechały do siebie, słuchając śpiewu syren, na szumiących ognistych falach przyplływających do brzegów. Wśród wspaniałych willi, połączonych z sobą, wśród ciasnych ulic, ostawionych kolumnami z afrykańskich marmurów, wśród ogródków ocienionych drzewy pomarańczowemi, rozłożystemi figami i morwami, poobwieszanemi winną macicą, gdzie niegdzie z białemi, do pasa w purpurę odzianemi słupami, o złocistych kapitelach misternych, wznosiły się świątynie Neptuna, Diany, Merkurego, Cerery, Dioskurów... Na najwyższym szczycie królowała miastom małeńka, pięknych kształtów greckich, Sacella, któ-

rą żeglarz zdala witał, obiecując ofiarę po wesoleń do brzegów przybiciu.

Około Augustale, skupiały się bazylika, fontanna, forum, teatrzyk i wotalne ołtarze i posągi opiekuńczych Bogów Grecyi i Rzymu.

Inaczéj tu wszakże było niż w starych miastach, w których od wieków Tuskuwie tylko się gnieździli i gdzieś rzucił okiem, wszędzie znać było ślad przejścia Greków, piętno jońskich wychodźców, którzy tu z sobą swą sztukę, umiłowanie piękna i nieśmiertelny wdzięk geniuszu swego przynieśli. Naczynia, z któremi niewiasty szły po wodę do marmurowych fontann i studni i te, które stały na murach u wnijsia ogrodów, posągi w wyźłobieniach domów, kolumny u drzwi skromnych budowli, miały ten kształt prosty a wytworny, ten rysunek wdzięczny a młody, których tajemnicą z Hellenów życiem umarła... Każdy słup, każdy marmuru zło-mek powiadał, że Grek go rozmierzył, ustawił, wyciosał, dobrał barwę do otaczającego nieba i ziemi.

I nie nie było wdzięczniejszego nad to miasto pół-greckie na ziemi rzymskiej, pod tém niebem cichém, ukryte w koszu liści i kwiatów, szczęśliwe, pijane, na którego horyzoncie zdala rozbiegły góry Taburnus, Gaurus, Vesuvius i dalsze Lactarius'a ramiona, błyszczały wszędzie domy, świątanicami, portykami i wieczną zielenią drzew cieni-stych.

Chciało się wierzyć, poglądając na to wybrzeże rozkoszne, na kraj pełen kadzideł i pieśni, że z wieczorną falą wypłyną białe syreny z niebieskich topieli i zaśpiewają tęskną pieśń wiodącą do morza głębi.

Jakby dla podchwycenia tego śpiewu uroczystego bóstw morza, które na świecących falach w księżycową noc widywali, już tylko majtkowie, spoczywający w łodziach u brzegu—wszędzie do koła Crateru cisnęły się aż na piasek miasteczka i ville.

Miejsca tu brakło rzymskim rozpieszceńcom, tak każdy z nich musiał tu koniecznie mieć gdzie odpocząć; łaźnie ich i domki i spelunki chłodne występowały aż w morze, niemal na falach pływając.

U stóp zielonego Wezuwiusza, strojnego w winnice, leżała, w gajach i ogrodach cała, rozkosznisia Pompeja, miasto kupców i handlarzy, wesoło używających żywota; na jej przedmieściach *Pagus Augustus Felix*, wieś wyzwoleńców, ulubieńców, sług i weteranów Augusta, była przytułkiem dworu starego Cezara.

Bliziej brzegu morskiego *Hercules Porticum*, kąpało się w samych wodach zatoki, z Retiną, portem swym, wspaniałym teatrem, bazyliką i świątyniami...

Daliej postępując ku Surrentum, miastu Syren, bielaly mury Stabii, u stóp Lactariusowej góry, kasztanowemi lasy pokrytej, rozrzucone byly domki

wesołe wśród gajów pomarańczowych, a świątynki wiejskie gdzie niegdzie podnosiły się, to przeglądając w morzu szafirowém, to na tle ciemnej gór zieleni malując...

Minąwszy Surrentum i Herkulesowy ołtarz, na najwydatniejszym cyplu ziemi od strony Caprei, na skałach wstępujących w wody cieśniny, wznosiła się świątynia Minerwy.

Wszędzie zresztą, gdziekolwiek rzucił okiem, dymily ołtarze bóstw rozlicznych, bieleły słupy małych owych a wdzięcznych, poświęconych bogom świątyniek, które każdy dzień mnożył ku czci coraz nowych mar tysiąca zaludniających sponiewierane Olympy.

W drugą stronę od Neapolis, długo po za miastem ciągnące się, i jedna przy drugiej nagromadzone zalegały ville pnące się na góry, zstępując ku morzu, zwieszając po nad falami, w których dla rozpalonych życiem sybaritów szukały kąpieli rozkosznej.... Był to las portyków i kolumn i murów piętrzących się jedne nad drugie, to chowających kapryśnie w głębie gór, w pieczarach, skały i groby, by ich zazdrośne nie dojrzało oko.

Droga wiodąca ztąd od Neapolis do Baii, cała, rzec można; była ulicą pańskich pałacyków podmiejskich, na których stworzenie i ozdoby wysilały się wyobraźnie i dziwaczne chętki zniewieściałych potomków dawnych Rzymian, dziś przez rozpustę

i znikczemnienie przysposobionych do niewoli i uśmiejających upodleniu.

Jedne za drugimi szeregiem, wśród palm, kaktusów, aloesów, winnic i wdzięcznie strzelających z gęszczy ciemnych sosen, z rozpiętymi dachy swych gałęzi, stały owe tajemnicze patrycyuszów i wyzwoleńców przytulki, całe z marmurów, drogich kamieni, muszli perłowych i bronzów... w pół na morzu, pół na lądzie... Dalej, już za Pausilippem, ku Puteolom rozpoczynały się spalone pola *Campi phalaegrei*, pełne widowisk strasznych, buchające podziemnymi ogniami, po których poetyczne latały wspomnienia...

Za to ku morzu jasno było i dla oka wesoło.

Samo nazwanie Pausilippu (rzuć smutek) powoływało pielgrzymów, przybywających aby tu o troskach Rzymu zapomnieli i całkiem miękkiemu spoczynkowi się oddali. Każdy też tu przybywał tylko odetchnąć powietrzem wonnym, skąpać się w morzu lazurów, posłuchać nocą tajemniczego głosu śpiewnej fali, zjeść ostryg Lucerińskich, napatrzeć się greckich dziewcząt i skryć przed ludźmi i światem.

I domki te, z cegieł różnobarwnych, z marmuru porfyrów powznoszone, nosiły na sobie piętno jakieś swawolne, które niedozwalało wziąć je za poważne schronienie senatorskie; tu się ciężką zrzucało togę i koturn surowy, a w sukni lekkiej, której Rzym nigdy nie widział, szło po zielonej mu-

rawie lub wysłanej mozaiką ścieżynce, żyć pomarańczowych kwiatów oddechem i rzeźwiącą atmosferą morza.

Wszyscy mieszkańcy tych wybrzeżów zgreczonych, aż do Baii,

Brzegów czystym nieprzyjaznych dziewicom 1)

tchnęli samą rozkoszą i weselem... do rozkoszy i wesela posługiwali. Dzieci jońskich wychodźców, ludzie tutejsi, ani swój sztuki, ani zniewieściałego nie zabyli obyczaju, i dobrze im było jako nauczycielom wśród Rzymian, uczących się już godność człowieczą sprzedawać za kroplę ziemskiej ambrozyi.

Te ville, które poeta zamkami raczej niż wiejskimi domki nazywa 2) zalegały często wielkie przestrzenie, ze swemi ogrodami, łaźniami, długimi ulicami, portykami, teatrami i odeonami... z sadzawkami, w których bawiono się tuczając ukochane rybki i ergastulami, w których zamykano okutych niewolników, z celami wyzwoleńców, flecistów, niezliczonej dworni otaczającej pana...

Z góry na górę rzucane łuki, przeprowadzały rozpieszczonego starca bez znużenia po grzbietach marmurami wykładanych, ku ciepłemu morzu, które na jego posługi do ciemnej wchodziło groty. Wolną pochyłością, litostrotem wzorzystym usłaną, po-

1) *Littora quae fuerunt inimica puellis. Virgilius.*

2) *Non villas esse sed castra...*

sypaną różami i szafranem, spuszczał się po uczcie upojony biesiadnik do swoich thermów, nie trudząc chodem, powoli, i szedł oddychać wonią drzew rozkwitłych, widokiem czarownej ziemi.

Gdzieś stąpił, gniołłeś z daleka poprzywożone płyty kamieni, wydarte skałom rękami tysiąca niewolników, co je polewając łzami wypolerowali pod stopy pana, opierałeś się o świecące kolumny, o malowane ściany, szedłeś pod stropami w złociste przyodzianemi koszyki...

Po ścianach nawet zewnętrznych tych rozkoszy przytułków, na jaskrawém tle rzucone skakały powietrzne tancerki, greka pędzlem kreślone, unosiły się hymery uśmiechnięte, dzieciaki skrzydlate, bachantki z rozpuszczonemi włosy.

Nic tu nie wyprowadzało myśli z tego zaczarowanego koła, w którym krążyła, tworząc sobie świat pokoju i rozkoszy, i tu prędjéj niż gdzieindziej zapomnieć było można, że słońce nie zawsze świeci ziemi a szczęście życiu ludzkiemu.

Jeżeli zbłąkany filozof lub skwaśniały retor przyszedł dowodzić znikomości ziemskich rzeczy, prędko upajały go wonie, rozmarzały uśmiechy, śpiewy i wino i kończył bełkocąc nieprzytomny:

— *Carpe diem!* chwytaj dzionek co ulata...

I brzegi wciąż rozlegały się pieśniami, które gdy przerwał jęk głuchy, to tylko by po nim pieśń jeszcze dźwięczała wescłój.

Ażeby ciężko po wschodach, wracając z Baii, nie przebywać góry Pausilippu, boki jęj przedarto na wylot, i długie, ciemne przejście wiodło przez jęj łono ku polom ognistym, ku źródłom gorącym...

Dalęj, nad drugą zatoką stały handlowne Puteole, grecka Dicaerchia, ze swą starożytną świątynią i thermami Serapis'a, przybytkiem Neptuna i amfiteatrem... Od stóp Gaurus'u aż do Baii, wciąż idąc brzegiem, przechodziłeś jedną ulicą villi, jeden wieńiec domów oprawnych w krajobraz, jakiemu świat może nie ma równego. Tu były przez Virgilego opiewane i tajemniczemi uświęcone podaniami groty, jeziora, rzeki, a świeżo nad niemi pieśń Augustowego ulubieńca brzmiała jeszcze nad niemi długo przeciągnioném echem. Dalęj i jeszcze dalęj stały odwieczne Cumy, od których bramy szczęśliwęj droga słana kamieniem, otoczona grobami, wiodła aż do Rzymu, i z stolicy na Campanii brzegi znużonych mowami na roztrach, siedzeniem w Capitolu, lub choćby wielkością swoją Konsulów, tryumfatorów, zwycięzców, których własne szczęście dławilo.

II.

Ale nad wdzięczny brzeg zatoki Cumańskiej, nad rozkoszne ville Pausilippu, Meseny i Baii, miłszém jeszcze schronieniem była Capreä, co zdaleka wyglądała tylko na czerwoną skałę, najeżoną świątyniami i kolumny, a zbliżka była jak gniazdo najeżone w koło suchemi gałęzmi, w środku miękko wysłane puchami i pióry.

Na przeciw przylądku i świątyni Minerwy, nieopodal od lądu, od którego zdawała się oderwaną umyślnie, spoczywała wyspa różowa jak zmęczony gladiator w cyrku; niedostępna zewsząd i pionowymi skały odcięta, z dwóch stron tylko, od Neapolis i Sycylijskiego morza, dwa szczupłe miała porty a raczej liche dla statków przystanie, w których od burzy nawet skryć się nie było można. Większe téż łodzie, których na ląd nie podolano wyciągnąć, uciekały w zatokę ku Surrentum, nie śmiejąc tu z akwilonami wojować...

Mimo że wspaniałości Caprei kryły się w jej dolinach lub niedostępne oku czepiały przy skał szczytach, tyle ich skupiło się na tym szczupłym ziemi kątku, że zdala nawet poznałeś w niej villę Cezarów, ich rozkazem zmienioną w jeden ogród rozkoszny i marmurowe zamczysko.

Nad cyplem ku Surrentum, wysoko, widać było wieżycę białą i gmach Jowiszowej villi, piętrzące się do góry, na szczycie Anacapri widniała świątynia bóstwa, przezroczysta, podparta słupów wiązką, a po bokach skał tu i ówdzie białe kolumny szeregami stały niewolnice pilnując drogi, która, to wschodami marmurowemi, to gładką płaszczyzną, spuszczała się w zakryte doliny, opasując gór boki.

Nie było tu prawie pędzi ziemi, z którejby przemysłny Cezarów budowniczy nie korzystał, aby tę ustron uczynić wspaniałą i rozkoszną: powykuwano skały dzikie, obleczone groty ścianami lśniącem, przedarto drogi w gór wnętrzościach, poczepiano ulice na niedostępnych wyżynach, a pracowita dłoń ludzi, których życie za nic się liczyło, wyłożyła po jednemu drobnymi kamyczkami ścieżki, któremi Cezar miał chodzić, misternie i wdzięcznie, aby oko Augusta, padając na ziemię, nie obraziło się jej nagości widokiem.

Wśród zieleni kwiatami okrytych gdzie niegdzie ołtarz występował biały, lub posąg w postawie po-

ważnej, szemrała fontanna, oblewając nimfy skamieniałe i rozigrane delfiny... to znowu na białych, świeżo młotem rzeźbiarza obnażonych, marmurach, umiejętny ogrodnik porozrzucał sploty zielone i zmusił je uściskiem czułym chłodny opasywać kamień, jak czule i niewolniczo tulili się wówczas ludzie do zimnych stóp możnych i ulubieńców Cezara.

Ciszę uroczystą przerywał tylko dalekiej szum fali i szmer wodotrysków, lub śpiew przykazany niewolnikom i grecki flet wygnańca, tęskniącego za Helladą... ale cała siła posługaczy pańskich nie mogła powstrzymać niekiedy lotu i krzyku ptaków, które złowrogo nieraz zakrakały wśród biesady. Bledły naówczas twarze, posępniał sam Cezar, a astrolog tłumaczył, że ptastwo gdzieś na żer z trupów i cielsk wroga leciało.

Cicho, spokojnie, rozkosznie było na tém łożu, usłaném dla władców Rzymu, znużonych swą siłą hałasem Forum, owacyami i ofiary, i uroczystą powagą palatyńskich gmachów.

W dwunastu wyznaczonych ku temu miejscach, jeszcze Cezar Octawiusz Augustus począł był wznosić, imionami dwunastu głównych bóstw Olimpu naznaczone wille; a po jego zgonie, Tyberyusz rozkazał dokonać tych cudów, które teraz otaczały dobrowolnego drugi raz wygnańca.

Na jednym z najwyższych szczytów przeciw świątyni Minerwy, wznosiły się gmachy, Jowiszową

nazwanéj, willi, nad samą morza lazurowego przepaścią. Siadł tu gród cały, bielejący od marmurów i alabastru, świecący od złocień i purpurowych ścian, a obok niego wysoko pięła się wieża strażnica, aby z niej czujne niewolnika oko, po Sycylijskich morzach, od Galii, od Rzymu, od Baii, Miseny, Puteolów, najmniejszą łódkę wyszpiegowało... Często przez całą Campanią rozstawione stopy murów Rzymu sięgające, zamkniętemu w Caprei władcy dawały znać zażegniete, że czyjaś tam głowa na rozkaz jego upadła, że nienawistne skończyło się życie... Strażnik z owéj wieżycy, dostrzegłszy ogni, potrząsł pochodnią i obojętny ziewnął, lub rozśmiał się dziko.

Tu był największy przepych, najulubieńsze Cezara mieszkanie; ztąd na dwa morza, dwa światy, na z daleka przyptykujące mógł poglądać okręta i zgadywać a wróżyć, co mu one w swych niosą wnętrznościach, niewolników-królów dla tryumfu i wozu, wieść o legionach straconych i krwi przelanej daleko, sycylijskie zboże lub piasek nilowy. A gdy morze było puste i żaden żagiel nie biał na jego błękicie, oko padało na zaczarowane brzegi Surrentum i dalej ku Herkulesowym portykom, pod stopy zielonego Wezuwiuszu, ku Neapolowi, Puteolom, w opalowych barwach dalekiego krajobrazu szukając rozrywki. I błąkało się po zielonych wzgórzach lesistych, po złocistych dolinach, po różo-

wych gór szczytach, po białych perłach świątyn i domów... .

A było gdzie polecieć oku... w jedną stronę aż ku Baijom i wyspom, siostróm stojącym na morzu jak syny gór powietrzne, ku Euploi, Limonie, Nesis, Prochycie i Pitecusie; w drugą ku Posidonium, ku Sykulskim brzegom, ku tajemniczemu południu... Obraz z téj wyżyny widoczny tak był niezmierny, że nawet oku Cezara mógł wystarczyć, marzenie Cezara nasycić.

W téj ustroni, wysoko przyczepionéj na skałach, której każdy kamień niewolnicy na głowach dźwigali od brzegów, była i świątynia Jowisza, grecką sztuką wzniesiona na kolumnach z onyxów i alabastru, uwieńczonych złotem, i ołtarz Boga Bogów i cella dla jego kapłana i sto izb dla Cezara dworu, i portyk półmili długi, i łaźnia, do której wiodła biała ulica, nad przepaścią przypięta, i amfiteatr, i tajemnicze *cubacula*, i xysty (ogrody), zmuszone rosnąć na twardej opoce, i kwiaty, i woda, i co człowiek wymarzyć, a niewola wykonać może.

Na głębokich zabudowana grotach, w których czarnej paszczy stada spędzonych ludzi jeknąć nie śmiały, by ciszy pana nie przerwać, willa owa zataczała swe mury po nad same przepaście o kilkaset stóp nad morzem dźwignięta, a dziwaczna myśl jakaś i zachcenie otoczyły ją zewsząd wysłanemi lithostrotem drogami, tak, by krawędzi nagięj nie

zostawić ziemi. Miejscami odgradzała tylko od powietrza złocona balustrada, obwita powojami i bluszczem, gdzieindziej umyślnie nikła zaporą i u stóp straszyla przepaść ciemna.

Na co tylko przepych wysoce ukształconego ludu, który pod swém panowaniem trzymał świat cały, zdobyć się może, wszystko to na góry, plecami zgarbionych ludzi, dźwignięto. Były tam i greckie posągi, rzekłbyś, zaczarowane postacie, które Bóg jeden stworzył, a drugi skamienił, i naczynia wpół przezroczyście, barw dziwnych, rzeźbione lata długie w cudne wzory i postacie, i lane z ciemnej miedzi korynckiej olbrzymy i maluczkie, droższe od nich posążki, Athenom wydarte.

A słupy, które podpierały, strop, który izby pokrywał, posadzki, co je wyścielały, wszystko to złotem, purpurą, drogim kamieniem przyoblec się musiało.

Gole nawet murów ściany sztuką czarodziejską do życia powołał artysta, i choć płakał może, gdy skuta dłoń jego zarysowała na nich postacie, one śmiać się musiały, i jak sen ulatywać w powietrzu. Na purpurze i fiolecie, nagie dziewczątka zdawały się stworzone, by młodość wiecznie przypominać... choć to wiekuiste ich wesele urągało się starości... Obok nich szezebiotały ptaszęta malowane, chłopcy i dzieciaki zginały się pod ciężarem róż i owoców rumianych.

Na skwar były tu izby chłodne, na chłód łaźnie gorące, a wiekuista uczta, zawsze zastawna, czekała tylko znaku pana, by przed nim ze stołami się ukazać. . . .

Wschody szerokie jak ulice Rzymu, a łagodne, by i starzec mógł się po niej przechadzać, jeżeli mu się ramiona sług przykrzyły — rozbiegały się ztąd w różne strony po całej wysepce, do jedenaśtu willi, równie strojnych i wspaniałych, jak Jowiszowy dwór Cezara.

W zielonych gajach pomarańcz i rozrosłych figach, oczepianych winną latoroślą, po cichych dolinach, w złomach skał tajemnych, w pieczarach, które natura na pół wyźłobiła wiekową pracą lub morze wybiło powoli, falą nieustanną zużywając twardą skałę — kryły się owe rozkoszne ustronia, których przepych jeden coraz inne dla przypodobania się przybierał postaci.

Przy każdej z tych willi wznosiła się świątynka, *sacella* boga, któremu była poświęconą, były wodotryski chłodne i drzewa rozrastały się posłuszne — ale ściany jednych okrywał marmur jasny jak śnieg, drugich kamień, co jak krew wyglądał zastygła, mlecznemi poprzerzynany żyłami, innych zielone płyty lub złociste kwadraty dziwnymi wzorami w łonie ziemi obleczone. . . .

Wyobrażnia budowniczych co się silili na nowe, niespodziane, niewidziane, — mogąca się tu rozpa-

sać swobodnie, ... cuda zrodziła, przypochlebiając się panu, wyszukując kształtów olbrzymich, barw nieznanych, wysadzając każdą stopę, to świecącymi kryształami, to różnobarwną polewą, to całymi bryłami, na których podania starłej Grecyi snycerz wykuli w nieskończonej wstędze, gmach opasując do kola.

Już tu ani słup, ani ściana nie słuchały rozmia-
rów urzędowych, których w poważnych budowach trzymać się musiano; — łuki sklepień wspierały się zuchwale i śmiało, kolumny bujały jak drzewa młode, a miasto surowego ich kapitelu, rozrastał się wierzchołek w palmowe gałęzie, w wieńce i sploty. Wschody jedne czepiały się nadachy, drugie spuszczały w podziemia i połowa budowy schodziła z niemi w wewnętrzności gór, kryjąc w nich cuda, których się ludzkie oko z powierzchni domysleć nie mogło. Ryjąc się w głębinach tajemniczych, budowano w nich pałace ciemności, skryte rozkoszy gniazda, zmuszając wodę by je oblewała, powietrze by je napełniało wonią.

Lecz któż potrafi dziś opisać wspaniałości wyspy, której każdy dostępny kątek przeistoczony został, przekuty na jedną całość olbrzymią, co znużonego życiem starca kryć miała i rozkosznie pieścić?

Nawet przepaście użyte zostały dla stopy i oka, zwyciężone pracą, zmuszone okryć się zielenią, upinać kwiatami; nawet dzikie skały wybrzeży dźwiga-

ły po nad mórz głębina galerye, z których zwieszony nad falą lazurową mógł człowiek marzyć, że niebo ma pod nogami....

Morzu kazano wnijsć w pieczar głębie i wcisnęło się posłusznie, rozstąpić się kamieniom i prysły, przetworzyć ziemi i stała żyzną od krwi i potu ludzkiego.

Ilu tam ofiar nieznanym kości zdruzgotały głązy, ile ich pożarła otchłań morza z kamieniem u szyi, ile serc pękło wśród trudu — nikt nie liczył, ale gmachy powstały, śmiały się i świeciły.

Z Grecyi przywleczono rzeźby wydarte ziemi, co je zrodziła i kochała, z dalekich światów kamienie na podnoża, złoto na opony, purpurę na wysłanie; a gdy się zamarzyło Cezarowi w zwierzyńcu ujrzeć lwa afrykańskiego lub krokodyla w sadzawce, szedł okręt po nie i wioził je do stóp pana.

Wśród tych przepychów, jedni mieszkańcy, starzy greccy, potomkowie Telona, wnuki Osków i Tyrjczyków, nie mieli gdzie się podziąć i schronić; szczupła ich garść ustąpić musiała na wierzchy pustych gór, w szczeliny kamienne, w dzikie doliny, których nie dosięgła wola władzcy, ni oko jego posługaczów; wywrócone swe domostwa po kamieniu przenieśli dalej, rozpierzechajac się przerażeni.

A plemię to zmieszane z wielu, w Hellenów prawie zmienione, grecki obyczaj przyjąwszy — było zaprawdę jednym z ludów najpiękniejszych i naj-

hojniej obdarowanych na ziemi. Na obliczu jego czytałeś wypisane pochodzenie szlachetne narodu, który bogi czyniąc na podobieństwo swoje, sam swym bogom był podobny.

Może ten urok wdzięków mieszkańców Caprei sprowadził tu, w ostatnich chwilach życia starego Augusta, może z nim połączona prostota obyczajów, wesele dziecięce i niebo zawsze pogodne, jak czoła tych ludzi. Bo w twarzach niewiast i dzieci greckie chodziły posagi, a starzy w swych łachmanach mieli jeszcze powagę senatorów, której już w Rzymie nie było.

A lud to był cichy, spokojny, posłuszny i szedł tak na śmierć jak do uczty, nie zdziwiony, nie złamany; obyczaje jego miały woń pierwotnych czasów Saturna, strój był stary, jadło proste, pieśń smutna.

I byli podobni odwiecznym wygnańcom, których już opuściła pamięć, a w piersi tylko została tęsknota.

III.

O losach tego ziemi kątka mało dotąd powiedzieć było można; wcześniej bardzo nad wesołą zatoką Posidonii i Neapolu znaleźli się mieszkańcy, którzy blizkie brzegów wyspy objęli. Od ośmiu już wieków naówczas liczono przybycie Greków, którzy wzniesli Cumy i Neapolis i Dicaerchiją; oni też owdadli wyspami, a Capreä i Ana-Capri, zaludniły się ich dziećmi rozproszonemi po skał szczytach.

Piérwszy Oktawiusz Augustus, pod koniec życia szukając spoczynku i rozrywki, gdy przebiegał Campanię szczęśliwą, ujrzał tę konchę morską, i domyślił się, że w niej zamkniętą perłą być można.

Swetoniusz z wielkim wdziękiem opisuje te zabawki wyżytego i zniewieściałego człowieka, który tu prawie dziecinnych szukał rozrywek; obraz to tak żywy, że nic doń dodać nie można.

„August, pisze on 1), przebiegał wybrzeża Campanii i wyspy poblizsze, spędził dni cztery w Capreä, w najzupełniejszym spoczynku i najweselszém usposobieniu. Raz, gdy przejeżdżał się na statku

1) *Suetoniusz*, Augustus. XCVIII.

w zatoce puteolańskiej, do której był właśnie Alexandryjski okręt zawinął, podróżni i majtkowie, głowy postroiwszy w wieńce, w szatach białych, paląc ofiarne kadzidła, podnieśli głosy na pochwały Augusta, życząc mu wszelkiego dobra, gdyż, jak mówili, jemu winni byli życie, swobodę żeglugi i bogactwa swoje. Te pochwały tak mocno rozradowały Augusta, że między swych towarzyszków czterdzieści sztuk złota rozdać kazał, zobowiązawszy ich przysięgą, że żaden daru tego na nic innego nie użyje, tylko na kupno towarów u Alexandryczyków. Następnym potem dni, między innemi podarunkami, rozdawał togi i pallia, z rozkazem, aby Rzymianie po grecku a Grecy po rzymsku odziewali się i mówili. Potem w Capreä przypatrywał się pilnie ćwiczeniom ephebów (młodzieży), z których dawnego gimnazjum znaczna się jeszcze liczba starym obyczajem uprawiała. Dał nawet dla nich ucztę w swój przytomności i wyraźnie zalecił, aby mogli swobodnie owoce, resztki biesiady i inne podarki wrywać sobie i bawić się niemi. Jednym słowem, żadną nie wzgardził zabawą. Sąsiadnią Caprei wysepkę Apragopolin (miastem próżniaków) nazwał, z powodu swobodnego żywota, jaki tam wiedli ci dworacy, którzy się na nią schronili. Z ulubieńców jednego, imieniem Masgabasa, zwykł był nazywać *Ktistes*, jako niby założyciela grodu. Siedząc u stołu, postrzegł, że grobowiec te-

go Masgaby, przed rokiem zmarłego, wielka liczba ludzi z pochodniami otaczała, i wiersz z tego powodu utworzony, przywiódł głośno po grecku:

Założyciela grób widzę płonący 1).

a zwróciwszy się do Thrasylla, ze dworu Tyberyuszowego, który przy stole naprzeciw niego siedział a rzeczy był nieświadomy, spytał go, czyjby ten wiersz mógł być? Igdy się Thrasyllus wahał z odpowiedzią, August dodał wiersz inny 2):

Widzisz-li Masgabę uczzonego pochodniami.

i o ten znowu się zapytał. Na co gdy Thrasyllus nic innego odpowiedzieć nie umiał, prócz, że czyjebykolwiek wiersze były, są doskonale, wybuchnął śmiechem wielkim i począł sobie wesoło żartować. Wkrótce potem popłynął do Neapolu, ciągle dręczony bolem wewnętrznego.

Wspomnienie Augusta i tych chwil wesela, spędzonych z nim w Caprejskiej ustroni, może spowodowało Tyberyusza, by sobie cichą Caprę obrał przytułkiem na starość; tak jak Augusta przywiązanie do téj wyspy i zamianę jęj na Enaryą, zazieniony na jego przybycie stary dąb wywołał.... 3).

Oba myśleli, że im jeszcze nowa tu młodość rozkwitnie....

1) Ktistu de tymbon eisoro pyrumenon,...

2) Horas faessi Masgaban timomenon,...

3) Suetoniusz, Augustus, XCII.

IV.

Byla to właśnie chwila, w której wieszczce proctwo Mantuańskiego łabędzia ziszczało się nad światem; Oktawiusz Augustus zmarł, zostawując z uśmiechem władzę Tyberyuszowi, do zgonu artysta, przewidując, że po świetnych dniach jego panowania, następne złowrogie, uwydatnią jeszcze wielkość, której chciał pamięć uwiecznić. Szukał w następcy nie pana dla Rzymu, ale dla dziejów kontrastu, dla siebie większego blasku... chciał, by noc była czarną, a wspomnienie dnia przy niej jaśniejsze.

Dziwny zaprawdę był stan społeczeństwa w tej chwili wielkiego przełomu, kończącego jedną epokę, rozpoczynającego nową. Nikt wymowniej i silniej nie skreślił jej obrazu nad Tacyta, którego oburzenie maluje na co zszedł Rzym w tych czasach rozpusty i spodlenia.

A jednak był to wiek co do wykształcenia i cywilizacyi jeden z najświetniejszych w dziejach, wiek,

w którym Rzym najszerzej i najsamowładniej panował, chłonał i jednoczył w sobie wszystkie żywioły ludzkości, przyswajał mądrość Grecyi i Wschodu; wiek, w którym społeczność doszła do form najwyszukańszych, do życia najwykwintniejszego, a umysły, wyćwiczone sztuką, filozofowały najsubtelniej o wszystkiém, dobierając słów jak pereł, jak dźwięków dla ucha, i myśli szerokie otwierając przestrzenie.

Cały świat, po za granicami tej cywilizacyi, stojącej jak dworka zalotna i rozpieszczonéj we wszystkiém, zwał się barbarzyńskim (choć Grek jeszcze i Rzymianina po cichu tém imieniem piętnował)—uprawa umysłowa stała wysoko, ale wiara dawna ledwie się w formach zużytych trzymała, a filozofia wszystko już zburzywszy, nie jeszcze na to miejsce wznieść nie mogła, jako najwyższy szczebel wiedzy uznając sceptycyzm, a za najwyższą moralność chłodny i samolubny stoicyzm.

Świat ten był świetny-powierzchniowie, rozmierzony w przepychu, wymysłny w upodobaniach—żywot wiódł pelen najwyszukańszych przyjemnostek, ale stał zarazem u granicy, po za którą całą siłą swego rozumu, wiedzy i wykształcenia, przejść nie mógł. Widać to było z tego miotania się szalonego, z tych wyprężeń śmiertelnych, któremi usiłował daremnie przekroczyć granice możliwego i dostać się w jakieś krainy nieznane.

Lecz ani ludzie świata i władzy, ani filozofowie i retory na tę chorobę nieuleczoną poradzić mu nie mogli — sceptycyzm zabijał ducha, stoicyzm nie żywił nic prócz dumy, a konający jeszcze przez wstyd jakiś po starorzymsku bohaterowie, już nawet jak Sokrates koguta Eskulapowi na ofiarę dać nie mogli, bo ni w Eskulapa, ni w ofiarę nie wierzyli.

Bogowie starzy stali wprawdzie na dawnych ołtarzach, ale obok nich, ludzi zszarżanych, niewiasty z nierządów znane, ubóstwiano co chwila i bóstwo poniewierało się w błocie. Wszystkie Bogi całego świata, Egiptu, Grecyi, ludów barbarzyńskich, stawiano na pustych ołtarzach, ale nikt już w nie nie wierzył. . . . Bóstw było bez liku, a Boga nie było.

Westalki postradały swą świętość i czystość, kapłani swą władzę, zamilkły Sybille, a Rzym jak świat zdawał się oczekiwać nowego porządku, nowej idei, nowego zbawcy, któryby odrodził przegniłą do głębi społeczność.

Te przeczucia ludzkości, dające się postrzegać w samym nawet Rzymie — nie wiedzieć jak i z czego powstałe, odzywają się po świecie całym. Magowie czują Narodzenie Pańskie w dalekiej krainie na Wschodzie i idą w długą pielgrzymkę, aby Zbawcę powitać; Herod przeraża się proroctwami, i dzieci, między którymi ma się znajdować przyszedłszy Pan

świata, mordować każe; księgi Sybillińskie mówią o przyjściu Syna Bożego, a wieszcz Mantuański, z grobowca nad brzegiem morza, które patrzyło na rozpustę i zniewieściałość rzymskich patrycyuszów, woła tajemniczymi wyrazy:

Nowy przychodzi rzeczy porządek....

Nowe pokolenie z wysokiego zstępuje nieba 1).

Ten nowy rzeczy ziemskich porządek, to zjawienie się dziewicy, to dziecię niebios wysokich, widzi nie tylko wieszcz co je zwiastuje — czuje najlichszy z ludzi owego czasu, pojmujący, że świat tak dłużej, bez nadziei, bez stępu, bez życia pozostać nie może. Wszyscy wiedzą, że coś wielkiego stać się ma światu, wszyscy pragną jakiejś prawdy, jakiegoś życiodawczego słowa... i oczy przecuciem zwracają na Wschód, jak ku nowemu wnijść mającemu słońcu, które wieszcza poprzedziła jutrzeńka.

Nigdy też może ludzkość ciężiej nie bolała. Stojący na czele ludów Rzym, zamiast im przewodniczyć, ssął ich i korzystał z poddanych dla swych rozkoszy i dziwactw. To, co się zwało naówczas

1) *Sicilides Musae, paulo majora canamus.*

Non omnes arbusta juvant, humilesque myricae!

Si canimus sylvas, sylvae sint consule dignae.

Ultima Cumaei venit iam carminis aetas:

Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo

Iam redit et virgo, redeunt Saturnia regna,

Iam nova progenies coelo demittitur alto.

Pollio.

barbarzyńców światem, jeszcze pierwotnych praw Bożych piastowało świadomość, jeszcze coś kochało, jeszcze czuło godność człowieczą, jeszcze siłą charakteru upadłych napełniało zwycięzców, przypominając sobą starą dzikiego Rzymu dostojność. W tych ludach, z którymi walczano, Tacyt sam widzi cnoty, jakich już próżnoby szukał u siebie, ze wstydem, ale złamany prawdą wyznaje, że się tam uczyć potrzeba czego już Rzymianin zapomniiał. Z jego obrazu Romy Cezarów i narodów jój podległych widoczna, że tam prostota obyczaju stawiała wyżej charakter, niż tu cywilizacya pozorna i zniechęcałość wymyślna. Zepsucie dochodziło do najwyższego stopnia, a wśród niego rzadkie przykłady cnót starych świeciły jak zdumiewające wyjątki; rozpusta złamała tych ludzi, poprzerabiała na pochlebców, przeistoczyła w niewolników, zerwała węzły rodziny i najpoczwarzniejsze wyradzała codzien postacie, jednej wielkiej stworzyć nie mogąc.

Samo pojęcie cnoty i występku zatarto się do tego stopnia, że powodzenie tylko zwało się już cnotą, a upadek sam był winą.

W łonie patrycyata Cezarowie mieli sługi najposłuszniejsze swym chuciom, Senat szafował dla nich najwymyślniejszemi kadzidłami, a wierności i mężstwa musiano szukać w gwardyi z barbarzyńców złożonej, lub z rozkutych więzów wyzwoleńcach.

Brat na brata za grosz lub z trwogi szedł i sta-

wał się donosicielem, syn wstawał przeciw ojcu, a to co było ohydą wprzód, zrobiło się rzemiosłem, i denuncyatorowie sprawiali niejako urząd zyskowy, bacząc tylko na kogo padł wzrok nieprzychylny, by nań rzucić potwarzę, której nikt odeprzeć nie śmiał.

Rzymianin umiał zaledwie jedno jeszcze — umierać mężnie; brał miecz i wbijał go sobie w pierś z uśmiechem; słabe nawet niewiasty zdobywały się na tę przedśmiertną odwagę. Ale i tu już siły codzień mniej było, a starzy ze zgrozą patrzali na dzieci, co już ni się napić trucizny, ni przebić, ni głodem zamrzeć nie umieli, niewolników o zadanie sobie ostatniego ciosu prosić zmuszeni.

„Od przemiany rządu, powiada Tacyt 1), nie pozostało śladu nawet cnót dawnych, wszyscy z równości się wyzuwszy, czekali rozkazów władzcy.“...

Zaledwie August, wielbiony i śpiewany, strudzone oczy zamknął w Noli, otrzymawszy to od Bogów o co ich zawsze prosił i czego drugim życzył — *Euthanazyą* (śmierć dobrą i lekką) — pocątkiem Liwii i szyderskim uśmiechem życie skończywszy pytając: — Czy jako aktor dobrze swą na świecie odegrał rolę? 2) — gdy już dojrzeć było i domysleć się można, jakie po nim nastąpić mają cza-

1) Tacyt. Lib. I. 4.

2) Swetoniusz.

sy, w jak dziwną Rzym przerośnie gospodę zbytków, występków i szalu.

Za Augusta kryło się jeszcze to wszystko, co po nim bezwstydnie wystąpić miało; już w samej Oktawiusza rodzinie był zaród tego, co bujnie rozrosnąć się musiało; nurtowała ją rozpusta niepowściągnięta, pokryta połorem greckim i pięknymi obwinięta słowy.

V.

Ojcu tego, który miał po nim nastąpić, jako przywłaszczyciel nieograniczonej władzy, August odebrał był żonę Liwią, naówczas spodziewającą się dziecięcia, jakby na szyderstwo potém zapytując się kapłanów, czy ślub jego był ważnym? 1). Pomściła na nim występku rozpusta téj macochy Rzeczypospolitej, jak ją Tacyt nazywa, macochy złowrogięj dla Cezarów. Zdawało się, że kto inny z przysposobionych dzieci i rodziny Oktawiusza może po nim objąć zarazem konsulat, trybunał, dowództwo wojsk i to co stanowiło naówczas nieokreśloną i nową jeszcze władzę Cezarów; — ale Liwia w ostatnim pocałunku pożegnalnym nie zapomniała o synu.

Claudius Tiberius Nero, syn téj Livii Drusilli, którą ciężarną odebrał August mężowi, by się z nią co prędzej połączyć, pochodził z rodziny Claudia,

1) Tacyt. I. 10.

wywodzącęj się z jednego z miasteczek Sabińskich, ale przyjętęj w Rzymie w poczet patrycyuszów i wślawionęj mnogimi czyny wielkimi. Nosili oni przydomek *Nero*, co po sabińsku znaczyło silen, chrobry; mieli i imie *Lucyuszów*, dopóki dwóch z nich, jeden zabójstwem, drugi rozbojem go nie splamił, tak, że w końcu porzucić je musieli. Znać we krwi tego rodu był z dawna zadatek srogości *Tyberyuszów* i *Neronów*.

Późnięj przysposobieni za członków rodziny *Liwia*, plebejskięj ale możnęj, przyjęli jeszcze przydomek *Drusów*, od pokonanego barbarzyńskiego wodza, imieniem *Draus'a*. Pradziad *Tyberyusza*, *Appius Caecus*, należał do dostojniejszych członków tego rodu, ojciec stał w godnościach wysoko jako wojownik mężny, miał i kapłańską po *Scypionie* godność.

Tyberyusz nie urodził się u *Augustowego* tronu, matka go już z sobą przywiodła do nowęj rodziny, a on i *Drusus*, brat jego, przyjęci zostali przez zobojętniałego *Augusta*. W dzieciństwie już los różnemi twardemi go próby hartował na wielki acz poczwarny, może najsilniejszy z charakterów swego czasu. Zrodzony w Rzymie czy w *Fondi*, z matką razem w pieluchach odbywał morskie podróże i kilkakroć był w niebezpieczeństwie życia... wśród płonących raz lasów, wraz z *Liwią* poparzony i ledwie uratowany. Znać rozwinięcie się jego

było szybko, bo prawie dzieckiem wystąpił już z mową pochwalną po ojcu na rostrach. Po zwycięstwie pod Ancium towarzyszył tryumfowi Augusta, potem w igryzyskach z młodzieżą kilkakroć widział go Rzym przewodniczącego orszakom starszych pacholąt (*puerorum majorum*.)

Togę męzką wdziawszy, znów skarbiąc sobie łaskę ludu, pokazywał się w amfiteatrze. Już naówczas zapewne musiał dla bliższych tém się objawić, czém później wyraźniej ukazał światu, bo nauczyciel jego, Theodor Gadareus zwał go „błotem krwią zamieszonym“ (*lutum sanguine maceratum*) a August, uniewinniając go przed ludźmi, powiadał, że miał wady przyrodzone nie nabyte, chcąc przez to dać do zrozumienia, że je zwyciężyć i pokonać potrafi.

Ale okoliczności nie sprzyjały temu zwycięstwu, chociaż się ono długo wahało. To pewna, że Tyberyusz wyrósł na znakomitego człowieka, na postać groźną lecz wielką. Jak August, poeta, a raczej retor i artysta, często mów swoich wyrażenia poprawiał nazajutrz, bojąc się w nich błąd popełnić, ale nie poprawił uczynków — dowcip jego był krwawy jak obyczaje, słowa bolesne jak wyroki.

Nie szafował jednak niemi, milczącym był raczej, nieufnym i skrytym.

Tajemniczość ta i milczenie stanowiły główny rys jego charakteru, który Dion Cassius tak maluje w chwili, gdy władzę obejmował: — „Tyberyusz,

mówi on, pochodził z rodziny patrycyuszowskiej i w naukach wyzwolonych był znakomicie wykształcony, ale natury dziwnej. Nigdy się bowiem nie objawił z tém czego pragnął, ani żądał tego, czego się chcieć zdawał: mowa jego wprost myśli była przeciwną: wstręt okazywał ku temu czego pożądał, napierał się tego co nienawidził, gniew udawał gdy był najmniej wzburzony, spokojność kłamał wręcz wewnątrz na tych, którym był łaskaw burzył się wrzekomo, najnienawistniejszych sobie pogodną witał twarzą, najmilszych czołem chmurném. W ostatku mawiał, że nikt nie powinien znać myśli panującego, gdyż odkrycie jój spełnieniu wielkich czynów stawało na zawadzie, a milczenie dokonaniu sprzyjało.

„Lecz gdyby zawsze był takim Tyberyusz, dodaje Cassiusz, łatwoby było z nim sobie postąpić, tłumacząc przeciwnie wszelkie jego słowa i uczucia, wiedząc, że tego chce co odpycha, brzydzi się tém, czego zdaje pożądać — ale on tak się burzył, gdy go kto odgadł, że wielu bez żadnej innéj winy pozabijał, jedynie za to, iż myśl jego odkryli.— Jakkolwiek więc niebezpieczném było go nierozumieć gorzej jeszcze odgadnąć.“ 1)

Pozostałe popiersia jego, w różnych życia epokach robione, twarz nam też odmienną przedsta-

1) Dio Cassius. L. vij, Tiberius,

wiają: rysy to są wyszlachetnionego długiem powo-
dzeniem i żywotem arystokratycznym rodu, piękne
z młodu, regularne, zastanawiające wyrazem głębo-
kim; później rośnie w nich piętno siły, dumy i zam-
kniętej w sobie władzy, która sama tylko w siebie
nie wierzy, a chce grozą świat zhołdować. Niepo-
spolicie wykształcony, filozof, mówca, poeta, Tybe-
ryusz serca tylko nie miał nigdy i w całym jego ży-
ciu raz tylko namiętne ukazuje się przywiązanie.
Zresztą zwykł był ludzi używać za narzędzia, jak
narzędziami niemi władać, łamać i odrzucać. Zem-
sta jego milczała długo, ale była nieubłagana, cza-
sem nawet, gdy życie obrachował karą, na śmierć,
co mu ofiarę wydarła, się gniewał.

Wysokiego wzrostu, silny i zbudowany krzepko,
szczególniej w lewej ręce miał moc olbrzymią; głó-
wę nosił nieco pochyloną, a wielkie jego wydatne
oczy, podobne ślepiom zwierza dzikiego, w nocy le-
piej niż we dnie widziały. Ciało jego, mimo nie-
wygód i wojen, białem się zachowało i delikatném;
w późniejszym wieku dopiero, gdy powtórnie pić
zaczął niepomrotnie, twarz jego porosła wrzodami,
które okrywające plastry dziwnie szpeciły. Może
ta poczwarność zmusiła go usunąć się i skryć od
oczów ludzkich z razu w Campanii, potem na oder-
waną od lądów wysepce.

Pierwszą jego żoną była Agrippina, córka M.
Agrippy, wnuczka Caecila Attyka, tego, do którego

Cycero sławne swe pisał listy; do téj może jednéj w życiu, nie wiem serce go przywiązało czy namiętność. Któż wie jakaby był drogą poszedł ten człowiek, gdyby mu dano szczęścia w pokoju skosztować i życiem rodzinném się cieszyć? Ale August zapragnął go zbliżyć do siebie. Miał on ze Scribonii córkę, sławną ową Julię, naprzód za Markiem Marcellem, potem za Vipsanius'em Agrippą; ta chwilowo podobiała sobie Tyberyusza, by go później znienawidzić i życie sobie zatruć i jemu.

Kazano więc Tyberyuszowi rozstać się z Agrippiną, z którą miał syna Drusus'a, a ożenić z Julią, już naowczas osławioną i bezczesną....

Małżeństwo to było dla przysposobienia uczy-nione i ze wszech miar najszałeńsze; Tyberyusz namiętnie kochał pierwszą swoją żonę. Julia, co go tylko podobiała chwilowo, pomiałała nim jak daleko niższym od siebie. Przytém kochanek jęj dawny, Sempronius Gracchus, swojego czasu wytwor-niś, dowcipniś i śmiałek, który z rostrów i obiadowego łoża równo umiał sypać słowy wyszukane-mi, a używał ich zręcznie po swęj myśli — nienawidził Tyberyusza i stosunków swych dawnych z córką Augusta, dla nowego jęj męża rozrywać nie myślał.

Tyberyusz więc stracił tę, którą kochał, a musiał żyć z tą, która go nienawidziła, której on nienawidził. Pisze Swetoniusz, że gdy potem raz w ulicy

spotkał się z wydartą już sobie Agrippiną, tak radośnemi i pożądliwemi oczyma ją gonił, iż nakazać musiano, aby mu się więcej nie nawijała 1).

Czas jakiś jednak żyli z Julią w pozorniej zgodzie, z obawy Augusta, choć obyczaje jej wstręt mu czyniły. Tyberyusz, cierpiąc mocno, zdawał się mężnieć i krzepić, kilka razy wystąpił publicznie i świetnie, to wiodąc pieszo ciało Drusus'a na stos pogrzebowy, to mówiąc w Senacie za mieszkańcami Chios i Laodycei. Potępienie spiskującego Muraeny, wojna w Armenii, chorągwie na Parthach zabrane, rządy w Galii, wojny w Pannonii, Germanii, Dalmacyi, zdawały się go kształcić na użytecznego ojczyźnie obywatela i wodza. Ale to były dlań środki tylko zajęcia chwilowego, nie wypełniające serca; głuszył niemi tęsknotę i boleść niezwykłą; zwiększało się obrzydzenie jego do Julii z powodu rozwiązłości; odrzucić jej nie mógł, obwinić nie śmiał, znieść nie umiał.

Zapragnął więc w końcu usunąć się i oddalić, nie chcąc ani patrzeć na to co się działo, ani dzieciom bliższemu sercu Augusta miejsca zajmować. Napróżno troskliwa matka starała się go przezwyciężyć i powstrzymać—objawił żądanie to gwałtownie i wytrwał w postanowieniu uparcie. Gdy go usilnie zatrzymywano w Rzymie, przez dni cztery

1) Adeo contentis et tumentibus oculis prosecutus est eam...

jeść nie chciał i groził, że się głodem zamorzy. Nareszcie żonę i syna rzuciwszy, w Ostii siadł na okręt, nie żegnając się z nikim, i nie ścisnąwszy dłoni nieczyjjej, Rzym znienawidzony opuścił.

Niegdyś, gdy do Armenii płynął, burza czy przypadek jakiś wstrzymały go na pięknej wyspie Rhodos. Tyberyusz, jak August wykształcony, więcej był Grekiem niż Rzymianinem, wabiła go Hellada, jej język, swobodniejsze obyczaje, literatura, niebo nawet. Tu był w Grecyi: Rhodos mu się podobał i na miejsce dobrowolnego wygnania wyspę tę wybrał znowu.

Osamotniony, gdyż niewielu z sobą zabrał domowników, przeszedł na prywatnego człowieka, wyrzekł się znaczenia, zapragnął być równy drugim; rzucił strój senatorski, pozbył liktorów i zamieszkał w domku małym i ciasnym.

Całą jego zabawą było chodzić po szkołach i słuchać retorów, lub rozprawiać z nimi.

Czasem napadały go miłosierne jakieś zachcenia; zapragnął jednym razem odwiedzić wszystkich chorych, ale oświadczywszy się z tém wczesnie, był powodem, że mu ich zniesiono ilu było, pod portyki, dla wygodniejszego obejrzenia, aby się po domach nie trudził. Ułożono mu ich nawet klasyfikując wedle rodzaju chorób i ich niebezpieczeństwa.

Na ten widok Tyberyusz, który chciał miłosier-

nego udawać, sam zrazu nie wiedział co począć; wszakże obszedł wszystkich i przed każdym z omyłki popełnionej jak najłagodniej się tłumaczył.

Władzę swoją Trybuńską dobrowolnie prawie złożył, i raz tylko jej użył, gdy mu włóczącemu się po szkołkach, wśród żywej dwóch sofistów rozprawy, biorącemu stronę jednego z nich drugi nałajał—mszcząc się nazajutrz pozwaniem i więzieniem.

Zdaje się, że to życie na wyspie Rhodos samotne, ciężkie, do reszty go zgryzotą tajemną i gorzczą na dni ostatek napoiło. August wreszcie, zapewne za staraniem Livii, która pragnęła powrotu syna, przekonawszy się o rozwiązłym córki bezwstydzie, sam jej list rozwodowy (repudium) przesłał, i w imieniu Tyberyusza ją odrzucił, dając mu zaraz znać o tém.

Tyberyusz pozostał jeszcze w Rhodos jak gdyby posłany przez Augusta, usłuchawszy woli matki, która w ten sposób jego ucieczkę dobrowolną od sromoty zasłonić chciała. Tajemnicą zresztą okryty był ten pobyt oddalony w Grecyi w czasie którego popadł w podejrzenie, w niełaskę, ze wszelkiej wyzuł się władzy, odzież nawet patrycyuszką zdjął i zdawał tylko wyczekiwać śmierci. Matka wreszcie ubłagała go, aby o powrót prosił, a gdy i Cajus na to zezwolił, przywołano go do Rzymu.

Osiem lat jednak trwało to wygnanie, które go uczyniło skrytym, zdziechałym, milczącym i mści-

wym. Tyberyusz wybrał sobie życie prywatne i byłby w niém trwał, gdyby go śmierć Cajusa i Lucjusza nie wyzwoliła.

August naówczas, za namową żony przysposobił go za syna, rozkazując mu w tenże sposób usynować Germanika. Były to tylko czeze formy związku rodzinnego, zastępujące to, co brakło w rzeczywistości, do niczego też nie obowiązywały. Tyberyusz wkrótce znów, jako najbliższy władzy, począł ją odzyskiwać. Objąwszy Trybuńską poszedł dla uspokojenia Germanii i Illiryi.

Tu sobie jako wódz na wielką zarobił sławę, i już mu miano wotować nazwanie poczesne, gdy August trochę zazdrośny, wstrzymał je tém, że go po sobie za następcę ukazał.

Wojna i władza, znowu w nim niepospolite rozwinęły przymioty: w istocie był to jeden z tych ludzi, którzy bojując z sobą i złemi skłonnościami swemi, wielkiemi być muszą w jakikolwiek sposób. Tyberyusz mógł też być wielkim, gdyby objąwszy spadek po Auguście, potęgą swą nieograniczoną nie oszalał, a namiętnościom wodzów nie puścił.

W téj wojnie germańskiej był on, jako żołnierz i wódz, wytrwałym na niewygody i znoje, po starorzymsku prowadząc legije do boju, bez namiotu, na wilgotnej ziemi nocie przepędzając z niemi, często

jedząc na trawie, w nocy każąc się budzić za każdą potrzebą, karności strzegąc pilnie.

Mniejsza o owoc tych wojen i zwycięstwa, które pominiemy, nie mając zamiaru malować ich, lecz charakter tylko wykazać.

Obok dobrych, rozwinęły się życiem żołnierskiem i złe strony człowieka; August musiał go znać dobrze, gdy, jakieśmy wyżej nadmienili z Swetoniuszem, po długiej z nim rozmowie, uważał się w obec dworzan swych, nad przyszłym podwładnego mu Rzymu losem.

Listy jednak Augusta, które biograf ten przywodzi, pełne są dlań słodyczy i oznak przywiązania, choć może nie tyle je serce, co ochota popisu z wymową i stylem dyktowały, bo Cezar, bel-lenizując w nich, i wiersze poetów przytacza, i wyraźnie raczej dla przyszłości, niż dla przybranego pisze syna.

W chwili śmierci Augusta, Tyberyusz znowu znajdował się w Illiryi, do której wkraczał za ledwie, gdy listy matki gwałtownie wezwały go do Noli.

VI.

Umarł Augustus w domu otoczonym przez Liwią strażami i tak pilnowanym, że o zgonie jego nikt nie wiedział, dopóki się do następstw nie przygotowano.

Rzym czekał otwarcia testamentu Augusta, ale o autentyczności jego zawczasu różnie sędzono. Uspokojenie jednak wszystkich zapewniało przedłużenie władzy nieograniczonej, zbiorowej w jednym ręku jego następcy. Władza ta, jeszcze nie określona, składała się z przelania na jednego różnych dostojenstw, które wprzód były rozpieczętowane i rozdzielone umyślnie — »W Rzymie, powiada Tacyt 1), konsulowie, senatorowie, rycerstwo, dobrowolnie oddawali się w niewolę, a im kto był świeższego rodu, tém więcej okazywał pośpiechu i gorliwiej się fałszem okrywał, układając twarz, aby nie widać z niej było ani nadto radości ze śmierci

1) L. I, 7-

władzcy; ani zbyt wielkiego smutku z powodu o-
dziedziczenia następcy... mieszano łączy razem, żale
i pochlebstwa.«

Wiedziano już, a raczej domyślano się, że Li-
via starać się będzie wynieść Tyberyusza, i przy-
sięgę składać poczęto, choć jeszcze nie było pewno-
ści, że ona mu należy.

Zręczny i wytrzymały Tyberyusz zwołał Consu-
łów pismem, na którego czele, jak w starój Rze-
czypospolitej, kładł ich imiona, nie chcąc się do-
myśleć, by miał już jaką władzę, uważał się tylko
Trybunem, a nie pragnął jeno pozostać przy zwło-
kach ojca i oddać im ostatnią posługę. Ale choć
tak wstrzemięśliwy w słowach, czynem jednak za-
pewniał sobie siłę na przypadek, która szale na
jego stronę przeważać mogła: kohorty practoryań-
skie były w jego mocy; otaczało go żołnierstwo jak
Cezara. Z niemi szedł do Forum i Senatu, wojsku
tymczasem rozkazywał, w słowach tylko wahając
się i miarkując. Zdaje się, że obawa Germanika,
który w rękach miał legije potężne, i chęć uniknie-
nia z nim walki, wstrzymywały go jeszcze; oheiał
być powołanym, zmuszonym niejako do objęcia wła-
dzy, a nie sam ją sobie przywłaszczyć.

W Senacie, unikając głównego zadania; mówio-
no tylko o czci, jaką zmarłemu miano oddawać.
Augustowi., odczytano testamenta, na których czy-

tanie głosu i sił czułem Tyberyuszowi, postanowionemu dziedzicem, zabrakło 1).

Na wyprzódki ubiegano się w senacie o wynalezienie nowych dla zmarłego honorów pośmiertnych; wreszcie senatorowie zapragnęli nieść sami ciało jego na stos pogrzebowy. Tyberyusz słuchał i jęczał, zgadzając się na wszystko. Starszyzna rzymska odegrywała wraz ze stróżami rolę swoją przedziwnie, choć po cichu już, jak zawsze, wiele rzeczy zarzucano zmarłemu w zarządzie kraju i życiu domowém... Przebąkiwano nawet, że wybór padł na Tyberyusza, nie z czułości dla niego, nie z przywiązania do Rzeczypospolitej, ale ze znajomości tajemnej jego zuchwalstwa i srogości, dla podniesienia blasku przeszłości, strasliwą sprzecznością jej następstw 2). Przypominano sobie charakterystykę szyderską, z którą, pod pozorem pochwały, August wystąpił w Senacie, prosząc dlań powtórnie o władzę trybuńską.

Po pogrzebie, wszyscy poczęli błagać Tyberyusza, aby im Augusta zastąpił; on się wahał, wymawiał z razu i składał bezsilnością, poddając nawet myśl podziału władzy, której tylko jeden August mógł sam podolać. Życzył ją tak rozdzie-

1) Swetoniusz.

2) Tacyt. L, I. 10. Comparatione deterrima sibi gloriam quesivisse.

lic, by jeden wojskiem, drugi Rzymem stolicą, trzeci resztą państwa rządził.

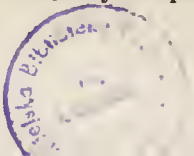
Był to środek wybadania, azali kto nie myśli Germanika do udziału władzy przypuścić, poddanie zręczności do wygadania się, za które, odkrywszy je, mógł się później mścić na sprawcy. Jeden tylko nieszczęśliwy Asinius Gallus, który był wziął za żonę pierwszą Tyberyusza odrzuconą Agrippinę i Drus'a jego przysposobił, znienawidzony przez niego jako rywal, odezwał się pytaniem, jaką część w takim razie obrałby sobie Tyberyusz? Tu pióro Tacyta tak silnie kreśli ową scenę w senacie, iż słowa jego powtórzyć musimy:

»Mowa Asiniusza raczej była napuszona niż szczera; zresztą, Tyberyusz nawet w rzeczach z którymi się nie skrywał, zostawiał zawsze, z natury czy z przywyknienia, wyrazy niejasne i niedokończone... I w tej chwili, siląc się na ukrycie myśli, mowę swą obwijał jeszcze bardziej mgłami i dwuznacznikami.

»Senatorowie też, którzy niczego bardziej się nie lękali nad to, by się nie pokazało, że myśl jego odgadli, wysilali się na prośby, zaklęcia, łzy, rozpacz, obejmowali posągi Bogów, popiersia Augusta, kolana Tyberyusza nawet 1).«

Koniec końców, zręczny ów przysposobiony syn

1) Tacyt. L. I. 11.



objął całe po ojcu dziedzictwo, a spodlony senat przyklasnął jego ofercie. Dodał tylko 1) bolejącym i osłabłym głosem warunek:

— Gdy przyjdzie chwila, w której znajdziecie słuszném... proszę was, byście starości mojej dali wypoczynek i pozwolili mi zrzucić z siebie to ciężkie jarzmo.

Pomimo najusilniejszego starania o ukrycie swęj myśli i uczucia, Tyberyusz zdradzał się wszakże to czynem, to wejrzeniem, choć nigdy słowem.

Krew, z początku tego panowania nawet, gdy jeszcze do śmierci Germanika o zachość z nim walczyć musiał, już płynąć zaczynała. Agrippa umierać musiał. Haterius'a, który był powodem złowrogięgo pośliznienia się i upadku, ledwie wyprosiła matka; nieco później wygnaną Julię, córkę Augusta, po cichu umorzono głodem, a Senpronius'a Graccha, który się umrzeć nie domyślił, z rozkazu Tyberyusza zabito potajemnic, w nadziei, że Rzym się o tych mordach nie dowie.

Wkrótce po osiągnięniu władzy, gdy Senat Livii nadać chciał imię dotąd niewiastom niezwykle, zażdośny sławy i znaczenia syn, z cicha się przeciw tym objawom czci przesadzonej objawił, z przykrością zmuszony przypomnieć, że jćj nie sobie wszystko był winien.

1) Swetoniusz.

Obawa jednak Germanika, w pierwszych latach panowania, czyniła Tyberyusza umiarkowanym w użyciu siły, a przynajmniej w formie jaką jej nadawał; we wszystkiém prosił o rady senatu, nie votował nigdy pierwszy, odmówił wreszcie przyjęcia tytułu Augusta i ojca ojczyzny; zabronił sięgać na swe imię jak na świętość, (co wchodziło już we zwyczaj przez pochlebstwo i było rodzajem ubóstwienia) stawiać sobie świątyn, które mu już wznosić chciano 1), zakazał. Wszystką cześć jaką mu wyrządzano, zwracał pamięci ojca Augusta.

Troskliwy niby o dobro senatu, ubogich jego członków wspierał, groszem ich jednając sobie, a że nigdy chciwym nie był do zhytku, nawet rządcom prowincyj nie dozwalał się sobie datkiem przypochlebiać i niejakiemu Emiliusowi Rectus, który z Egiptu nadesłał mu wyżej postanowionę dani znacniejszą summę, kazał powiedzieć, że poddani jego są owieczkami, że strzydz je potrzeba, ale ze skóry odzierać się nie godzi.

Ten pierwszy peryod panowania Tyberyuszowego jest rzeczywiście zajmującą sztuką sceniczną, dla tych, co znają go później już jawnie działającym po swęj myśli. Moznaby go nie ledwie posądzić o istotną filozofję stoicyzm, skromność i poślizliwość.

1) Dio Cassius

Czasem potulność jego zakrawa aż na szyderstwo, gdy mówiących do siebie poprawia za każdym pochlebném słówkiem.

— Święte tve zajęcia—mówi mu senator jakiś.

— Pracowite...— poprawia Cezar.

— Sprawco!— wykrzykuje drugi.

— Doradco...— szepcze Tyberyusz.

Już wówczas jednak poczęły się pokątne nań pisemka i paszkwile, o których gdy mu znać dawano, skromnie odpowiadał, że w swobodném państwie, myśl i język wolnemi być powinny.

W senacie słuchał rady z pokorą, choć niemal z niej sobie żartował 1).

Laury to Germanika i trudy jego, i bohaterskie życie żołnierza, przypominające ducha i obyczaj dawnych Rzymian, spocząć mu nie dawały, i tę grę w filozofa wywoływały.

Obok Tyberyusza, który w słowach wielkim być usiłuje, Germanik istotnie wielki czynami, stanowi wybitną sprzeczność, tłómaczącą jaką zazdrością przeciwko temu bohaterowi musiał pałać syn Liwii. W sercach Rzymian była miłość i cześć pełna zapалу dla wielkiego bohatera; Tyberyusz nie tylko Germanika, ale żonę jego Agripinę, która mu mężnie towarzyszyła w wyprawach, nienawidził,

1) Swetoniusz.

posądzając, że czyny jej wszystkie zmierzały do pozyskania władzy mężowi.

Jej znalezienie się u mostu na Renie, przegląd wojsek, ofiary żołnierzom, rozdawanie im sukni i pieniędzy, wzbudzało niepokój w duszy Cezara.

U boku też jego stał już ów łysy Sejan, zasusznik godny pana, któremu pochlebiał, podsycając w nim nienawiść, budząc podejrzenia, ofiarując posługi.

Nowe zastosowanie Augustowego prawa o zniewadze majestatu i rozciągnięcie znaczenia jego do pisemek pokątnych, odkryło powoli mściwy charakter Cezara. Wszystko się wówczas dawało w potrzebie pod zniewagę majestatu podciągnąć; Tacyt przywodzi, że jedną z pierwszych denuncyacyj tego rodzaju i zarzutów obrazy majestatu, było oskarżenie Rubrius'a i Falanius'a, rycerzy rzymskich, za to, iż niejakiego Cassiusza, rozpustnych obyczajów człowieka, przyjęli do bractwa na cześć pamięci Augusta postanowionego; potem że Falanius, sprzedając ogrody swe z niemi sprzedał razem (o świętokradztwo!) posąg Augusta, że Rubrius przysięgł fałszywie na imie Augusta.

Tyberyusz jednak tych dziecinnych zarzutów na pierwszy raz nie przyjął i kary za te zbrodnie wymierzyć nie chciał.

Ale droga dla innych była wytknięta i rzemiosło donosiciela stało się sposobem do życia, środ-

kiem pozyskania łaski. Znaleźli się ludzie jak Hispon, którzy z donoszenia żyli, a za ofiary swe wybierali najbogatszych obywateli i najznaczniejszych w Rzymie ludzi... Dla takich zbrodnią było, gdy postawiony posąg Cezara niżej stał od otaczających, gdy mu burza lub przypadek głowę odkreślił... Tyberyusz zrazu hamował zbytnią usłużnych gorliwość.

W tych pierwszych latach po osiągnięciu władzy jest w nim zaród wielkiego człowieka, któremu tylko braknie by tém był, czém się chciał okazać; — pojęcie więc wielkości charakteru było w jego duszy, ale namiętności je zacierały, a sceptycyzm z żywota czynił komedią.

Pracował w senacie, sądom praetoryańskim przysłuchiwał się z kątką, zbytków, szat jedwabnych i naczyń złotych zabraniał 1), kosztowne igrzyska sceniczne starał się skromniejszemi uczynić; płacę histrionów zmniejszył, w własném życiu okazując się oszczędnym, a nawet pilnując obyczajów i rozwiązłości kobiet kładąc granice, choć w nim samym tajemnych i najobrzydliwszych rozpust wrzał ogień niepohamowany.

To staranie o okazanie się wielkim władzcą, troskliwym o dobro poddanych, prześladowanie obrzędów Egipskich i żydowskich, wierze Rzymian

1) Dio Cassius.

i staremu prawu przeciwnych, a czystość jej skalać mogących, rozkaz przepatrzenia ksiąg sybillińskich, czuwanie nad sprawiedliwością wymiarem, nad spokojem miasta i bezpieczeństwem mieszkańców, nad tem, by żadna zbrodnia nie uszła bezkarnie... cechując epokę poprzedzającą śmierć Germanika.

Dodamy tu, że obejście się z żydami, których cztery tysiące za dekretem senatu wywieziono do Sardynii, przeznaczając ich do walki z rabusiami wyspę tę niszczącymi, było popularne ale nie ludzkie. Wedle pojęć ówczesnych, co nie nosiło imienia obywatela rzymskiego, nie zasługiwało ni na litość, ni na sprawiedliwość nawet, a Tacyt pisząc o tem, dodaje z dziwną obojętnością, że jeśliby żydzi poginęli w boju, lub z powietrza pomarli, nie wielka byłaby szkoda (*vile damnum*) 1).

Takie były owego wieku pojęcia...

Tyberyusz, w całym tym okresie silił się na walkę z bohaterem, ulubieńcem Rzymu, stara mu się cnotą sprostać, wspaniałomyślność odegrywa, na przykład, gdy oskarżonego o spisek i zabijającego się Libona po śmierci czyni się obrońcą, choć sprawy wprzód nie umorzył gdy mógł, a majątność winnego rozdzielił między donosicieli.

Charakter ten w pierwszej połowie rządów ma-

1) Tacyt, II. 85.

luje się we wszystkich czynach i słowach; filozof w mowie, na podziw skromny, umiarkowany, dla pamięci Augusta, dla matki pełen poszanowania, łagodny dla winnych, wykonawca sprawiedliwości ścisłej, czyny tajemnemi zadaje kłamstwo pozorom. Opiera się gdy pragnie, jak mówi Dion, nienawidząc ścisła i wychwała. Tak z Giermanikiem, tak z matką, tak postępuje z wielkiego charakteru Pisonem; w senacie z patrycyuszami, milczeniem lub słowy dwuznacznemi pokrywając myśl swoją, a niekiedy wydając się z samowolnością, gdy senat objawia jakąś chętkę i wolę własną, jak w sprawie Hortolus'a, którego o pomoc proszącego odprawił szyderstwem, choć w innych razach lubił się okazywać wspaniałym.

Chwilowe ukazanie się samozwańca, który udawał ocalonego niby od śmierci Agrippę Posthuma, syna Julii, córki Augustowej, nabawiło strachem Tyberyusza o władzę, gdyż lud rzymski niepokoił się tem zjawieniem... Cassius przywodzi odpowiedź schwytanego oszusta, który spytany przez Tyberyusza:— Jakim sposobem stał się Agrippą?— odparł śmiało:— Tak jak ty Cezarem.

Zazdrość o Germanika, coraz bardziej sławiącego się zwycięstwami i wraz z żoną ulubionego ludowi i legijom, trawiła ciągle potajemnie Cezara; pokrył ją jednak ofiarowaniem igrzysk w jego imieniu ludowi i przypuszczeniem go z sobą do Con-

sulatu. Wszystko to osłaniało nienawiść i powziętą już może myśl pozbycia się współzawodnika. Ostatek dni jego zatruli walka z Pisonem, jakby umyślnie wyznaczonym do skrócenia mu życia.

Śmierć bohatera nie bez przyczyny może przypisano czarom i truciznie, poddanej przez Pisona i żonę jego Plancynę.

Wśród tych dziejów coraz większego upodlenia charakterów i ludzi, wzniosłe postacie Germanika i Agripiny jaśnieją dziś jeszcze bohatersko—jakże w owych czasach wspaniale na tém tle czarném wydawać się musiały!!!

Konający na wygnaniu bohater, ofiara prześladowania nikczemnego, napędza Tyberyusza radością, Livią spokojem, rozpoczynając nową epokę żywota Cezara, który czując się silniejszym, staje coraz zuchwalszym, zrzuca maskę i okazuje jakim jest w istocie.

Lud rzymski długie potem, wśród nocnych ciszy, wykrzykiwał pod oknami pałaców Tyberyuszowych i pisał na murach:

— Oddaj nam Germanika 1)!

Śmierć jego powszechnie Livii i jej synowi wyrzucano.

1) Swetoniusz.

VII.

Ubezpieczony pozbyciem się nienawistnego współzawodnika, Tyberyusz podniósł głowę i aktorskie zrzucił suknie; nie potrzebował grać cnoty i wspańiałości, aby Germanikowi dorównać; nowy jednak niepokój nim owładnął: obawa spisków, nieprzyjaciół skrytych i niechęci ludu rzymskiego, który mógł na nim mścić się nie jedną śmiercią Germanika, ale surowego obejścia z jego wdową i dziećmi, swoich własnych ucisków i spodlenia. Im niżej padał przed nim senat, im czynniejsi stawali się donosiciele, im więcej ofiar przebijały się mieczem i zamarzały głodem, tém Cezar niespokojniejszy na resztę ludu swojego poglądał, zdradę przewidując wszędzie, grózb szukając w każdym słowie.

Kłamcy nauczyli go téj niewiary, z jaką uśmiechał się ubóstwiającym nawet siebie, dając do zrozumienia, że strach a nie serce mówiło przez ich usta.

Do tego czasu jeden tylko człowiek, oddany mu i zaprzędany ciałem i duszą, Aelius Sejan, syn Strabona, miał ucho jego i wiarę.

Zaslepiony starzec jakąś dziwną ku niemu namiętnością, ufał zausznikowi, czyniąc przezeń wszystko, dając mu władzę niezmierną i do coraz wyższych podnosząc godności. Pieszczoszek ten Tyberyuszowy, w dzieciństwie jeszcze splugawiony rozpustą Apicyusza, któremu się był sprzedał, dostał się później do dworu Cezara, i z triclinium jego i gacha, na wodza straży praetoryańskich był wyszedł. Równie okrutny i bez serca rozpustnik, jak pan jego, posiłkował go we wszystkiem, aby się sam podniósł i już zamyślał o panowaniu, które częściami zręcznie sobie przywłaszczać umiał.

Ze śmiercią Germanika poczynają się podejrzliwe prześladowania ludzi, pism i władza coraz wzrastająca Sejanowych pomocników, donosicieli.

Niewolnicy, jak wiadomo, nie mogli wedle prawa świadczyć przeciwko panom swoim, oskarżonym o występki; wynaleziono więc sposób na wymożenie u nich legalnego świadectwa w razie potrzeby; skarb naówczas wykupywał ich na swój rachunek, i męczono, póki nie zeznali co kazano.

Donosiciele nową i straszliwą broń zyskali w ten sposób.

Powrót do Rzymu Agrippiny z popiołami Germanika, sprawa Pisona, z której jawnie okazywało

się, że postępował z nieprzyjacielem stosownie do otrzymanych od Tyberyusza rozkazów, śmierć jego wreszcie, zapobiegająca podobno by się to wszystko dobitniej nie objawiło, udawany po niej żal Cezara, wszystko to razem okazało Rzymowi, jakiego miał pana nad sobą. Obawy Tyberyusza nie były płonnemi, gdyż najpodlejsze uniżenie kryło już wówczas ohydę ku niemu, wstręty i niechęć powszechną.

Nawet to życie, dotąd osłonięte tajemnicą nieprzejrzaną, które później w najrozwiązlejszą rozpustę bezwstydnęj starości na wyspie Capreä miało się przemienić, powoli już zaczynało się ukazywać jaśniej oczom tych, których potępiano za podobne sromoty.

Posepny, milczący, ponury i poważny w senacie, Tyberyusz, przy drzwiach zamkniętych, w obozie pretoryan, spijał się do szaleń, tak że dawniej mu w Germanii nadane przez żołnierzy przezwisko *Biberius Caldus Mero*, przypomniano znowu.

W chwili, gdy srogie prawa, zbytku, rozpusty niewiast i gorszących igrzysk teatralnych zakazywały, zamknięty z Pomponiuszem Flakkiem i Pizonem, stary rozpustował po dwie doby z niemi, zowiąc ich swymi najmilszymi przyjaciółmi; towarzysza tych biesiad, Sestiusza Galla, zbezczeszonego człowieka, wprowadził do senatu, iz nim razem nocne uczty na Palatynie sprawiał, rozkazując

posługiwać sobie orszakom obnażonych dziewcząt. Mówiono, że Questorem kogoś zrobił za tchem jedynym wypitą całą winą amforę 1), a rycerza rzymskiego niejakiego Prisca, urzędnikiem mianował do nastreczenia rozpusty.

Sypialne jego izby całe były pomalowane w najrozwiązlejsze obrazy, wśród których celował Pharrasyuszowy Atalanty z Meleagrem obrzydliwy i bezwstydnny.

Wśród tych zabaw, skalanych monstrualnemi wymysły, które ni płci, ni wieku, ni stanu kapłańskiego nie szanowały, zawsze retor, artysta, mówca o czystość języka troskliwy, zaprzętał się Cezar słówkami i wierszykami, płacąc za płaskie koncepta, zadając przy biesiedzie pytania dowcipne, lubując się harmonią poezji greckiej, sam pisząc mowy, listy i poemata w języku Hellenów.

Trefne te zabaweczki i zagadki — kto był matką Hekuty? — Jakie imie nosił między dziewczętami Achilles? — Co śpiewają Syreny? — przeplatały wyroki śmierci i szyderskie pastwienie się nad podejrzanemi sobie, nad znienawidzonymi.

Życie ludzkie nic u niego nie ważyło, ale w mowie łacińskiej użycie w senacie wyrazu greckiego *emblemata*, kłopotalo go niezmiernie, chciał go konie-

1) Swetoniusz.

cznie łacińskiin zastąpić, a słowa brakło. Nawet sam Cezar wynaleźć go nie mógł. 1)

Obok tych literackich zabawek, myśli i słowu człowieka, których objaw dawniej pozornie szanował, nie dawano najmniejszej swobody. Cremotius Cordus musiał się zabić za to, że Brutusa i Cassiusza nazwał ostatnimi Rzymianymi; biedak Luterius Priscus, poeta, który był na śmierć Germanika wiersz ułożył, a potem zawczasu, w czasie choroby Drusa, zgon przewidując, zapaśną elegiję dla niego napisał, i nieostróżnie ją przed kobietami odczytał, oskarżony o tę zbrodnię, również sobie życie odebrać musiał.

Nawet w dzieciach i żonie obawiał się Germanika jeszcze po jego zgonie: — nie śniał ich otwarcie prześladować Tyberyusz, i najstarszego z synów zmarłego, Nerona, sam troskliwie prowadził do questury.

Wśród tych niepokojów ciągłych, które go tajemnie pożerały, zmarł mu Drusus, jak mówiono otruty przez sługi i żonę Lewillę, uwiedzioną umyślnie przez Sejana, aby się pozbyć następcy i zbliżyć do władzy, którą tak pochwycić pragnął. Na tę śmierć dziecka Tyberyusz patrzył tak chłodno jakby go nie nie obchodziła, długą i piękną mową zaraz się po niej pocieszając. Maluje to po-

1) Swetoniusz.

jęcie jakie miano o jego charakterze, że wieść chodziła jakoby sam Drusa otruł, z namowy Sejana, który mu podszeptał, iż syn czyhał na jego życie.

Sam chcąc pozostać w Rzymie i opanować władzę całą, Sejan powiększył obawy Tyberyusza, winawiał mu potrzebę spoczynku, by go oddalić i nakłonił do usunięcia się w Campanią, zkądby mógł mieć oko na stolicę, a życiem się czynnem nie nużyć.

Tyberyusz opuścił Rzym, pod pozorem poświęcenia świątyni Jowisza w Capui i Augusta w Noli, by więcćj już do niego nie wrócić.

Panowanie zostało w rękach Sejana, pozór tylko władzy przy starcu, dobrowolnie skazującym się na to rozkoszne wygnanie, i dla wygodniejszego rozpustowania, usuwającym się ku owemu cudnemu brzegowi morskiemu, a potem jak łoże wieczorne przygotowanej dlań Caprei.

„Niektórzy utrzymują, pisze Tacyt, że poczwarność jego w starości, rozrosłe, wychudłe i przygarbione cielsko, głowa łysa, twarz wrzodami i plastrami okryta, nabawiały go wstydem, ilekroć musiał się ukazać publicznie; że samotność w Rhodos przyuczyła go do stonienia od ludzi i szukania potajemnych rozkoszy. Inni gwałtownemu charakterowi matki przypisują ucieczkę tę z Rzymu.“ 1)

Wypadek wśród tej podróży, w której mu z ra-

1) Tacyt. L. IV. 57.

zu towarzyszył Sejan, mający później do stolicy powrócić, powiększył jeszcze wdzięcznością za ocalone życie miłość Tyberyusza ku niemu. W drodze obiadowano w grocie, pomiędzy morzem Amuklańskim a Fundi, w miejscu od pieczary *Spelunca* zwaném. Wpółród biesiady nagle skały nad głowami ich runęły i wszyscy uciekać zaczęli, jeden Sejan, okrywając Tyberyusza kolanami, głową, rękami, powstrzymywał upadek kamieni, dopóki żołnierze w pomoc mu nie nadbiegli. Ten czyn męstwa i przytomności umysłu do reszty znicwolił serce ocalonego Cezara.

W Rzymie tymczasem mnożyły się codzień prześladowania, któremi się Sejan ubezpieczał, panując tu ze swymi wiernymi pretoryanami; codzień ktoś padał ofiarą donosiciela, a ci, co majątek dla spadkobierców ocalić chcieli, nie czekając przekonania o winę i wyroku, po uczcie z przyjaciół, sami sobie śmierć zadawali, by kata i grabieży uniknąć. Wiedzieli oni, że dosyć być oskarżonym, aby potępionym zostać.

Zbytek, jaki wówczas panował w Rzymie, nawet najzepsutszych uderzał i senat, choć sam zniechęcały, widział się zmuszonym przypomnieć Cezarowi dawne prawa, które go ograniczały. Tyberyusz sam rozpuście już i wymyślnym oddany rozkoszowaniom, nie śmiał ukrócić szалу. Czuł on, że wpływając na charakter narodowy, na obyczaje,

na hart duszy, rozpusta i przepych przysposabiały mu posłusznych poddanych, pomocnicząc bojaźni; że surowsze życie byłoby dało siłę ludziom, których słabości i spodlenia pragnął; odmówił więc prawa nowego i senat zamilkł posłuszny. Okazał się przytém łaskawszym ehwilowo, jakby okrucieństw Sejanowych współzawodnictwo chciał zaćmić dobrocią, wstrzymał donosicieli, którzy zajadle pełnili swe bezpieczne rzemiosło, a gdy niejaki Capiton w senacie mocno i gorąco powstał na samego Cezara, z powodu, że bronił Enniusza, który srebrny posąg jego przetopił na jakieś naczynia, nie przyjął tego nowego rodzaju pochlebstwa i oskarżonego uniewinnił.

Nie trwało to jednak długo — ujrzano wkrótce w senacie ze zgrozą donosiciela syna, przeciwko własnemu powstającego ojcu. Był to Vibius Sere-nus, który okrytego łańchmanami, wynędzniałego rodzica, w kajdanach wleczzonego przed sąd senatu, oskarżał o poduszczanie Galii do buntu. Ojciec podnosząc skute ręce ku niebu, wołał o pomstę bogów. Tyberyusz, którego sprawą było to mściwe i późne obwinienie, sam się uczuł wstydem okryty, ale to mu nie przeszkodziło zgubić nieprzyjaciela, gdyż zemstę umiał żywić lata długie i zagasnąć jej nie dawał.

Vibius powrócił na wygnanie, Cezar wziął znowu stronę donosicieli i cugle puścił ich niecnocie.

Śmierć matki, Liwii, uwolniła go nareszcie od

współzawodnika, którego znosić musiał, który codziennie cięższym mu się stawał. Liwia była szanowaną w Rzymie, senat považał ją, a stara matka miała stanowisko, którego blask nickiedy synowi bywał przykry; wybuchały z tego powodu gorzące niechęci i gniewy.

Ostatnie dni téj kobiety, w której charakterze już syn przegląda, upłynęły w walce skrytej z własnym dziecięciem, by nie do obrazu szkarad téj epoki nie brakło.

Widzimy Cezara z zimną krwią patrzącego na śmierć syna własnego Drusa, cicszącego się prawie ze zgonu matki, której stosownego do stanu pogrzebu odmówił. Tyberyusz, poświęciwszy już naówczas świątynie w Campanii, skrył się był na Caprejskiej skale.

„Wyspa ta, mówi Tacyt, nie ma żadnego portu, ledwie najmniejsze statki znajdują się tu gdzie schronić; samotność ta spowodowała zapewne, że ją Tyberyusz ulubił, nikt bowiem przybić nie mógł do brzegu, żeby go z daleka nie postrzeżono....

„Zresztą, klimat jój jest miły, w zimie góra ośłania od wiatrów północnych, w lecie na zachód zwrócona miłą jest szerokim na morza widokiem, przed sobą ma zatokę, pięknniejszą naówczas jeszcze, póki ją wybuch wezuwiusza nie zniszczył.“ 1)

1) L. IV.

Zamknięty w téj ustroni Cezar, nie przybył na pogrzeb matki, wymawiając się pracą i zajęciami pilnemi, i po cichu sprzeciwiając się apoteozie, którą ją uczcić chciano. W liście swym nawet do senatu naigrawać się zdawał z pochlebców, którzy przez cienie Liwii do serca jego trafić chcieli, i przypomniawszy to drugie swe szyderstwo, z jakim przyjął posłów greckich, którzy przybyli z późném ubolewaniem nad śmiercią syna jego Drusa, odpowiadając im: — Że równie ubolewa nad stratą, jaką ponieśli przez śmierć mężnego rycerza Hektora....

Zgon ten ostatnią zerwał tamę, wstrzymującą szaleństwa Tyberyusza i Sejana, które staréj matki mimowolne poszanowanie hamowało. Wraz po jéj śmierci, Cezar dopomniawszy się u senatu o głowę Agrippiny, żony Germanika i syna jéj Nerona.

Pierwszy raz może senat przerażony umilkł, nie śmiejąc dać odpowiedzi. Jeden Messalinus Cotta wyrwał się z wyrokiem śmierci usłużnym, inni ustworzyć nie śmieli, bo lud przywiązany do rodziny Germanika, otaczał izbę i warczał groźny.

Sejan się wściekał, Tyberyusz ponowił zaskarżenie i spodleni ludzie oddali mu na pastwę nieprzyjaciół.

Teraz już zausznik Cezara sam panował w Rzymie, a im się bardziej przeciwko niemu szerzyły tajemne pisma, szyderskie słowa i podrzucane sa-

tyry, tym szalał groźniejszy, poduszczając donosicieliw pęną grosza i nagrodami.

Postrach śmierci wywoływał najzagorzalsze pochlebstwa, na forum stawiano mu posągi, w świątyniach popiersia, poczęto przysięgać na imie Sejana, łącząc je z Tyberyuszowem i obu stawiając na równi.

Choć zdala Cezar już był uwiadomiony o wszystkim, lękał się śmierci od tego, któremu dał władzę, ale podejrzeń okazywać nie śmiał, aby nie przyspieszyć wybuchu.

Owszem, był dlań coraz łaskawszym, serdeczniejszym, im więcej się go obawiał, tém zbliżał doń czuliej, nie wiedząc jak najniebezpieczniejszego ze wszystkich pozbyć się współzawodnika. W téj to chwili właśnie skrywanego niepokoju znajdujemy go na skalistym brzegu Caprei, otoczonego małym dworem wiernych, oczekującego co chwila wieści strasznej lub przynieść mu mającej głowę Sejana.

VIII.

Dzień się miał ku zachodowi, niebo było wypogodzone i jasne, wiatr chłodny zawiewał od północy, morze błyszczało bez zmarszczki, a z wierzchołka stromego brzegu naprzeciw przylądka Minerwy widać było niezmierną przestrzeń mórz i lądów, wśród przezroczystego powietrza malujących się tak wyraźnie, jakby je czary jakie ku wyspie zbliżały.

Gdzie niegdzie na tym uśmiechniętym brzegu Sorrentu, z Herkulesowej świątyni nad falami wzniesionej, z białych ołtarzy Faunów, dymek ofiar wznosił się w powietrze leciuchny i rozpływał powoli, nieznacznym wietrzykiem rozprzędany jak nici pajęczce. Oko sięgało z łatwością przez zatokę Salernium, ku przeciwnym brzegom, do Helli i przylądka Palynura, i świątynie Paestu nawet, w sinawej dali omglone, widniały na złotych brzegach Lucanii.

W drugą stronę, z wierzchołka wieżycy strażniczkiej, przy Jowiszowej willi się wznoszącej, widać

było jak na dłoni całe wybrzeże zatoki Cumańskiej, z zielonością okrytym Wczuwiuszem, z Herkulesowym portykiem, Retiną, starą Parthenope, Pausilippu grotą i willami nad morzem w zieloność utulonemi, Pitecusą i Pontią i ginącemi w dali krajami Campanii szczęśliwój ku Latium.

Między niebem pogodném i rozpłomienioném ostatniami słońca blaskami, a morzem w którém się ono przeglądało, najczystszemi barwy oblaném — brzegi Campanii i góry dalekie leżały złączone harmonijnemi tony powietrza, fantastycznemi kształty swemi urozmaicając ten obraz wielki, pełen majestatycznego wdzięku. Tylko po nad górami Tauru, za pyramidą Wezuwiusza, jak cienie przesuwwały się lekkie chmurki blado-liliowe, stanowiące głąb tajemniczą tego czarodziejskiego widoku.

Na wyspie cisza panowała przerażająca: żaden głos nie dochodził z jej dolin i woda fontann ledwie śmiała szmrać po cichu.

U stóp kamienistych małej zatoki, od strony Campanii, gdzie przybijały okręta, stały nawy milczące i jakby do odpłynienia gotowe, ale z ich malowanych wnętrzy żaden się głos nie dobywał. Na trzech rzędach wiosł zatopionych w morzu, trzy szeregi majtków, wsparte smutnie, milczały w oczekiwaniu.

Ozłocona promieniami zachodu, wyspa świeciła na tle szafirowego morza, jak z drogiego onyxu wy-

kute cacko, ze swemi portyki, galeryami, kolumnami świątyń i pergulami willi obwieszonych winną macicą. Od przylądka Minerwy u dworca Jowiszowego, nad samą zwieszonego przepaścią, na białych mozaik pokładzie, oparty o brązowe balustrady, siedział mężczyzna przygarbiony i patrzył to na szerokie morze, to na góry otaczające. Najmniejszy szelest go niecierpliwił, każdy ruch na wyspie przerażał, ale znać było, że tę boleść trawiącą starał się ukryć, i choć drgnęło ciało zesłabłe, wracało znowu do posagowego spoczynku, do bezwładnej obojętności.

Był to mąż lat już podeszłych, z wyłysiałą głową, okrytą wieńcem laurowym, włożonym nie tak dla ozdoby, jak z obawy piorunów, które go tego ranka zbudziły, rozlegając się po skałach; przygarbiony, wychudły, kościsty, twarzy dziwnie uderzającej. Całe tam długie i burzliwe wypisało się życie na czole pofałdowaném, w oczach osłupiałych i straszliwie wypukłych, w porytém wrzodami ciele, w pozalepianém liśćmi ziół różnych, w ustach, zaciśniętych z dzikim wyrazem szyderskiego okrucieństwa, ubierającego się uśmiechem zimnym.

Oczy jego były zbladłe i szklane, głowa porwana fałdami, skóra na policzkach obwisła i pocentkowana bliznami już zgojonych ran, obok których nowe, rozdarłe jeszcze, zaledwie krwawo poprzysychały. Długa szyja, nieco zgięta, którą opła-

tały żyły wzdęte i jak sieć z pod skóry przeglądające, sterczące grube ramion kości z pod lekkiej *trabei* purpurowej, spiętej na ramieniu rzniętym kamieniem, wychudłych rąk długie palce, grzbiet przygarbiony, pierś sucha i włosem jak ręce okryta — postać tę czyniły przerażającą.

A jednak w obliczu stęranem i krwią namiętności nabiegłym, w rysach tej twarzy nieszlachetnymi żądzami spalonej, widać jeszcze było, po za zgnilizną dzisiejszą, jakby świetniejszej promyk młodości.

Natura uczyniła niegdyś to oblicze pięknem, życie je przetworzyło na maskę Satyra dzikiego, zgniotła namiętność, obawa, tęsknota i najszkaradniejsze ze wszystkich uczucie zazdrości i nienawiści.

Przez oczy, usta i głowę tę wypełzłą, mnogie lata niezliczonemi przedarły się zgryzoty, porywami, tajonemi zemsty i boleścią, zostawując po sobie ślady sromotne i krwawe.

Tym starcem był Tyberyusz Cezar... sam jeden dziś na odludziu szukający zapomnienia przeszłości, drżący o teraźniejszość, niedowierzający ludziom, nie rad z siebie, milczący dnie całe, by szyderstwem lub wyrokiem śmierci na krótko otworzyć usta.

Nieco opodal od niego stali jakby czekając rozkazów kilku ludzi skrytych za kolumny portyku, a

po między nimi odznaczał się młodzieniec wysokiego wzrostu, chudy, cery śniadój i jakby opalonej, którego rysy dziwnego, niepochwyczonego wyrazu, uderzały rodowemi arystokratycznymi cechami. Ale natura, dając mu oblicze piękne prawie, chciała tylko oznaczyć pochodzenie i typ ten sama starła w swych rękach, piętnując go na rozpasanego szaleńca. Cajus Caligula, syn Germanika, nie miał, mimo pięknych rysów, szlachetności w twarzy; oczom jego wpadłym i jakby obłąkanym, ustom dziwnie wykrzywionym, gdy je mowa otwarła, brakło wyrazu i powagi; czoło szerokie a niskie, nierówne i pogarbione jakby niedokończonego popiersia, które rzeźbiarz porzucił, nie błyskało geniuszem, zapalem, ani nawet dumą; znać było, że myśli w nim mieszkać ciasno.

Na głowie włos powiewał cieńki i w części już pełznąć zaczynający, choć młodzieńcze to oblicze nad dwadzieścia kilka lat więcej nie okazywało. Ale i te już ciążyły na tym wyrostku, zawczasu wyniszczonym nieustannie podżeganą rozpustą.

Cajus miał na sobie tunikę lekką i długą po kostki, bez rękawów, i togę, której złociste obszycie w greckie meandry całą było ozdobą; na nogach jakby dla przypomnienia przezwiska, które mu żołnierze niegdyś nadali, pieszcząc się z ulubionego wodza dziecięciem, *caligae*, perłami szyte.

Oko jego z za kolumn śledziło każde porusze-

nie przybranego ojca i pana, a myśl nim tylko zdawała się zajęta.

Daléj nieco stojące dwie jeszcze postacie, w greckie purpurowe *trybomiona* odziane, z głowy łysemi i pokorną postawą, tém się tylko od siebie różniły, że jeden był wychudły i połamany a zgięty jak stara winna latorośl sękata, drugi Ezopowy garb nosił na grzbiecie. Odzież obu jednaka, zdradzała domowników Cezara, a na licach ich malowało się znużenie i jakby tęsknota, która w téj chwili, gdy od nikogo postrzeżonymi być nie mogli, mimowolnie wybiła się z pod dzwiganéj maski służebnéj.

Głębiéj jeszcze, w długim marmurowym portyku, patrzył na morze, przechadzając się, starzec siwy, z długą brodą białą, w szacie filozofa, brunatnéj, poplamionéj i zszarzanéj, z założonemi na piersiach wyschlémymi rękami....

Wśród tych popiersi, napiętnowanych namiętnościami różnemi, w konwulsyjném jakiémś drganiu stężałych — wspaniale odbijała się ta głowa starca Thrasylla, piękna, spokojna, poważna, acz chłodem śmierci spowita. Znać było, że życie nie potrafiło przygnieść tego człowieka, choć nad nim wielkiém ciężyło brzemiennem... oczy choć wpadłe, patrzyły pogodnie na morze i Surrentyńskie brzegi, usta były smutne ale przymknięte łagodnie, a mimo wieku biała i zarumieniona skóra świadczyła o życiu wstrzemięźliwém....

Thrasyllus był astrologiem i wieszczbiarzem: on jeden, z mnogiej liczby swoich współzawodników, prześladowanej i rozpędzonej, pozostał przy Cezarze, bezpieczny dotąd i spokojny, ze stoicką odwagą i obojętnością patrząc na krew, mordy, własne niebezpieczeństwo i przemiany dziwne, którym świat wkoło podlegał. . . . Nic go zachwiać i ustraszyć nie mogło.

I w tej chwili, choć z między białych słupów przechadzającemu się ukazywała straszliwa twarz głęboko zadumanego Cezara, ze swym uśmiechem kamiennym, groźnie pomarszczonem czołem i drgającą niecierpliwym niepokojem piersią — ten widoczny dlań stan zburzenia władcy, który życie wszystkich miał w rękach, nie poruszał Thrasylla. Chodził tak po portyku Jowiszowej willi, jakby po ojczystym brzegu greckim w dniach spokojnej młodości.

Za ścianą brzeżną, co portyk dzieliła od wewnętrznego atrium, przez odrzuconą zasłonę, która drzwi na pół tylko okrywała, widać było w głębi na ławie kamienną jeszcze jedną postać, wyrostka nadzwyczajnej piękności, siedzącego nieruchomie z opuszczonemi rękami i zwieszoną głową. Gdyby nie włosy ciemne, wonnościami zlane, i w spletach długich wijące się po białej szyi, można go było z razu wziąć za posąg młodego Apolla, dłotem Praxytelesa dobyty z paroskiego kamienia. Cudnych to

kształtów było dziecię, zaledwie dorastające i dziewiczym wdziękiem młodości oblane. Lekka szata z białej tkanki zaledwie mu pierś i część ciała okrywała, zostawując nogi, szyję, ramiona utoczone marmurowej białości, jakby umyślnie dla podziwu obnażonemi.

Smutny chłopak siedział tak pochylony, z głową, z której spadały włosy czarne, z rękami na kolana opuszczonemi, w postawie zadumania tak wdzięcznej, że zdala stojące posągi zdawały mu się zazdrościć. Piękne jego ręce i nogi, naturalnym instynktowym ruchem ułożyły się w artystyczną całość, tak wdzięczną, że przechodzący Thrasyllus stawiał niekiedy, aby nań dłużej popatrzeć.

Ale chłopak nie widział ani starca, ani innych przesuwających się po cichu ludzi, ani malowanych ścian co go otaczały — wzrok miał wlepiony w ziemię, a mokra powieka zdawała się lżą błyszczącą niedosuszoną, i myśl gdzieś puściła się tak daleko, że jej nie ku teraźniejszości zawrócić nie mogło. ...

Wyrostek ten zwał się Hypathos i był nieszczęśliwym Tyberynsza ulubieńcem.

Cezar, zwrócony twarzą ku Polidonii brzegom, długo tak siedział nieruchomy prawie, parę razy tylko krzyk przelatującego ptastwa na twarz jego chmurę groźb pełną wywołał; potem nagle obrócił się w przeciwną ku Rzymowi stronę, i znowu dłu-

go okiem błyskami zachodu ośleplém w morze się wpatrywał.

— Cajus! — zawołał na młodzieńca stojącego najbliżej— spójrzysz ku Pitecusie,— nic-li tam nie widać na morzu?

Caligula wystąpił szybko, posłuszny, z za słupów, przyłożył rękę do czoła i począł patrzeć uparcie na uspokojone fale....

— Nic, ojcie — odezwał się po chwili — ani zagła, ni okrętu....

— Nic i nic! — głucho powtórzył Cezar — nic... I dodał wiersz jakiś grecki, o który, zaledwie dosłyszany, dwaj grecy w czerwonych sukniach jęli się spierać, przypisując go jeden Homerowi, Hezydowi drugi, ale wrzawa powstająca, spójrzeniem zaognionych oczów Tyberyusza w ołowiane zmieniła się milczenie.

Cezar wstał z ciężkością, a raczej dźwignął się z siedzenia, powiódł jeszcze po morzach oczyma, lekki uśmiech przebiegł mu usta zsiniałe i miał się skierować ku portykowi, gdy nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, od strony morza ukazała się czepiająca po stromych skałach i po nad nie wyskakująca postać człowieka.... Przerażony naglém ję ukazaniem cofnął się Cezar i zadrżał chorobliwie, ale wnet pohamował strach i stanął jak wryty, bledniejąc tylko od gniewu.

Z téj strony budowy willi były całkiem niedostępne, góra ścianą prawie pionową tonęła w morzu, kamienie jej gładkie ledwie gdzie jaką szczerbą się rysowały; zdawało się niepodobieństwem, by stopa człowieka wdarła się tędy do strzeżonych wkoło mieszkań pana. Zjawienie się więc ludzkiej postaci nad tą przepaścią nieprzystępną, przeraziło niespokojnego już Tyberyusza. Krzyk gardłowy, stłumiony wprędce, do stóp jego zwołał natychmiast co żyło — Cajusa, filozofów i dalej ukrytych niewolników i strażę.

Nie było jednak nic tak groźnego w tém niespodzianém zjawisku, co tak pana świata ulękło, a na strach jego poglądało z uśmiechem... śmiałek ów był prostym rybakim z Caprei, chcącym się docisnąć do pana z ofiarą, której inaczéj złożyć nie mógł, gdyż niewolnicy dopuścićby go nie chcieli. Trzymał on w ręku ogromną barwenę, rybę naówczas najwyżej cenioną takiej wielkości, jakiej okoliczne wody nie miały, i sądził zapewne, że go Cezar obficie za przysmak ten obdarzy — ale się bardzo omylił w rachubie.

Tyberyusz zadrżał; nędzny ów rybak i Grecy i Cajus obawę jego spostrzegli; pomścić się więc musiał za to i trzęsąc jeszcze, rozkazał ową szorstkiej łuski barweną nieszczęśliwemu twarz wytrzeć.

Ze śmiechem i wyciem rzucili się niewolnicy na osłupiałego rybaka, który jedną nogą stojąc jeszcze

nad przepaścią, drugą sparty o balustradę wiał się cały pokrwawiony, wołając:

— O! dzięki jeszcze bogom, żem mu raka złowionego razem nie przyniósł.

— I tu go dostanie! — rozśmiał się starzec skinawszy na swoich.

Z okrucieństwem nie ludzkim, jęczącą ofiarę wstrzymano za włosy nad skałą, dopóki nie przyniesiono raka, którym twarz poranioną na nowo mu odarto.

Naówczas nasycony skinął Cezar i nędznik ów zepchnięty nagle, znikł na skałach rzucony ku morzu. 1)

W czasie tej sceny okrutnej, twarz Tyberyusza wysiłkiem woli przybierała znowu wyraz spokojny, a z przytomnych Cajus jeden spoglądał na męczarnię z uśmiechem wyuzdaną swawoli; greccy retorowie jak na igraszkę niewinną z podłą istotą, Thrasyllus z krwią zimną przywykłego już do podobnych widoków i zastygłego człowieka. Krzyki rybaka wywołały także osłupiałego chłopca z jego kryjówki, wybiegł Hypathos, obejrzał się smutnie i szybko zakrył sobie oczy przerażony. Zdawało się z razu jakby chciał biec ku nieszczęśliwemu, ale nim miał czas ruszyć się, już go na skale nie było.

Służba tylko pańska zwieszona patrzyła w dół

1) Swetoniusz 60.

ciekawie, a Cezar skinąwszy na Thrasylla, z nim razem poszedł drogą marmurową, zwieszoną nad przepaściami i schodzącą powoli ku brzegowi od strony Cumańskiej zatoki.

Cajus i Grecy ustąpili i skryli się za kolumny; tylko niewolników tłum, wywołany z kryjówek, przyglądał się morzu i skałom stromym, chcąc dóżyć co się stało z ciałem rybaka. Hypathos podbiegł także ku galeryi i piękną swą główkę zwiesił nad morze, szukając go niespokojnemi oczyma.

— Gdzież się podział? — zapytał niewolników.

— W pałacach Syren — rozśmiał się jeden z ludzi — zaniósł im swoją barwę i raka.

— Upadł więc? — spytał chłopak.

— A mogłoby być inaczej? — odparł jeden z niewolników. — Patrz-no chłopcze — dodał — nie wiem jak on tu się wdrapał? Ale czegoż człowiek nie uczyni dla złota? Nie lepiej rozumiem jak potrafił zlecieć tak szybko, żeśmy ciała jego na wodzie, ani trupa na skałach, ani krzyku, ani pluśnięcia nie dopatrzyli i nie słyszeli...

Wszyscy tak przypatrywali się ciekawie w dół za biednym rybakiem, a Hypathos ze szczególném zajęciem zdawał się śledzić co się z nim stało... ale owe zjawisko, krwią zbroczone, jak wyrosło z ziemi, niepojętym też sposobem znikło w powietrzu.

— Patrzcie-no! — rzekł jeden z niewolników zafasowany — byleby to nie był duch jaki i bóstwo

morza, które Cezarowi-Bogu samo przyniosło dań
powinną... człowiekby zginął przecie.... A jeśli
się ono pogniewa za to przyjęcie i mścić się będzie?

— Cichoż! — zawołał drugi — gdzieżeś ty bóstwo widział w chlamydie podartėj, tak ogorzałe od słonej wody i słońca?...

— Mówią, że różne przybierają kształty....

— Lecz i Cezar sam jest bogiem — przerwał drugi — uczułyby i poznał w nim gościa z morskiej głębin.

Hypathos stał milezący, a wciąż bacznie na dół spoglądał.... Niewolnicy szepcząc odsunęli się od niego, popatrzyli w przepaść i znikli powoli schodami, znowu spuszczać się do podziemnych camerelli swoich.

IX.

Cezar powlókł się zwolna stroną od Pitecusy, po nad samemi skał krajami.

Z tego boku budowa także graniczyła z przepaścią i powietrzem, drugą dotykając najeżonych ścian kamiennych.

Jak wstęga jasna, wiła się ona samym brzegiem, wyłożona mozaiką, opasana balustradami złożonemi, przybliżając tak ku morzu, ciemniejącemu w głębi, że spójrzenie w dół mimowolnym napełniło strachem. Gdzie niegdzie. nawet, jakby dla powiększenia tego wrażenia, rozstępowały się balasy, gładka posadzka zawisała nad wodą, a krok tylko dzielił od niechybnéj śmierci przechodnia; powoje i winne latorośle dzikie ubierały w tych miejscach przerwy ogrodzenia, zakrywając niebezpieczeństwo. Nieco dalej, droga ta nieznacznie spuszczała się ku dolinie, ryjąc w głąb skały, i wiodła pod ścianą ociosaną do łożni, którój mury kapały się w morzu.

Szedł tedy Cezar z Thrasylllem, zatrzymując się co chwila, jakby nie pewien był, czy użyje przechadzki: czy do wieczornej zstąpi kąpieli; twarz miał posępną, zadumaną, niekiedy oko jego zbladłe i wydęte spozierało ukradkiem na spokojnego filozofa badawczo, ale tak, aby wejrzenia nie postrzegł, ani się badania domyślił.

Thrasyllus stapał poważnie, powoli, bez zbytecznego uniżenia, z obojętnością stoicką, towarzyszącą mu we wszystkich życia przygodach.

— Przyszłość ci wiadoma? — zapytał stojąc nagle Tyberyusz — nie prawdaż Thrasyllu?

— Przyszłość objawiają nam bogowie i od bogów dana nauka... są chwile — rzekł powoli starzec — w których się ona przed nami odsłania, są dniem ciemne kiedy ją dojrzeć trudno... i Sybille nie codziennie wróżyły....

— Córka Hekuby dniem przepowiadała i nocą! — zarzucił Tyberyusz.

— Może dla tego nikt jój też nie wierzył! — odparł starzec.

— Nie zawiodłem się nigdy na przepowiedniach twoich — dodał Cezar — wiesz, że innych astrologów wygnąć i wymordować kazał... było to plemię oszustów... W ciebie wierzę jednego, Thrasyllu, tyś mi jeszcze w Rhodos przepowiedział Rzym i Capreä... powiedzże mi... jasno widzisz resztę mojej przyszłości?

— Tak! są dnie Cezarze — z niepewnością jakąś, wahając się i wpatrując w niego, odpowiedział Thrasyllus.

— A dzisiejszy?

— Nie wiem... chciałżebyś badać mnie w tej chwili?

— Może... ale nie o siebie... — uśmiechając się dziko, zawołał Tyberyusz.

— Będę ci posłusznym, w miarę sił, jakie mi ześlą bogowie...

— A więc, powiesz mi... nie moją, twą własną przyszłość... Co ciebie czeka w tej chwili? co zgotowano dla ciebie?

— Dla mnie? — cofając się krokiem odezwał starzec — i widać było jak cień przesuwającą się po twarzy jego bladość, po której żywszy trochę rumieniec oblał ciało... — Dla mnie? powtórzył poglądając po niebie, jakby w nim szukał skazówek.

— Co ci jest? zdajesz się mieszać? — spytał Cezar szydersko.

— Nic mi nie jest... nie widzę jeszcze jasno... rozwidnia się! postrzegam! W istocie... śmierć mi zagraża niechybna, którą tylko cud bogów odwlec może... tak jest! przyszła godzina libacyi bogom podziemnym i ofiary Eskulapowi....

Cezar, pomimo nawyknienia do ukrywania swych uczuć i wrażeń, zdawał się widocznie zdumiony i przelękły.

— Gdzież to wyczytał? — zapytał.

— W sobie — rzekł uspokojony Thrasyllus. — A tém ciężejby mi było umierać—dodał po chwili— że śmierć moja o rok tylko poprzedzi nowiejsze dla Rzymu nieszczęście.

— Nieszczęście Rzymu? jakie? mów wyraźniej— podchwycił Tyberyusz.

— Śmierć twoją, Cezarze — śmielę zawołał wieszczbiarz. . . .

Na tę wzmiankę twarz pańska pobladła straszliwie i powleczona na chwilę tą białością trupią, ukazała się straszniejszą jeszcze, bo na niej wszystkie plamy wrzodów i blizny stare schorzałego ciała zarysowały się sino.

Stał chwilę niemy, potem rękę wyciągnął ku astrologowi, a on przyklękawszy ucałował drżącą dłoń Cezara.

— Nie obawiaj się — rzekł — niebezpieczeństwo minęło; ale ci Apollo dobrze podszeptał! — I z lekka klasnął na niewolników.

Jak z pod ziemi zjawili się nastawieni po bokach oprawcy z za zielonych krzewów gałęzi.

— Szanujcie Thrasylla — rzekł im Tyberyusz — życie jego związane z mojem. . . .

Ta okrutna ze starcem próba trwała tylko chwilę; niebezpieczeństwo, którego tak przytomnie uniknął, co go bladłością okryło, zdawało się już być zapomniane, filozof odzyskał całą moc ducha, spo-

kój i powagę, jaką miał przed chwilą, stał przed Cezarem, gotów na jego rozkazy, milczący i chłodny....

Tyberyusz nie na niego już, ale w stronę Ostii spozierał baczniej, coraz szukając po morzu żagla, któryby mu dobrą wieść przynosił, śledził jakiegoś umówionego znaku; niepokój widocznie coraz nim silniej owładawał.

— Thrasyllu! — rzekł nareszcie z uśmiechem wymuszonym — co mi z Rzymu przyniosą?

— Sprawiedliwą pomstę bogów! — odparł dwuznacznie filozof.

Oba zamilkli na długo; Tyberyusz, odstąpiwszy kilka kroków, rzucił się na poduszki brązowego siedzenia, które tam stało w portyku.

Wieczór powoli mrokiem przejrzystym osłaniał dalsze obrazy przedmioty, nikły w jego głębiach góry ciemniejące i zlewające się z tłem niebios, wyspy dalsze, morze zaczynało tracić żywą swą lazururową barwę.

Na wschodzie kilka gwiazdek blado zajaśniało i chłodny wietrzyk powiał, wstrząsając lekko liście figowych drzew i bluszczów — głęboka cisza rozprzestrzeniła się dokoła.

— Cajus! — zawołał Cezar domysłając się, że posłuszny wychowanek nie daleko być musi.

I Cajus nadbiegł natychmiast posłuszny.

— Ślij na brzeg, czy nawy moje gotowe? czy

ludzie stoją przy wiosłach? może mi będą dla kogo potrzebne... niech majtkowie pod śmierci karą nie opuszczają stanowisk swoich....

Cajus znikł, biegnąc tak szybko jak się wprzód zjawił, a Thrasyllus także uszedł po cichu z przed oczów Cezara.

Tyberyusz pozostał sam i patrzył uwiecznionym, nieruchomym wzrokiem na brzegi Campanii coraz chmurniejsze i niknące....

Już na nich tu i ówdzie, w mroku wieczora zapalały się światelka; Neapolis, Retina, głębiej ukryte Pompejanum ze swemi budowy białemi, już tylko iskrami zapalonych rozróżniały się światełek na czarnej szacie nocy. Od Wezuwiusza, jakby mgła błękitna, położyła się na falach morskich i kołysana wiatrem lekkim, to osłaniała część brzegów, to ją z pod zasłon ukazywała.

Nagle, w stronie Pausilippu, na górze błysnął ogień jasny umyślnie rozpłomienionego stosu.... Cezar ujrzał go, powstał gwałtownie z siedzenia i mimowolnie z ust drżących okrzyk mu się wyrwał radośny.

— Złożmy ofiarę Fortunie zwyciężkiej Cezarów! Sejan obalony!

W istocie, to płomień na górze oznajmywało Tyberyuszowi, że w tej chwili rozkazy jego wykonaniem zostały, że wolniej mógł piersią odetchnąć, że jeszcze był panem.

Nie bez przyczyny się niepokoił tak bardzo, choć swobodną myśl i wesele udawał. — Rzym już mu się wyslizgał z dłoni, Syn Strabona o lepszą walczył z Cezarem, dlań nawet stając się strasznym.

Ciemieźca ten, pozbywszy się Drusa, sięgał na próżno po rękę jego wdowy, aby się do rodziny, Augustów przybliżyć; odepchnięty, zamierzył opanować władzę i strachem panicznym ją zdobywał. Panował on w Rzymie, gdy Tyberyusz tylko w Caprei, i więcej go już czczono i szanowano niż staro wygnańca, który ze zwykłą sobie chytrą im mocniej się go obawiał, tém czuliej głaskał i większymi obsypywał do stojeństw.

Aż trudnén się już stało tego dowódcę pretoryanów i pana stolicy obalić; — Senat padał mu pod nogi, żołnierzy płatnych swawolą miał po sobie, strach błąd imię jego czynił potężnym.

Musiał więc Cezar cierpieć i czekać, a w ostatku oprzeć się na cnocie i prawości Fulcysza Triona konsula, którego znał charakter i odwagę. W téj chwili właśnie, zausznik Cezara, Sertoryusz Macron, posłuszny woli jego wykonawca o osobisty nieprzyjaciół Sejana, z listami do Senatu wysłany był do Rzymu tajemnie, mając sobie poleconém wyrócić przywłaszczyciela, chociażby uciekając się do środków ostatecznych, choćby obwołując Drusa młodego wodzem ludu.

Tym czasem znając potęgę Sejana, Tyberyusz

choć ufał zręczności Macrona, w niepokoju dręczącym oczekiwał na swój wyspie, nie wiedząc jeszcze czy ten krok zbawi go czy zgubi. Stały przez czas ten cały przygotowane okręty, na wypadek niepomysłnej wieści, gotowe starca i jego fortunę nieść na Wschód, zapewniając mu bezpieczną ucieczkę z garścią wiernych, Cajusem i Macronem.

Umówiony znak, który upadek Sejana zwiastował, długą tę chwilę niepewności tryumfem zakończył.

X.

Twarz Tyberyusza na chwilę rozpromieniła się błyskiem ogni dalekich.

— Stało się— rzekł po cichu— żal mi łysego... zaprawdę, ale sam sobie zgubę gotował?

Bogowie winni byli Cezarowi tę zemstę nad niewiernym sługą z błota dźwignionym.... Złożmy ofiarę fortunie zwyciężkiej.... albo nie, czekajmy Macrona... tak lepiej! Gwiazdy na niebie... czas spocząć i rozweselić się nieco...

Twarz jego, znowu pokonana, przybrała wyraz zimnej obojętności, a kto by ją teraz ujrzał, ani by się domyślił, że przed chwilą błyskała ogniem zemsty nasyconej i radością dziką, tak wszystkie swe uczucia przywykł był jedną zimną maską pokrywać.

Nikt z dworu, prócz Cajusa może, nie wiedział znaczenia zapalonego na wybrzeżu ognia, a Caligula umyślnie tając co odgadł lub wyśpiegował,

przybył w téj chwili wskazując starcowi stos żaganięty.

— Ojcie— rzekł— oto znak jakiś!

— Gdzie?— spytał Tyberyusz obracając się obojętnie.

— Tam, na brzegu Campanii... ten ogień zapalony na górze.

— Dla czegoż to ma być znakiem?— odparł stary zimno— wieśniacy zebrali suche gałęzie lato-rośli winnej i bawią się gdzieś przy ognisku...

Cajus zaciął usta.

— Ale to jak pożar wygląda!

Tak, pali się Gaurus!— rozśmiał się Tyberyusz... ludzie zapalili, Bogowie zagaszą... Zawołać Priscusa; czas spocząć po trudach myślenia i pracy.

T. Caesonius Priscus był jednym z najulubieńszych, najzaufańszych dworaków Tyberyuszowych; od lat kilku Cezar go był całę nowém dostojęństwem przyodział, dał mu: *officium a voluptatibus*, urząd posługacza rozkoszy, a Priscus, choć rycerz rzymski 1) nie wahał się przyjąć obowiązku i sprawiał gorliwie, naprzód w Rzymie, potem w swobodniejszej od oczów ludzkich Caprei.

Pod jego zarządem były wyrostki Cezara, dziecięta, które wybrano do zabaw i posług przy u-

1) Swetoniusz.

cztach, wymysły nowych rozkoszy i troska o znalezienie niespodzianych rozrywek dla zużytego starca.

Priscus dowodził tą kohortą nierządnic, gachów i zepsutych dzieci, które wnętrza odległych willi kryły w sobie; on przez wysłańców swoich coraz to nowe ofiary dla Cezara zdobywał, pieniędzmi lub siłą, coraz nowe wymyślał widoki, aby obumarłe zmysły rozbudzić i strute życie napoić choć krótkim szalem. Ten nikczemny potomek dawnego rodu, dziś podły służebnik zepsutego pana, wyglądał jeszcze, mimo urzędu jaki piastował, na Rzymianina starych czasów. Był to mężczyzna młody jeszcze, rysów twarzy bardzo pięknych, zbudowany silnie, oczów wesołych i jasnych, wielkiej dumy w wejrzeniu; rozpusta nawet, o którą się ocierał, której służył, nie wygasila w nim ostatnich młodości. Zużycie tylko wczesne widać było za dnia w zsiniałych już lekko powiekach, wymokłej twarzy, zniewieściałym uśmiechu i łzawém wejrzeniu.

Wezwany, stawił się zaraz Priscus, i razem z nim ukazały się w portykach zapalone lampy, które tysiącem światła obwiodły galerye i kolumny. Wzdłuż drogi wiodącej ku morzu, po nad balustradami mozajkowanych wschodów, na górach i w dolinach, jakby czarodziejską dłonią duchów, razem zapaliły się płomyki lamp niezliczonych. Widok wyspy, która tak zapłonęła cała na jedno ski-

nienie, na samą myśl Cezara, był zachwycający. Białe marmury, bronzы lśniące, oblane na wpół cieniami przezroczytymi wieczora, na pół gorącym światłem lamp i pochodni, dziwnie pięknie malowały się na iskrzącym już od gwiazd niebie, w eterach, w których się zdawały zawieszone.

Ale twarz Tyberyusza była, jakby na przekór wesołemu obrazowi, smutną i posępną; znać umyślnie przybrał ją tą szatą, aby mu nie wykradziono z duszy wrażenia, którego doznawał.

— Gdzież jest Thrasyllus? — spytał — gdzie *Graculi*? gdzie się podział Atticus? chodźmy...

— Dokąd rozkażesz? Panie?

— W dolinę, do gaju Wenery... niech tam zastawią ucztę wieczorną.... chcę by i Thrasyllus w niej uczestniczył... i ty Cajusie... i wy wszyscy... Nie będzie nas ani za mało, ani zbyt wielu...

Spójrzął tylko na Priscusa, który zaraz pochód otworzył.

Cajus Caligula, dwaj Grecy retorowie, Zenon i Theodoros, Thrasyllus, poszli za Cezarem, którego wyzwolenicy wzięli na ręce z przenośnym siedzeniem, rodzajem *octophorum* lekkiego, i drogą schodzącą w dolinę unieśli ku wskazanemu ustroniu.

Wszystkie te wille Tyberyuszowe, rozsiane po wyspie, połączone z sobą były szerokimi drogami, wysadzanymi białą i wzorzystą marmurową mozaiką. Miejscami zniżały się one powolnie na

dół, lub szerokiemi wschody wiodły na skał wierzchy, przesuwając między zaroślami i gajami, drapiąc nad gór szczyty i rozdzielając na liczne gałęzie. Jedną z tych dróg właśnie, Tyberyusz, niesiony na ramionach swych ulubieńców, zstępował powoli w dolinę, w której gaj i wille Wenery położone były. Miejsce to, jedno z najczęściej zwiedzanych przez niego, znajdowało się w osłonionej zewsząd górami głębi i zasadzone umyślnie gajem pomarańcz, fig, kasztanów, powiązanych z sobą rzuconemi na ich gałęzie latoroślami winnemi. Do jednego z boków góry przyparta willa małeńka z złotego marmuru afrykańskiego, wisiała nad zieloną doliną i gajem. Budowniczy oparł ją na wykutych w skale pilastrach i starał się uczynić tak przezroczystą i lekką, jakby nie z kamienia, a z trzciny ją i drzewa układał. Wschody z obu stron spartego na kolumnienkach wnijścia, obwieszane bluszczami, wiodły przez małą sień do wspaniałego atrium; w środku jego, na posadzce różowej biła srebrzysta fontanna, której brązową podstawę zdobiła postać nimfy przegiętej lubieżnie i wyrzucającej z ust wodę, rozbijającą się o konchę, którą trzymała w dłoni.

Z ganku budowy téj widać było całą dolinę, zamkniętą szczelnie stromemi skały i jak kosz zieloności i kwiatów, napelnioną całą krzewy i woniejącemi zioły. W pośrodku tylko łączka opasana

chodnikami marmurowemi, tworzyła jakby arenę tego cyrku.

Wszystko to oświecone już było pozawieszanemi wśród drzew lampami, misternie poumieszczanemi w gałęziach, ale jeszcze puste... Ptacy tylko, zbudzeni światłem, szebiotali na swych gniaздkach. W górze, strop téj rozkosznej sali Cezara stanowiło sklepienie szafirowe nieba włoskiego, wysadzone gwiazd tysiącem...

W głębi domostwa, którego obszerne *atrium*, to jest pierwszy podwórzec wewnętrzny, ostawiony kolumnami do koła, ze trzech stron otaczała wykuta skała, już widać było po za wodotryskiem krzątające się sługi i przysposabiających ucztę wieczorną; ale Cezar i jego biesiadnicy nie wprzód zasiedli, póki w małych bocznych izbach łaźiebnych, ciała i sukni nie przygotowali do uczyty. Tuż niżej były te kąpiele zawsze gotowe, w których odzież i wodę i niewolników podostatkiem znaleźli.

Tymczasem we wspaniałej sali jadalnej, obwieszonéj lampami bronzowemi, wystawiającemi po większej części nagie i swawolne postacie satyrów i faunów, ulubione staremu rozpustnikowi, zastawiono już stoły i siedzenia a raczej łoża do wieczery.

Tricliniarches, z podwładnymi sobie *structorami*, porządkował naczynia i zapowiadał porządek, jakim półmiski podawać miano, a za gęstą zasłoną,

dzielącą od małych bocznych izdebek, zakryci fle-ciści greccy, gotowali się pieśnią i rozkosznymi dźwięki towarzyszyć spełnianym czasom.

Po chwili rozsunęła się w głębi ciemna zasłona i Tyberyusz, obmyty, oblany wonnościami, okryty szeroką suknią, którą zwano *Synthezą* 1), w różnokolorowe i złote szytą wzory—ukazał się na progu. Zwiędły wieniec lauru na jego skroni zastąpiła przepaska purpurowa ze złotem, rodzaj korony, używaną przy pijackich biesiadach. Twarz jego jednak w tej nową aureoli wcale się nie zmieniła i wyglądała tak ponurą i dziką, niedocieczoną i tajemniczą jak wprzód. Ani wesela ani niepokoju nie było widać na niej, jakieś znużenie tylko i obojętność szyderską.

Za nim w świeże przybrani szaty, w wieńcach, pokazali się z kolei wezwani biesiadnicy, Cajus ze swym żółtym obliczem i dzikim wzrokiem, który niewolniczo pełzał, spotykając Tyberyusza oko; spokojny 'Thrasyllus', w nieco z pyłów oczyszczonej odzieży i wieńcu z prostych liści dębowych, dwaj retorowie greccy i Hypathos w lekkiej przezroczystej tunice białej, z twarzą zawsze smutną, czołem zasepionem, choć ustom na gwałt musiał się kazać uśmiechać.

Triclinium, to jest troiste łóżce Cezara, w głó-

1) Sukni tych tylko do uczt rozpasanych używano.

wnym rogu sali było przysposobione tak, aby zeń całą przestrzeń i wszystkich wygodnie mógł widzieć gości. Młodzi niewolnicy pomogli mu umieścić się na miękkich poduszkach, na których obok siebie wskazał miejsce jedno Thrasyllowi, drugie pozostałe (choć na nie chciwie Cajus poglądał) oddał Hypathosowi, sadząc go u boku swego. Dzieciak z widocznym wstrętem i obawą przysiadł się nieśmiało, spuszczać oczy łzawe, a starzec w czarne włosy jego wyschłe swe palce i dłoń pomarszczoną zanurzył.

Cajus siadł, obok mając Priscusa i Valeryusa Aster, który towarzyszył niegdyś Tyberyuszowi na wygnanie. Był to dobrze podżyły mężczyzna, wielkiej otyłości i znać szczęśliwego stanu zdrowia, bo różowe jego policzki od sąsiedztwa wszechwładnego pana nie pobladyły wcale, a oczy patrzyły obojętnie na świat, który mu najlepszym zdawał się światem. Cezar cenił go i szacował za to właśnie, że w nim głupotę znalazł, posłuszeństwo i dobry humor, tak wielkie, tak nieograniczone, iż na każde zawołanie Aster śmiał mu się, jadł, pijał, swawolił jak posąg ożywiony nie człowiek czujący, nigdy nie namarszczył się, nie uląkł nigdy, a czaszy magistrálniej, choćby dziesięćkroć, nie odmówił. Żartował z Astera, Aster przyjmował żarty, nawet krwawe i bolesne, nigdy się nie poskarżył, a co lepsza, pewnym mógł być Tyberyusz, iż go ten

człowiek nie zdradzi, bo nigdy nie zrozumie i nie odgadnie. Pochodził on ze stariej rodziny plebejuszowskiej, ale go łaska Cezara, któremu ochoczo dotrzymywał na biesiadach, podniosła aż do miejskich godności.

Wprawdzie imienia ich tylko używał, nigdy nie pełniąc obowiązków. Cezar, dla wygodnej jego głupoty, wziął go też z sobą do Caprei.

Na trzecim łożu leżał Coccejus Nerva... gdyż retorowie greccy znikli w małej izbie obok, do osobno zastawionego spiesząc stołu i mając się dopiero na zawołanie ukazać, gdyby Tyberyuszowi przyszła chętka pogwarzyć lub posprzeczać się z nimi, zadając im nierozwikłane jakie pytanie.

Coccejus Nerva konsul, który sam pozostał na łożu usunionem nieco, był postacią wśród tego towarzystwa odznaczającą się wyrazem twarzy prawie martwym ale poważnym.

Wiek ten ucisku i niewoli zmuszał wszystkich kryć się z uczuciem, kłamać twarzą; ale tu znać było, że nie bojaźń, tylko stoicka moc charakteru, oblicze konsularne czyniła tak wspaniale pogodnym. Piękne rysy twarzy jego, czoło nieco łyse, oczy ciemne, ogniste, usta małe do zbytku i milczące, zdobił ten spokój, z jakim sztuka starożytna, jako wyłącznym swym piętnem i cechą, Bogów pogańskich ma'owała i rzeźbiła. Rzekłbyś że chciała nieustannie poprawiać co nedorzeczne psuły baśnie,

czyniąc bóstwa, którym przypisywano dziwaczne namiętności, chłodnemi i zobojętniałemi. Wszystko też co (greccy artyści szczególnie) ubóstwić i podnieść chcieli, otaczali tym spokojem i majestatem, którego pragnął świat pogański, ale doścignąć nie mógł... Dla tego może przyobłókł weń wszystkie swe ideały. Nerva miał właśnie tę twarz piękną rzymskiego posagu, białą, uciszoną, chłodną. Cała jego postać zresztą równie była wspaniałą, ubior ciemny, a obwinięty togą, którą zwykłym obyczajem do uczty na ramie zarzucił—przypominał figury rzeźbione na sarkofagach.

Na konsularném miejscu zasiadłszy (tak pierwsze zwano) Tyberyusz, podniósł purpurą opasaną głowę i spójrzał długo po współbiesiadnikach otaczających stoły;—zimny wyraz wszystkich twarzy go uderzył.

—Na Bachusa!—rzekł—nie wiedzie się nawet w uczcie!—cóżecie tak ponurzy... wy wszyscy? tak zamyśleni? U stołu wszak trosk życia pozbyć potrzeba i choć na chwilę odpocząć... Aster... a tobie co?

—Mnie?—podchwycił z gotowym uśmiechem Valerius—mnie boski Cezarze? nic, chyba to żem przez dzień cały słońca mojego nie oglądał!

—E! pochlebca!—odparł Tyberyusz pół-szydersko—muszę ci za to greckim wierszem zapłacić.

I począł epigrammat Platona:

Asteras eisatreis Aster emos...

Valerius dobrze zrozumiał czy nie, ale schyliwszy się począł wielbić naukę, dowcip i łaskę pana, który do niego raczył zastosować wiersz tak rozkochany.

— Czyj wiersz? — spytał Cezar — Thrasyllu?

— Boskiego Platona! — odparł filozof...

— A kto z was potrafi nam go przełożyć po rzymsku, jeżeli podobna naszej mowie schwycić delikatny odcień helleńskiej? spróbujcie!

Wszyscy zamilkli, nie było tam tak wprawnych szermierzy i w końcu sam Cezar począł powoli przekładać, oglądając się jakie uczyni wrażenie.

Stella meus, stellas dum suspicis, tpsē utinam sim

Caelum, oculis ut te pluribus aspiciam...

— Aleś ty Cezarze niebem i Jowiszem, a jam najmniejszego prochu z gwiazd jasnych nie godzien przywdziać imienia! — zawołał uniesiony Aster.

— To prawda, że dziwna jakaś igraszka losu tego byka gwiazdą przezwala! — rozśmiał się starzec. — No! świeć-że nam rad nie rad Asterze!

— Któż przy tobie jasnym się wyda! — zawołał Aster zmięszany, nie wiedząc, czy dziękować, czy jeść, bojąc się, by jadło mu nie uciekło — cóż ja biedny?

Rozmowę tę przerwało w samą porę wejście posługujących dziewcząt z orszaku Priscusa; oczy Tyberyusza skierowały się ku nim.

Jedne z nich niosły półmiski, drugie *dioty* (naczynia do wina i wody) amfory, czasze kryształowe i *kratery*, pełne już wina z wodą ogrzanego, które przy uczcie pijano, posypane po wierzchu liśćmi róży i jaśminu.

Były to dobrane urodą dziewczeczki, ledwie wyszłe z dzieciństwa, porwane gdzieś rodzicom i wyuczone służyć za obrazek lubieżny dla starca, na zabawkę biesiadnikom.

Strój ledwie je osłaniał, tak był krótki i przejrzysty, jątrzył tylko wzrok, nie nie ukrywając przed nim — złożyły się nań tkaniny wschodnie, tak delikatne jak mgła, szyte rękami jakiejś niewolnicy Arachny w złote i purpurowe desenie... Ręce, ramiona, stopy dziewcząt nagie, zdobiły kolce złote, znaki niewoli razem i błyskotki, nasadzone drogiem kamieniem... Priscus tak umiał dobierać, że w liczonym orszaku ani dwóch twarzy, ani dwóch obliczów podobnych sobie wyrazem nie było — każde odznaczało się inném pochodzeniem i charakterem.

Nie mało to trudu i zabiegów kosztowało zręcznego dostarczyciela, który pierwociny każdej przywożonej niewolników gromady oglądał i po całym świecie znany miał swoich wysłańców. Na twarzy jednej znać było ród grecki, a profil przypominał piękne stare medale; druga z dalekiej przynajmniej Armenii, czarnym włosem i okiem a śnieżną ramion białością przedstawiała lud ów piękny, zhoł-

dowany Rzymianom; trzeciś typ judejski, smętny ale czarowny, zachwycał tajemnicą i tęsknotą, patrzącą z głębi czarnej, w łzach pływającej źrenicy; nawet czarna ethiopka, od której hebanowego ciała odbijały jaskrawo koralowe naszyjniki, uśmiechała się wśród grona tego, białemi jak kość słoniowa ząbkami.

Wszystkie piękne były w swoim rodzaju, a tak dobrane i wyuczone każdego ruchu, ażeby artysta mógł podziwiać w każdej z osobna i wszystkich razem niezmierny smak nauczyciela, co je ułożył do uśmiechu, obrotu każdego, przyklęknienia, biegu i nieruchomości, do połączenia się w grupy malownicze i rosypania na skinienie; tak, by z kolei każda uwydatnić się mogła.

Ruchy ich, pomimo to, zdawały się swobodne, niewymuszone, dobrowolne i chwilami tylko zdradzało wahanie i drżenie myśł co nad niemi czuwała...

Cezar długo oczyma wodził po nich; przebiegając wszystkie z kolei uważnie, ciekawie i mierząc je wejrzeniem znawcy... potem westchnął głęboko, czoło zasępiione, usta zamknięte pokryły wrażenie, jakiego doznał. Cajus też pożądliwą ściagał je źrenicą, przyglądając się z namiętnością, która krwią oczy jego zażęgła...

I Hypathos spozierał ukradkiem ku nim, ale smutnie jakoś i łzawo...

Zmuszony czy naiwny uśmiech dziecinnego wesela wyjaśniał wszystkie te twarzyczki biednych niewolnic, którym łzawego oblicza nie godziło się i w męczarniach przed panem okazać.

Pierwsze danie sprzątniono prędko, bo wszyscy głodni byli prócz Cezara, a *antecaenium* 1) mało kto z nich kosztował.

Pocillatorki, roznoszące czasy, przybiegły, ofiarując je biesiadnikom... Sam Tyberyusz, ogłosivszy się ucztą *modimperatorem*, wyrzekł, że pięćkroć pięć czar magistralnych za zdrowie jego wychylić będą musieli.

Sam też, rozpoczynając od libacyi, wprędce spełnił ametystowy krater, który poszedł z rąk do rąk.

Nikt odmówić go nie śmiał, nawet surowy Nerva, ani filozof Thrasyllus... Cajus ochoczo do ust przyłożył napój i wychylił duszkiem do kropki.

Wino powoli rozjaśniało twarze, Cezar zarumienił się mocno, oko mu błysnęło, rozpoczął i-graszki. Odezwały się flety i pieśni greckie za zasłoną, przywołano retorów, gdyż Tyberyusz poczuł ochotę do rozprawy z nimi.

— Zeno, ty co wszystko umiesz — rzekł śmiejąc się — nawet to, czego cię w Atenach nie uczo-

1) Rodzaj śniadania, przekąski przed wieczerzą.

no, powiedz mi, jakim trybem śpiewały Ulisowski Syreny? Tyś musiał się tego kędyś dobadać!

— Eheu! Cezarze! Syreny musiały najprzedniejszym śpiewać trybem, a jest-że wdzięczniejsza mowa i tryb śpiewu nad Dorycki?

— Pochlebca! — szepnął Priscus do Cajusa — Doryckim mówią na Rhodos, a wyspę tę ukochał Cezar.

Znać zrozumiał cel odpowiedzi Tyberyusz, bo i sam śmiać się począł wesoło, a obróciwszy ku Hypathosowi, jął go namiętnie całować. Dziecię owe śliczne, splamione dotknięciem sprośnego kozła (tak niekiedy od nazwiska Caprei Tyberyusza zwano) zniosło to jak męczeństwo, napróżno usiłując straszliwych pieszczot uniknąć.

Potem kazano tańczyć dziewczętom, śpiewać Grekom i Cezar wreszcie zażądał od starego garbatego retora, aby mu sposobem Doryckim zaskakał... Musiał biedak posłuchać, gdy tymczasem tanecznice, za danym znakiem, szarpały go i podrzucając nim jak piłką, podawały sobie nieszcześliwą igraszkę.

Wtém, gdy się tak zabawiają wesoło, a Aster, trzymając się za boki, śmieje z Greka, niepomny, że jutro to samo spotkać go może — oko Tyberyusza padło na posłanie, i rozek kartki pargaminowej, wystający z pod poduszek, uderzył czujnego a niespokojnego władzcę... Drżącą ręką pochwycił

go, wysunął... była to zapisana karta... goście pobledli wszyscy....

Zkąd tam na *triclinium* dlań zgotowaném mógł się znaleźć ten zwitek? — kto go rzucił? co on zawierał? — nikt odgadnąć nie umiał... truchleli jednak wszyscy na widok tajemniczego pisma....

Tyberyusz przeczytawszy rozśmiał się dziko, a kartę schował starannie; potem chwyciwszy dłonią czaszę podaną, spełnił ją duszkiem ochoczo, poglądając po twarzach przytomnych, którzy w niepewności nie wiedzieli jaki nadać wyraz licu.

Zwitek ten, podrzucony tak zręcznie przez zachwałego jakiegoś dworaka, był jednym z najkrwawszych epigramatów przeciwko Cezarowi, i zawierał dwuwiersz ten sławny:

Fastidit vinum, quia jam sitit iste cruorem
 Tam bibit hunc avide, quam bibit ante merum.
 Brzydzi się winem, bo krwi teraz żąda....
 I pije ją tak chciwie, jak wprzód pił wino....

— Nie prawdaż Aster? tybyś był ciekaw... — rzekł po chwili Tyberyusz — wiedzieć com to za śliczny wiersz odkrył pod moją poduszką... Szkoda że anonim, nagrodziłbym autora....

— Ja? na Herkulesa... nie, Cezarze boski... nigdy nie byłem ciekawym, a wiersz dla mnie rzecz obojętna, choćby był Homerowy — wolę rybę....

— Ryba też zdrowsza — szepnął Tyberyusz. — Lecz Priscus, którego pieczy powierzono tu wszyst-

ko — dodał zwracając się do niego — radby może się dowiedzieć czém mnie przywitano? On przynajmniej znać to powinien.

— Cezarze! klnę się na święte imie twoje i Augusta... nie wiem i jestem niewinny.

— A jednak poetęby tego poznać warto! — szeptał Tyberyusz — nie dopuściłbym ażeby zginął tak marnie jak ten głupi Luterius Priscus, który do prawdy nie miał się czego zabijać! Przeczytajcie, dystych niepośledni!

I rzucił na stół kartę poglądając znowu po twarzach; ale nikt tknąć jej nie śmiał prócz Cajusa... Ten wlepił w nią oczy, przeczytał ciekawie, wstrząsł się z wyrazem oburzenia i plasnął w dłoń.

— O straszna zbrodnia! zemsty Furyj godna! oczom nie wierzę! — zawołał.

— Tak Rzym płaci Cezarom za ofiarę ich życia i trudy — odparł chłodno Tyberyusz. — Ale wiersz nie tak zły, chociaż zarzuciłbym mu to:

quia jam.

nie eufoniczne wcale!

Jako artysta i poeta, Tyberyusz nawet gniewem wrząc dopatrzył w wierszu wadę i z zimną o nię krwią mówił:

— Jużciż — dorzucił — wolę ten inny:

Asper est immitis... 1)

Znacie go zapewne? — spytał wiodąc po twa-

1) Swetoniusz.

rzach wzrokiem... Ah! ah! co poetów w Rzymie...
mnie nie licząc! — I rozśmiał się dziko.

Ta komedia, odegrana zręcznie, wyczerpała
w końcu siły, ruszył się nagle odpychając Hypatho-
sa, ruchem gwałtownym zrywając z siedzenia....
Ręka jego znak dała tylko, a biesiednicy rozpro-
szyli się wszyscy, prócz Cajusa, który zrozumiał,
że mu kazano pozostać.

— Podli! — rzekł po cichu Tyberyusz — milczą!
Gniotę ich, zabijam, męczę, szydzę i nikt nie śmie
wydać jęku, wyrzec słowa, a podrzucają mi karty
w nocy i czyhają z nożami.... Nie! to już nie są
Rzymianie, Cajusie! nie! dla nich potrzeba jarzma
niewoli i kar jeszcze straszniejszych! Głupcy! jak-
by mi ich słowa bolały?...

Priscus i ty, dójść powinniście, kto tę ramotę
podrzucił.... I tu więc nawet, w Caprei mojej knu-
ją zdradę przeciwko ojcu ojczyzny... tu, gdzie
tylko dopuścił wybranych. To jakiś Sejanowy ga-
szek... chciał mnie przebić tą iglicą! ale mu się
nie udało....

quia jam....

nieszczęśliwe!!

XI.

Nazajutrz rano, za ledwie przebudzonemu Cezarowi dano znać, że strażnik z wieży postrzegł na morzu od Ostii okręt zbliżający się śpiesznie, całemi wiosłami i rozpiętego żagla siłami; ku brzegom Caprei. Nie wątpiono, że z Rzymu przynosi wieści, a Cezar natychmiast, skoro przybędzie, rozkazał ku sobie prowadzić posłańca.

Słońce było w połowie swojego biegu, gdy niecierpliwie oczekiwana łódź przybiła i do Jowiszowej willi w skok pobiegł, przysłany od senatu Gracinus Lacon, dowódzca straży miejskich, którego Macron, sam oddalić się nie mogąc, wyprawił z wieścią do pana.

Do ciemnej i umyślnie od światła osłonięj izdebki, w której na łożu purpurą wysłanem, spoczywał Cezar, przywiedziono posła... Przykląkł, by ucałować rękę pańską... Mimo niecierpliwości, Cezar nie spytał o nic i sam nie począł rozmowy.

— Senat cię wita, Cezarze, jako ojca ojczyzny.... — rzekł po chwili Lacon, któremu przyspieszony chód oddech tamował. — Sejana głowę ci przynoszę....

— Biédny Aelius! — odparł, nie okazując po sobie uczucia, starzec. — Jakże się to stało?

— Macron przybył do Rzymu nocą — mówił Lacon — nikomu rozkazów twych nie opowiadając, prócz mnie i Memmiusa Regula.... Piętnastego dnia Kalend. Novembra zwołał senat do świątyni Apollina; Sejan przybył z pretoryanami i ujrawszy posła twojego Cezarze, zdziwiony spytał, czyliby mu listów nie przyniósł? Na to przebiegły Macron, z uszanowaniem go powitawszy, na ucho mu szepnął, żeś ty, Cezarze, polecił zrobić go uczestnikiem twój władzy trybuńskiej, że listy ma na to do konsula i senatorów. Wszedł więc bezpiecznie zbrodzień i na twarzy jego widać było uśmiech zwycięstwa...

Macron tymczasem obrócił się naprzód do pretoryanów i dar im twój po tysiąc denarów na głowę ofiarował, oznajmując, że jest ich dowódcą mianowany, po czém do Curyi wpadłszy, oddał listy i pretoryan do obozu zaprowadził. Jam naówczas, po ich odejściu, strażę miejskie wkoło świątyni Apollina ustawił....

— I dobrześ uczynił! — rzekł Cezar chłodno — zasłużyłeś się Rzymowi.

— Sami już bogowie byli z tobą, Cezarze, prze-

ciwko temu nikczemnikowi; widziano w tój chwili jasne płomień, chwilę na niebie błyszczące i zagaśnię nagle jak jego życie.... Już mu władzy trybuna winszowano, gdy Memmius Regulus listy twoje otworzył, Cezarze....

— Chciałem w nich jeden wyraz poprawić, gdyż nie tak go postawiłem, jak stać był powinien, ale Macron odjechał bośpiesznie — rzekł zimno Tyberysz....

— Stopniami, gdy czytał Regulus — ciągnął dalej Lacon — rozjaśniały się twarze; potrzeba było widzieć jak pałały wdzięcznością ku tobie, gdy wyczytano wyrazy, potępiające przyjaciół Sejana, a nareszcie jego samego... gdy Rzym dowiedział się, że mu swe boskie obiecujesz ukazać oblicze....

Sejan zadrżał i blednął... odstąpili go wszyscy, cofnęli się, wyrzekli; został sam jeden, odgrodzony nagle od tłumu twoim wyrokiem. Potrzykroć zawołał nań konsul: — Zbliź się Sejanie — a uszy jego, odwykłe od rozkazów, nie pojęły i nie usłuchały... ażem ja go pochwycił za barki i moim oddałem żołnierzom.

Wnet Regulus kazał mu włożyć kajdany i zawlec do Mamertyńskiego więzienia. Aleśmy ledwie z nim wyszli w ulice, gdy lud radośnie zburzony zabiegł nam drogi, błogosławiąc ci, Cezarze, plwając i znęcając się nad nędznikiem.

— Lud! — uśmiechnął się Tyberyusz — lud plwa na każdego kogo w więzach widzi — mów dalej!

— Zerwano mu z głowy zasłonę, którą się okrył ze wstydu, — na Forum wałęsał się jego posągi, wloką je powrozami do Gemonii, w Tybr rzucają oplugawione.... Tak, ledwieśmy go przez zburzone tłumy żywego dociągnęli do więzienia.

— Biedny Aelius! — mruknął starzec — lecz po cóż mu się zachciało udawać Cezara?

— Senat zgromadził się zaraz w świątyni Zgody i osądził go śmierci godnym, poleciwszy spełnić wyrok bez odwłoki.

— Dałemże ja wyrok śmierci? — spytał Tyberyusz.

— Senat sam zażądał nań tej kary.

— Skłaniam głowę przed sądem jego... musi być sprawiedliwy! Opowiedz jak umarł?

— Plugawie! prosząc o życie... ciało powleczono do Gemonii, aby bogów przebłagać. Senat wierny, chciał ci okazać, jak się brzydził niewdzięcznikiem.

— A wotował dlań posągi? — rzekł Tyberyusz.

— Twój woli, Cezarze, nie jemu — odparł Laco — Senatus-consultem zabroniono płakać po Sejanie, kazano imie jego zetrzeć z pomników, postanowiono posąg Swobody wnieść w Forum.

— A strażę pretoryańskie? — spytał pan.

— Była chwila zaburzenia, bolało ich to, że

więcej moim miejskim niż im ufano; rzucili się na miasto, aleśmy ich z Macronem ułagodzili i przywiedli do porządku. Poprzedzam Regulusa, który niesie od Senatu, z patrycyuszami, rycerstwem i ludem, powinszowania i dzięki.

— Powiesz mu niech do Rzymu powraca — zawołał Tyberyusz żywo — nie mogę ich przyjąć. . . . Złamany chorobą, niedołęztwem starości, smutkiem, troską codzienną o Rzeczpospolitą, potrzebuję spoczynku . . . teraz nie pojadę do Rzymu; przybędę później. Powiedz im, że czci nową, imienia ojca ojczyzny, nie przyjmę, że chcę nareszcie spokoju tylko i mam go prawo pożądać.

— Ale Rzym domaga się widzieć oblicze twoje, Cezarze. . . .

— Później — rzekł starzec cicho — złożmy dziś tutaj ofiarę Fortunie zwyciężkiej Cezara.

To mówiąc wstał z łoża.

— A dla was? — dodał ciekawie — nicże nie uczynił senat? — I spójrzył na Lacona badając.

— Macronowi i mnie chciano dać godność pretorów, Macron i ja odmówiliśmy jój oba. . . .

— Szkoda — zaśmiał się Cezar — choć kończy się na wschodach Gemonij, władza nie mniej prze-
to smaczna!

— Jakież two rozkazy?

— Powiesz im, że chory, że nie przyjmę nikogo, nikogo widzieć nie chcę, że teraz nie mogę

przybyć do Rzymu, a los rodziny Sejana w ręce senatu oddaję.... Chcę spoczynku, wytchnienia, bom stary już i wycieńczony.

— Senat prosi twych rozkazów!

— Niech czyni co chce.... Na bogi wielkie! jam już starzec bezsilny, słabemuż to cieniowi człowieka rozkazywać im i uczyć co czynić mają? Wracaj do Rzymu, powiedz, żeś słyszał milczenie moje, przerwane błaganem o spoczynek... nic więcej...

Chwilę jeszcze stał we drzwiach Lacon, ale zachmurzone oblicze pana i spuszczone uparcie oczy, zmusiły go odejść nareszcie. Pożegnał Cezara nie odzywającego się więcej, podniósł zasłonę i wysunął się po cichu.

O kilkadziesiąt kroków w portyku, już nań Nerwa, Priscus, Atticus, Aster i Cajus Caligula, oczekiwali, niecierpliwi posłyszeć co zaszło w stolicy. Śmierć Sejana już ich była doszła przez ludzi, którzy Lacona przywieźli, i wielką, zwłaszcza w Cajusie, rozbudziła radość; on też pierwszy zbliżył się do dowódcy straży z twarzą wesołą i powitał go, domagając się wieści.

Wkrótce po całej wyspie opowiadano szydersko o zgonie, wczoraj na szczycie władzy stojącego, ulubieńca, i nikt nie zapłakał po upadłym.

XII.

Przeistoczona na rodzaj rozkosznego więzienia, Capreã była jedną willã Cezara, cała służąc mu do jego rozkoszy i zabawek okrutnych; wypchnięta z niej ludność grecka i italscy przybysze, (którzy tu dawniej po Teleboach i Oskach zamieszkiwali, zmieszani z niemi jedną stanowiąc całość), kryli się opodal od Cezarowych mieszkań, tuląc do brzegów morza lub w dzikie i nieprzystępne ustronia. Miejsce ich teraz zajmowały straże wybrane, które pod dowództwem Macrona otaczały Tyberyusza; dziewczęta Priscusa, chłopcy, których coraz nowe przywożono zasiłki do tajemniczych zakątów rozpusty, niewolników i sług pańskich ciżba.

Codzień niemal nowe dla zużytego i bezsilnego starca wymyślano rozrywki, mieniając miejsca, ludzi, przedmioty, aby dziwaczne obudzić i nasycić zachcenia, aby dobyć zeń iskrę gasnącego życia. Często Priscus rozpaczał, iż już nic dlań wymyśleć

nie umiał i w naturze nie znajdował nowego. Porywano z łona rodzin upatrzone dziewczęta i chłopców, a nawet dzieci maluczkie na sprośne zabawki starca; nie bronił ich ród, pochodzenie, wiek, ani płacz matek, ani rozpacz mężów, ani zaklęcia i prośby. Priscus plądrował bezkarnie po Surretyńskich brzegach, w Campanii i Lucanii. . .

Przerażona ludność wybrzeżów kryła się przed okiem tych wysłańców, którym się niczem okupić nie było można; a bliżsi i więcej wystawieni na gwałty podobne mieszkańcy Caprei kryli się z czcią i życiem, nocą ledwie ośmielając wydobyć się z kryjówek, by nędzny pokarm zdobyć w morzu lub wygrzebać z ziemi.

Szczęściem, samo położenie wyspy najeżonej stromemi skałami, po których tylko przywykli do nich mieszkańcy i kozy przedzierać się umiały — broniło ich od napaści Tyberyuszowych szpiegów. Mizerne schronienia tych ludzi wieszały się jak gniazda ptasze na niedostępnych wierzchach, u ścian kamiennych, w grotach, których wniościa osłaniano starannie, — w powietrzu i nad ziemią.

W stronie przeciwnej przylądkowi Minerwy, na drugim wyspy krańcu, zwróconym na morze szerokie ku Posidonium, w najpuściejszym kącie, jeden z wierzchołków rozdwojonych skał olbrzymich, krył właśnie w sobie takie schronienie, na wyspie nawet samej mało komu znajome.

Szczelina, w której zasiadł ten domek kamienny tak była zatajoną przed oczyma ludzkimi, a ścieżka wiodąca do niej tak niebezpieczna i niedostrzeżona, że trafić przypadkiem było tu prawie niepodobna.

Kozy tylko wskakiwały na ten wierzchołek i spuszczały się za najmniejszym szelestem w zieloną dolinkę a raczej krater kamienny, który to gniazdo okrywał.

Tu przyczepiony był do boku skały domek z kamienia, prosty, tuskańskiej budowy, tak okryty liśćmi bluszczu i winną macicą, osłoniiony starém ogromném drzewem figowém i kasztanami, że go z bliska nawet dostrzedz było trudno, bo barwą kamienną uwodził. Maleńki taras z brył kamieni dzikich nieco wystawał u wchodu, a osłaniający go murek zakrywał nawet niskie drzwi, któremi się do ciążnego atrium wchodziło. Żadnego zresztą okna na zewnątrz nie miały ściany.

Ścieżka, która prowadziła do tego zakątka, tak kręto biegła po skalistych, nie kutyh, ale przez samą naturę przysposobionych stopniach, tak często przechodziła zarosłe trawą żółtą przestrzenie, że śladu jej nie mógł dopytać nieświadomy tej kryjówki....

Niewielka dolinka, ukryta pomiędzy skałami, obejmowała tylko ogródek zasadzony warzywem, trochę latorośli winnych, kilka drzew oliwnych z po-

rozpękanemi pniami i cysternę wyżłobioną starannie w twardęj opoce. Stado kóz na pół dzikich zdawało się tu mieszkać same, a za najmniejszym popłochem, zeskakiwało z wyżyn w tę głębinę i biegło się ukryć w nakrytej kamieniem grocie, będącej zwykłym onego przytułkiem.

Właśnie gdy w południe przywiezione z Rzymu wieści zajmowały Tyberyusza, Hypathos, mając chwilę wolną, wybiegł z willi Jowiszowej, nie spytawszy się nawet o pozwolenie Priscusa. Czy rachował na to, że Cezar nie zażąda go tak rychło i szukać nie każe, czy obojętnym był na skutki swojej wycieczki, dość że przywdziawszy suknie ciemniejsze, *penulę* z kapturkiem i koturny na nogi, nie wielką kamienną drogą, ale ubocznemi ścieżynkami udał się w głąb wyspy. Znały go nadto dobrze strażę jako ulubieńca Tyberyuszowego, by mu kto z nich śmiał stanąć na drodze; myślano może zresztą, że upatrzone gdzie miłostki ciągną pięknego chłopaka i nikt mu w jego wycieczce nie myślał przeszkadzać.... Niewolnicy tylko z uśmiechem spojrzeli, jak pośpiesznie gnał w najodludniejszą część wyspy.

Jakkolwiek chłopię rozpieszczone było i osłabłe miękkim życiem, znać dawniej przywyknąć musiało do spinania się po tych górach, do czepiania po stromych skałach, bo nie szukając dróg wygodnych, zdało się owszem jak najdziksze wybierać.

Dzięki téj zręczności i chyżemu biegowi, Hy-

pathos wkrótce dostał się na przeciwny brzeg wysepki, na którym znajdowała się opisana przez nas kryjówka, i cały zadyszany, przypadł w dolinę, oglądając się, czy kto kroków jego nie śledzi. Ale cisza głęboka panowała dokoła, spłoszył tylko owe kóz stado i dolinę znalazł pustą....

Szelest kroków jego i przedzieranie się przez gałęzie, wkrótce jednak wywołało z wnętrza domku młodego mężczyznę, który ostróżnie z za muru głowę ukazawszy, gdy Hypathosa postrzegł, wychylił się ku niemu cały przez kamienną zagrodę i powitał go radośnie nieznanym tu językiem.

Chłopak poskoczył ku niemu z gorącym uściskiem i łzami na oczach.

Ten, który wyszedł na jego spotkanie, odziany był, jak wszyscy wyspy mieszkańcy, ubogo, jak wieśniacy, w suknię *chlaena* zwaną i sandały; ale twarz jego zdradzała jakieś pochodzenie obce, nie tutejsze.... Nie był tak piękny jak Hypathos, daleko odeń starszy, a przecie do niego podobny. Czarny włos takież, lecz niestarannie utrzymany i pyłem okryty, spadał mu na ramiona, podstrzyżony, by w pracy nie przeszkadzał — oczy miał czarne i ogniste, a gęsta broda ciemna spływała na pierś opaloną. We wzroku jego ten sam był wyraz smutku i ucisku, a zarazem dumy jakiejś wewnętrznej, która na czole chłopięcia jaśniała, gdy go pieszczoty Cezara nie okrywały sromotą.

Padli sobie w objęcia, długo słowa prawie przemówić nie mogąc, a milczący uścisk połączył ich obu, aż Hypathos pierwszy wyrwał się z niego, i siadając na chwiejących stopniach, które do tarassu wiodły, zakrywszy twarz końcem szaty, począł gorzko płakać.

— Cóż ci to dziecię moje, bracie najmilszy? — odezwał się mężczyzna językiem judejskim — zamiast mnie pocieszyć, łzy mi tu przynosisz, gdzie ich już tyle!

— To co zawsze, Judo! — odparł chłopak, tą samą mową mu odpowiadając — ucisk mój duszy tu mi dopiero wypłakać wolno swobodnie; tam i łzy połykać potrzeba. Tyberyusz śledzi każdy ruch twarzy i drgnienie powieki, a ja jestem jego pastwą! O czemuż nie mam męztwa umrzeć raczej, niżeli żyć tak sromotnie!

— Uspokój się, na wielkiego Boga naszego cię zaklinam! — rzekł Juda przystępując ku niemu — uspokój się Rubenie; przecierpieć potrzeba i wyżyć mimo upokorzenia i boleści. Jest nas dziś tu troje tylko na tej wyspie, bez ciebie mybyśmy zginęli; on umrzeć może lada godzina, lub go ktoś z przybranych zadławi, my będziemy wolni... a okręt jaki zabierze nas do Judei...

— My! mielibyśmy ujrzyć ojczyznę, ja, com jęj nie widział nigdy... a! nie, to być nie może — ję-

knął Ruben — o! lepiej nam było zginąć na morzu, niż takiego doczekać ocalenia!

— Bóg wielki wie co czyni — przerwał Juda — kochanek splugawiony Tyberyusza może być drogim dla biednych Hebreów. Któż wie, azali Sejan nie wyszedł z nicości? czyż jak ty obcych nie widziano u nich sprawujących urzędy i przyjmujących imiona pogańskie?

— Ale nie z naszego plemienia i rodu im nienawistnego! — zawołał Ruben — to próżna ofiara a nazbyt ciężka i wielka. Chciałem się zabić, gdy mnie wleczono na pastwę temu obrzydłemu starcowi, i lepiejbym był uczynił....

— Nie masz prawa, jak poganie — przerwał Juda — odbierać sobie życia; Bóg ci je wezmie, gdy godzina wybiję... cierpieć potrzeba....

— A! i ofiary składać bałwanom!! — jęknął Ruben.

— Zmuszają cię — dodał Juda — ofiarujesz ręką nie duchem.

— Sam sobą się brzydzę — mówił pierwszy — a! pozwól mi płakać! Odkąd nas burza, wleczonych na wygnanie do Turris Libissonis, rzuciła z okrętem ku téj wyspie, odkądśmy tu troje uciekli i schronili się za twoją poradą, Juda, co nieszcześć na nas spadło, a gdzie najmniejsza wyzwolenia nadzieja?

— Chodź, Ruben, chodź, a uspokój się — dodał

obejmując go za szyję Juda — siądźmy razem z siostrą twoją i pocieszmy się, żeśmy znowu połączeni... Bóg reszty dokona.

Nareszcie wypłakawszy się Ruben - Hypathos, dał się ująć bratu i zrzuciwszy kaptur z głowy, wcisnął się przez ciasne drzwiczki do domku. Chatkę tę opuszczoną, przybywszy na wyspę, znaleźli w ruinie; Juda pracował, aby ją oczyścić i mieszkalną uczynić.

Za drzwiami zaraz było ciasne atrium tuskie, w pośrodku którego małe *impluvium* (sadzawka na wodę deszczową, spływającą z dachu) zarosłe zieleń, suchem stało w porze letniej. W głębi dwoje drzwi, matami zakrytych, wiodły do wykutych w skale izdebek przytykających, które całe to schronienie składały. Na szelest kroków podwojony, poznawszy po chodzie i stukaniu sandałów przybysza, ta, którą zwano siostrą, ukazała się z głębi przez drzwiczki małeńkie i uchyliwszy zasłonę, krzyknęła radośnie, rzucając się ku Rubenowi...

Była to młodziuchna Rachel, żona Judy, z nim razem pod męzką suknią wywieziona z Rzymu, towarzysząca podróży i wygnania. Zaledwie mogła mieć lat szesnaście, ale choć wschodniego rodu, podobniejszą była do pięknej greczynki, niżeli do obu swych braci. Przecudny to był typ młodości, wesela i życia, które jeszcze nie wierzy w żadne złe na świecie; uśmiech miała na ustach, uśmiech

w oczach czarnych i na czole promienistą radość dzieciństwa. Małego wzrostu, wysmukła, zrzęczna, z lekka tylko ogorzała, choć ubrana ubogo, z zalotnością kobiety i wychowanki Rzymu (gdyż tam się urodziła i wzrosła), przystrojona w lada kawał tkaniny, starczając jej za najpiękniejsze ubiory, przypominała owe leśne zjawiska, o których śpiewają greccy poeci. Mimo zwyczaju Żydów, choć zamężna, aby nie odkryć pochodzenia swojego, włos pozostawiła niestrzyżony, pokryty lekką zasłoną; miała tylko lnianą chlamydę z podpinką, która zaledwie zaokrąglającą się pierś podtrzymywała, i płaszcz z grubej tkani, niedbale na ramiona rzucony.

Ukochana przez Judę, który sam za nich oboje pracował, siedziała całe dnie w swjej izdebce zamknięta, nie wychodziła na świat, bojąc się nawet zanócić głośnieję, aby jej pieśń nie zdradziła.... Przecież w tém osamotnieniu i niewoli życie jej się śmiało i mieniła się szczęśliwą. A gdy kozy z paszy powracały i wolno jej było wyniść, by je wydoić i pobawić się z niemi, leciała swawolnica, że ją nieraz ledwie mógł Juda wstrzymać, by się za rozbiegającą trzodą na skały nie wdrapała.

Mimo tego odesobnienia i zerwania z ludźmi, wygnania i pędzy, w jakiej żyła hebrejska rodzina, Rachel miała wielką siłę ducha, i mężstwo jej nieraz

wsparło złamanego Judę, który płakał, samotnością stęskniony,

Ruben przywitał ją, zarumieniony cały, z uczuciem, może jeszcze łzami niedawnemi powiększonym; potem siedli wszyscy troje na ławie, pod prostym daszkiem domóstwa...

— Nie pytaj o nas — zaczęła Rachel — powiedz co u was się dzieje? jest-li tam nadzieja jaka?

— Ha! w Bogu! — rzekł Juda — więcój żadnej.

— Jakto? nie możeż tu przy płynąć okręt żaden, przybić łódź żadna do Egiptu płynąca, któraby nas z sobą zabrała i wywiozła?

— Nas?? ptak z wyspy nie wyleci bez wiadomości pana; na sto mil w koło patrzą z wieży i każdy żagiel postrzegą; a któżby śmiał bez wiedzy jego dotknąć brzegu Caprei? Gdzie tu przybić, kiedy małeńkie tylko nawy w dwóch miejscach do lądu przytykać mogą?

— A tenże syn Beliala wiecznie żyć ma? Czyż Sejan go nie zmoże?

— Sejan nie żyje! — odparł Ruben.

— Jakto? umarł?

— Zabity... z jego rozkazu!

— Ten, którego on tulił do swego łona, który mu życie w Spelunce ocalił, który wytruł w koło co tylko mu stało na drodze!!

— Wywleczono go przez wschody Gemonii i zwałanego błotem w Tybr rzucono...

— I jego więc się pozbył! — westchnął Juda.

— Pożerają jedni drugich jak dzikie zwierzęta.

— Wielki Bóg nasz — rzekł starszy — ja wierzę, iż dzień wyzwolenia nie daleki.

— Ale nie dla nas! — cicho odezwał się Ruben — gdy mnie przynajmniej jak wam, życie w cichym płynęło kątku, razem tutaj, za opuszczoną ojczyzną i braćmi możebym krwawemi nie płakał łzami; ale mnie zmuszają patrzeć na pogańskie swe obrzędy, dzielić ich rozpustę i śmiać się i upajać... gdy...

Niedokończył, Rachel zakryła oczy.

— Wszystkim nam tu nie tak jak w ziemi kochanej, której nasze nie widziały oczy, gdzie leżą popioły ojców i święta wznosi się Hieruzalem... Myśmy tu samotni, bez kapłana, bez świątyni, bez ofiary, bez ksiąg naszych i naszych braci, sami sobie oddani... a słabych nie ma komu podeprzeć.

— Was dwoje, wyście razem, i obcy oddech was nie kala.

— Ale co pomoże płacz i tęsknota?... zaprawdę — rzekł Juda — rzeczy to nie męzkie; potrzeba umieć cierpieć, lub myśleć jak się wyzwolić? Tyś ulubieńcem Cezara, tobie się łatwo wykupić z niewoli... za tobą i my pójdziemy...

W chwili gdy rozmawiali, na górach ponad ich głowami ozwały się głosy wołających po imieniu Hypathosa, i wszyscy truchlejąc umilkli. Byli aż

nadto pewni, że ich tu nikt nie wyśledzi, przecież rozlegające się wśród skał wołania napełniło ich jakąś trwogą: Rachel przytuliła się do Judy, Ruben porwał na nogi.

Uważano od dawna smutek na twarzy ulubionego Cezarowi chłopięcia: Priscus obawiał się samobójstwa, które naówczas w młodzieńczych nawet latach się zdarzało, rozesłano więc szukać zbiegłego...

Twarze pobladły w miarę jak głosy zbliżać się zdawały. Hypathos słuchał i ozwał się wreszcie z rozpaczą:

— Idź niewolniku! i dźwigaj kajdany swoje!

— Jakto? uciekasz już?—spytała Rachel—a jam dla ciebie jakby przeczuciem schowała grono winne, które na skale dojrzało! i kosz fig i owoców... Chciałam cię przyjąć ucztą na jaką nas stało...

— A! nie mnie to zasiąść z wami spokojnie, ani pożywać chleba w weselu ducha; ja z pogany biesiaduję na złocie i patrzę na ich plugawe obżarstwo... oto uczty moje...

Głosy z góry odzwywały się jeszcze, ale już nikły w dali uchodząc, gdy Ruben uściskał Judę i wyrwał się oglądając na Rachelę, która stała zdala z oczyma łzawemi, biegiem chyżym spiesząc wydobyć się z tego ustronia, którego zdradzić nie chciał i bacznie oglądając by tak się z niego wymknąć, ażeby go wysłani nie postrzegli niewolnicy.

Jeszcze Juda i Rachel stali trwożnie poglądając za nim, gdy kapturek jego penuli ukazał im się na wierzchu skał otaczających i zniknął...

Chłopak szybko zbiegł po skałach na dół, nad samo morze ciemne, wyprzedził posłańców, którzy go po całej wyspie szukali i położył się na kamienistym skraju doliny od Posidonium, udając że pochwychony snem, spoczynku tam szukał i chłodu.

Nieprędko później jeden z niewolników przez Priscusa wysłanych, ujrzawszy ciemny płaszcz jego na ziemi, przyszedł potrącając go z gniewem i przeklinając grubijańsko... przebudzić ze snu. Był to Iberijski jeniec, któremu dokuczyło szukanie zbiega, mszczący się na nim trudzącego po górach biegania.

— Hypathos! — zawołał — czyli ci tu mięciój i lepiój niż na twém posłaniu, żeś zabiegł tak daleko... aby gniew Priscusa obudzić!

— Ani mięciój, ani lepiój — odparł udając przebudzonego chłopak — ale mi tu swobodniój, alem tu sam, a ty coś był kiedyś wolnym w swych górach, możeż się temu dziwować?

— Patrz, na Marsa! — odparł Iberyjczyk — i to dziecię rozpieszczone woli kamienie nad brzegiem morza, nad puchy i przymuszone pieszczoty! Ale chodź! niewolnik niewolnikiem, a wybierać mu się nie godzi do smaku! Cezar zażądał wielkiej uczty... Priscus cię wołał!... słońce ma się ku zachodowi!!!

XIII.

Jedna z willi, rozsianych po wyspie, znajdowała się na wzgórzu od strony Neapolis, dość od Jowiszowej odległa, przedzielona od niej głęboką doliną — zwała się willą Plutona, od podziemnych pieczar, w których część większa należących do niej budowli się kryła. Jedna tylko galerya z widokiem na morze, umieszczona na szczycie, zdradzała, że w łonie téj skały splekanéj kryje się gmach tajemniczy.

Cezar rzadko tu w dnie skwarne przebywał szukając chłodu—choć jesienny, dzień ten był gorący i Priscus dla odniani wybrał groty Plutona na ucztę wieczorną.

Tyberyusz od rana siedział niewidzialny, zamknięty, nawet Cajusa nie przypuszczając do siebie; nikt nie mógł odgadnąć co się działo w jego duszy, wszyscy tylko domyślali się jój niepokoju.

Przed zajściem słońca, ocienionemi ścieżkami,

niewolnicy na silnych barkach przenieśli milczącego Tyberyusza do Plutonowej willi.

Wnijscie do niej od górnego perystylu i galeryi wiodło wschodami szerokimi, jakby w głąb ciemnej otchłani; wszystko tu kryło się we wnętrzu skały rozszarpanej, ale wykute w niej przysionki, sale i przejścia tak były rozległe i ozdobne, że się w nich zapominało jak leżały głęboko pod ziemią, jakiej pracy kosztem zdobyto te czarne przepaście... Niezmierne izby sklepione, całe wytwornemi malowaniami i mozaiką okryte, następowały po sobie szeregiem, to na słupach wsparte, to mury ciężkimi wspierane; posadzki ich, powoli się osuwając, wiodły nieznacznie coraz ciaśniejszemi chodnikami do wschodów, które się spuszczały w głąb nadmorskiej groty, przez samą naturę pracą lat tysięcznych wyżłobiono cierpliwie.

U wnijscia do niej, na kamiennych ławach, rzuconych w morze i obwiedzionych marmurowemi balasy, umieszczone były *triclinia*, do których stóp prawie błyszczące podływały fale.

Po nad pieczarą strop, nieregularnemi poszarpany kawały, wisiał, sklepiąc się w kształtach dziwnych.

Światło dzienne nie przeciskało się, tylko jedynym szczupłym otworem u dołu i łamiąc w lazurowych wodach, przychodziło tu żywym szafirem zafarbowane, barwą tą oblewając skał złomy i

ściany i strop i całą ową salę biesiadną. Wody i kamienie i wszystko co otaczało ją, wydawało się tak niebieskiem, jakby niebo roztopiło się na tę kąpiel Sardanapalową...

W głębi pieczary wprowadzie paliły się lampy nad stołami, ale światło dnia żywe jeszcze i gorące, wdzierając się przez otwór od morza, szafrowemi blaski swemi gasiło mdłe ludzkie światła...

W wód tych wstędze jasnej, jakby z rozpuszczonych turkusów i szafirów zlanych... Priscus artysta wystawił z żywych postaci scenę niezmiernego wdzięku...

Przodem płynęli ludzie, misternie za Delfinów przyodziani, okryci łuską, błyszczącą lazurem i złotem, wyrzucając wody do góry przez nozdrza rozdęte... Za nimi szły Trytony, z głowami zielę morskiem oplecionemi, przygrywając na wielkich krzywych konchach... W pośrodku na wozie jechała prześliczna Amfitryte, a wóz ten, na kształt ogromnej konchy, cały sadzony macicą perłową, posuwał się nie zanurzając po wód powierzchni, podtrzymywany przez otaczający orszak bogini...

Wprężone w tę *Thensę* (wóz zwycięzki) konie białe, których nogi zakończone były płetwami rybiemi, tak doskonale bajeczne owe naśladowały

istoty, że wziąć je było można za urodzone z morza potwory...

W koło, z dziewcząt najpiękniejszych i chłopiąt niedorosłych, Priscus utworzył orszak Amfitryty, przystroiwszy go kwiatami i powiewnemi zasłony... Ciała ich na pół w falach srebrzystych, pół w powietrzu, okryte pianą i szklannemi tryskami, w powolnych ukazywały się ruchach...

Znać było, że z Ovidiuszowej księgi utworzył ten pochod Nereid Priscus, ale żywe postacie wdzięczniejsze były nad marzenie poety, a wnętrze groty tło im dawało, jakiego śpiewak nie widział nawet we śnie... Gruppa ta przepływała niewielką przestrzeń morza, zawartą ścianami pieczary i jak sen, to nikła w cieniach, to się zjawiała jasną i świetną...

Śpiew Nereid i Trytonów, plusk fali cichy, niebieskie oświecenie podziemia, wszystko to czarujący stanowiło obraz, dodając uroku biesiadzie, która uśmiech przecie wywołała na zwiędłe starca usta.

Widok był wielki, wspaniały, tajemniczy i mógł Cezarowi na chwilę dać złudzenie boskiej władzy, co go takimi otaczała cudami... Inny w istocie świat jakiś miał przed oczyma... te Nimfy wodne, Syreny i Nereidy z liśćmi uwieńczonemi głowy i porozpuszczanym włosom, ci chłopcy z konchami morskimi w dłoniach, ta swawola na tle szafi-

rów, w niezwykłych barwach przedstawiająca się oku, wreszcie nad głową jeżące się skały dzikie, czarne, odbłaskiem lazurowym jaśniejące... czyniły wrażenie potężne, jakby świata duchów, piekieł i Bogów...

Cezar popatrzał, uśmiechnął się i pozostał obojętnym.

— Priscus doprawdy wspaniale ugaszcza Cezara— rzekł krzywiąc pogardliwie usta... ale mi tu brak czegoś jeszcze...

Niespokojny sługa szukał oczyma, coby dodać jeszcze można, gdy Cezar dokończył:

— Poety, któryby śpiewał te cuda... jak wczoraj...

Nikt się ust nie odważył otworzyć, tylko Cajus, który we wszystkiém chciał naśladować Cezara i na jego wzór twarz i słowa urabiał, uśmiechnął się jak on szydersko.

Przy panu siedzieli dziś, położyć się nie śmiejąc, Vesularius i Marinus, dwaj starzy dworacy, którzy tylko co z Rzymu wrócili; starcy jak on, towarzysze jego z Asterem na Rhodyjskiém wygnaniu, dziś dobrowolnie zamknięci z nim w Caprei.

Były to dwa wzory upodlenia i dworactwa, dla których już nic nie pozostawało, by osiągnąć ostatecznej granicy bezczęści i bezwstydu. Oba, choć rzymscy patrycyusze, byli tylko pierwszymi niewolnikami Cezara i nigdy najdzikszy objaw je-

go woli nie znalazł w nich oporu. Vescularius służył mu świeżo przeciwko Libonowi, Marinus z Sejanem nastawał na Attica. To poddaństwo ślepe jednakże, którego wymagał Tyberyusz, nie zjednało im u niego ni łask większych, ni zaufania; używał ich jak narzędzi, gardził jak istotami splugawionemi. Dzisiejszy wybór i powołanie do dzielenia łoża z Cezarem, który szczególnież dla nich dobrotliwym i uśmiechającym się okazywał, na obu twarzach malowały się bladością i przestraczem. Wiedzieli oni, że serdeczne objawy miłości i zaufania zawsze prawie u Tyberyusza kryły rodzącą się nienawiść i gniew stłumiony, szukali więc oba w myśli, czém mu się narazić mogli i niespokojne ich twarze wyrażały trwogę niezmierną, którą pokryć usiłowali, aby się jój Cezar nie mógł domyśleć, gdyż odgadnąć go, było to zemstę przyspieszyć.

Bardzo tak często ostateczną zgubę ludzi zbliżonych do Tyberyusza poprzedzały zwiastujące ją najwyższe honory i łaski. Tak uczynił z Sejanem. Usypiał niemi, uwodził, uspokajał; ale ten środek już był zestarzał i użyty kilkakroć; obudzał bojaźń i niewiarę.

Vescularius drżał cały i z naleganiem podawane sobie potrawy brał dłonią nieśmiałą, tak że niemi plamił się cały; Marinus, blady i pomieszany, zdało się, że co chwila utraci przytomność; Tyberyusz śledził ich oczyma, bawił się tém i uśmie-

chał. Znać wczorajszy dwuwiersz, *niespodzianie* znaleziony, na któregoś z nich podejrzenie zwrócił.

— Nicże nie krąży po Rzymie, o tym biednym Sejanie?— spytał Veseulariusa, który bełkotał sam nie wiedząc eo mówić.

— Pamięć jego z życiem zgasła! — odparł zagadniony.

— Choć wybyście go żałować powinni! — dodał zwracając się do Marinusa.

— Ja Cezarze! ja! na Bogi... dla czegożbym... drżąc i jękając się przemówił stary.

— Był to przecie twój sprzymierzeniec przeciwko Attyka, i razemeście pracowali...

— Ale wola twoja była tam z nami trzecią... jój, nie Sejanowi, byłem posłuszny...

— Wola moja! — zawołał Cezar ruszając ramionami — mylisz się... Stary, niedołążny, mamże ja wolę i władzę jaką? Cóż ja znacze! panuję, jak mówią, w Caprei tylko... Senat rządzi i czyni co chce...

A! ciężko mi już podolać brzemieniu, które dźwigam na ramionach!

To mówiąc, wypróżnioną czaszę podał Poeillatorowi, który się zbliżył, nalaną wychylił szybko i chmurném okiem powiodłszy dał znak skończenia uczty, szepcząc coś na ucho Priscusowi, który przodem już sługi odprawiał...

Pływająca Amfitryte, Nimfy i Trytony, jakby za

dotknięciem czarodziejskiej łaski, ukryły się natychmiast w jaskini na prawo zagłębionej, a biesiadnicy, poglądając po sobie niespokojni, udali się za panem, którego znowu niesiono w górę tąż samą drogą, którą przybył na ucztę.

Dzień tymczasem się kończył i jasny wieczór, cały w gwiazdach, rozwiesił swe szaty szafirowe nad ziemią; gdy przy blasku niesionych lamp i pochodni wyszli na górną galeryę z podziemi willi Plutonowych, noc czarowna, cicha, woniejąca, obejmowała uśpioną Caprę. Na rękach niewolników młodych dźwigany Tyberyusz, ze spuszczoną głową, milczący, dawał się nieść nie okazując najmniejszego znaku rozweselenia po biesiadzie; obok siebie kazał iść ulubionemu Hypathosowi i rękę wychudzoną zwiesiwszy na białą szyję chłopięcia, igrał roztargniony z miękkimi pierścieniami włosów jego.

Vescularius i Marinus z tyłu się wlokąc za Cajusem, który na nich szydersko poglądał, odosobnieni od tłumu już stroniącego od nich, sami też od siebie się odsuwali, posądzając wzajem jeden drugiego o całą winę, która obu niebezpieczeństwem groziła. Nie mogli się skarżyć, bo Cezar jak nigdy na nich był łaskaw, a czuli jednak, że to przymilenie było groźbą. Osamotnienie w jakim się znaleźli, najlepiej tego dowodziło.

Droga, którą z wierzchołka góry Plutonowej

schodzili, wiodła do gaju Venery; podnosiła się ona kilkakroć drapiąc po grzbietach skał, to znów spadała w doliny, przebywając kute w kamieniu wąwozy i mosty rzucone nad przepaściami, nim wreszcie ukazał się jak wczora lasek ów gęsty, cały oświecony już i ogniami płonący.

Miły po biesiedzie chłód dawał się czuć w dolinie zamkniętej, która nawet po obrazie groty lazuruwej wydała się piękną, w innym choć nie mniej czarującym rodzaju.

W pośrodku lasu, na zielonej darni, biały marmurowy wodotrysk wystawiał lubieżnie uściśniętą z łabędziem Ledę, całą oblaną wodami, w których ptak płynąć się zdawał... Szeroka sadzawka otaczała to arcydzieło greckiej sztuki, przy świetle lamp wydające się jakby żywą postacią.

Na około wśród litostratowych ścieżek, w cieniu pomarańczowego lasu, pełno było, to złudzenie zwiększających, posągów... ale nie z marmuru kutech — zastąpionych ludźmi żywymi. Dziewczęta, chłopcy, mężczyźni, których Priscus dobierał i ustawiał, przedstawiały sceny i grupy z Owidyuszowych przemian i poematów miłosnych.

Jedne z nich przedstawiały Nimfy, inni Satyrów i Faunów, Apolla, Muzy, Gracye, a wszyscy stali jakby skamienieli chwilę, potem grali swe role uganiając za sobą, walcząc, obejmując z wyuczonym wdziękiem i namiętnością kłamaną...

Wśród cieniów nocy, białe te zjawiska, ledwie lekkiemi osłonięte szatami lub całkiem nagie, naśladowały znane rzeźby greckiego dłuta i posąg mistrzów, ulubione Rzymianom. Wszystkich tu Priscus ustawił dla zabawienia Cezara, ze staraniem największem, a rzeźbiarz z trudnością by mógł piękniejsze kształty wymarzyć nad te, które jak cienie snuły się po gaju Venery...

Uśmiechały się usta ich nieme, błyskały oczy, wdzięcznie zginały ręce drżące, a gdy Cezar, wniesiony w ten świat czarów, jakby na Elizejskie Pola, wśród przelatujących szczęśliwych cieniów umarłych, zatrzymał się u wodotrysku, z kądem widok na dolinę był zewsząd otwarty, znowu na dany znak stężało wszystko, skamieniało i życie uciekło z tych przed chwilą ruchomych posągów... Tyberyusz ruszył się i wszystko ożyło, rozpoczęły się milczące gonitwy i igraszki po lesie...

Piękność téj sceny zwiększało jeszcze towarzyszące jéj milczenie głębokie, dziwne, niepokojące, straszne — ruchy ledwie się zdradzały szelestem gałęzi, zdeptaną pod nogami trawą, szmerem jakimś niepochwycionym, a bacchantek usta otwarte do śpiewu, a krzyczące wargi wyrywających się nimf — nie wydawały głosu.

— Zaprawdę — rzekł Tyberyusz — Priscus, powtarzam wam, jest wielkim artystą.

— Wielkim mistrzem Priscus! — wtórował Ca-

jus po cichu, choć z zazdrośném jakimś uczuciem...

Cezar wstał z siedzenia, na którém go niesiono i skinął, by odprawiono niewolników, powoli puszczając się między drzewa... Nikt nie śmiał pójść za nim.

Priscus pogłaskany pochwałą, cieszył się, spodziewając, że lubieżny ów obraz gaju Venery ożywi Tyberyusza, młodsze mu przypominając lata; ale widać było po chodzie powolnym, po roztagonioném wejrzeniu, że uroczy ten dramat ożywionych posągów nie czynił na nim najmniejszego wrażenia. Oczy zbladłe skierował czasem ku grupie, którą spotkał nad drogą, na widok jego stającą się marmurem bezwładnym, to znowu opuszczał wzrok ku ziemi; widocznie czuł się chorym, złamanym, ale bólu okazać ani słabości odkryć nie chciał... tajemnicą i udaniem całe swe czyniąc życie.

Nie wierzył w lekarzy, jak nieufał ludziom i nigdy nie uciekał się do nich, w obawie trucizny i zdrady, a ilekroć bolał jak teraz, czekał, by natura sama przełamała chorobę... Po wzroku obłąkanym, po spalonych ustach, po gorejących policzkach, poznać było łatwo, że cierpiał, ale się nie przyznawał do cierpienia; oko dworzan dostrzegło tylko zmianę i wszyscy przejęci byli bojaźnią, bo Cezar chory straszniejszym był jeszcze od zdrowego Cezara.

Oddaliwszy się od towarzyszków, Tyberyusz ję-

knął z cicha i to mu ulgę sprawiło, ale obejrzał się żywo, czy go kto nie podsłuchuje i trzęsącą dłoń do spotniałego przyłożył czoła.

Nawyknięcie udawania uśmiech zaraz wywołało na usta.

W miarę jak się coraz dalej posuwał w głąb pomarańczowego i cytrynowego gaju, grupy Nimf i Faunów, igrające przy wodotrysku, z razu skupione, rozproszyły się za nim po lesie i zdala otaczając, przedstawiały się w coraz nowych postawach z za zielonych gałęzi. Ilekroć podniósł głowę, wszystko stawało i twardniało, potem znowu poruszało i biegło jak cień milczący... Wśród zacienionych głębi ginęły i nikły białe postacie, a niekiedy promyk światła, wciskający się wśród liści, to twarz uśmiechnioną, to ramiona drgające oblewał. Zdawały się wyrastać z ciemności cudem i znikać w sposób niepojęty, ożywiać i martwić równo dziwnie i niespodzianie.

Gaj przytykał do skalistej zewsząd ściany, jakby w olbrzymie wschody połamaną i rozbitą; stopnie te nagie, gdzie niegdzie rzucone, winne ubierały latorośle... żadna ścieżka nie wiodła tędy w dolinę i Cezar mógł spokojnie bezpieczny błądzić w czarowanym swym świecie.

Szedł też powoli, chcąc zapewne ukryć boleść trawiącą raczej, niż się widokiem swawolnych nacieszyć obrazów; stawał i oko jego wydęte, osłu-

piałe, zatrzymywało się długo, nieruchomie poglądając na przedmioty, nie widząc nic przed sobą, tak silne wewnątrz piekły go męczarnie... Zacięte usta tylko o tém świadczyły.

Nagle, podchodząc ku ścianie, pod którą wiła się ściczka, oko jego, lepiej w ciemnościach widzące niż we dnie, skierowało się w jedno miejsce przymroczone, w którym widać było dwie nieruchome postacie.

Nie należały one do tego igrzyska, gdyż ciemnymi okryte były szatami, stały ukryte umyślnie; ale wśród cieniów nocy, twarz kobiety i mężczyzny kocim oczom starca stała się wyraźną. Tyberyusz, dostrzegłszy ich, stanął zdzwiony, przerażony i mimo wielkiej mocy nad sobą, z przestraczem krzyknął głosem drżącym:

— Agrippina!

W téjże chwili zjawisko niespodziane, na odgłos rozlegający się wśród ciszy, usunęło się nagle i znikło w głębi groty, na której tle chwilę się tylko ukazało...

Tyberyusz stał niemy .. w około niego już znowu przesuwwały się grupy swawolne, on nic nie widział, jakby w miejscu przykuty. Klasnął w dłonie... Priscus przyskoczył uradowany, ale postrzegłszy brew chmurną i wargi ściśnięte, stanął przelękły.

— Priscus... tam! tam! — wskazał mu ręką na

grotę — obce twarze, jacyś ludzie... mężczyzna i kobieta... widziałem ich, weź ludzi i szukaj.

Sługa nie zrozumiał.

— Widziałem tu obcych, nigdzie nie jestem bezpieczny... kobieta! z ką tu ta kobieta? chcę ją widzieć z bliska... kto ona?

I wnet, na skinienie Priscusa, niewolnicy rozbiegli się po wszystkich doliny zakątach.

XIV.

Wiemy już w jaki sposób rodzina Hebreów, wygnana z Rzymu, z kilką tysiącami współbraci, dostała się na Capreę. Okręt, który ją przewoził na wyspę odludną i walkę a raczej niechybną zgubę, zapędzony wiatrem i burzą pod skały, musiał się w lichęj zatrzymać przystani. Juda z przebraną Rachelą i Rubenem, dostali się nocą na wybrzeże wyspy, wraz z innemi posłanemi po wodę, i skorzystali z ciemności i nieuwagi stróżów, by uciec w głąb, naówczas jeszcze dopiero przez Sejana przygotowującego się ustronia, którego mieszkańcy, rozpędzeni przez tłumy niewolników rzymskich, błakali się, nowych sobie szukając kryjówek. Sami zbiegi i wygnańce, wśród tego ludu nieszczęśliwego znaleźli się jak między swemi... Judei, długim pobylem w Rzymie i skrywaniem swego pochodzenia, wyuczeni języka i obyczajów rzymskich, nie łatwo

w tłumie najróżniejszych przybyszów poznanemi być mogli; nie szukano téż ich wcale, sądząc, że w walce jakiej i zamieszaniu ubici byli. Rysy ich twarzy nic nie mówiły, gdyż ówczesna ludność Rzymu tyle w sobie pochłonięła pierwiastków, z tak różnych złożona była żywiołów, że pełno w niej piętn i znamion wszelakiego plemienia spotkać było można, niejako już przyswojonych wyzwoleniem obywatelstwu rzymskiemu. Juda, żona jego, Ruben, mówili po rzymsku i grecku, wszystko troje przez stosunki z alexandryjskimi żydami, ukształceni byli i starli z siebie znamię wybitniejsze, które ubogich jedynowierców ich zdradzało. Pozostała w nich pochodzenia pamięć, przywiązanie do nieznanej ojczyzny i wiary, ale już na pół stali się przybranemi dziećmi wielkiej świata stolicy.

Pierwsze dni pobytu ich na wyspie, po odejściu okrętów, ciężkie były do przebycia; trzeba się było ukrywać w skał szczelinach i mrzeć głodem, dopóki podejrzenie padać mogło, że zbiegli z naw burzą zagnanych. Nie znali wyspy, nie przywykli byli do życia takiego na codzienne niebezpieczeństwo, na nieustanną a twardą narażonego pracę; ale Juda znalazł w swém przywiązaniu do Racheli siłę ku pokonaniu najcięższych prób losu. Gdy Ruben płakał jak pieszczone dziecko, on pierwszy wyszedł z kryjówki i ostrożnie począł zapoznawać się z wyspą, na której mieli pozostać.

Z wierzchołka skał o świcie rozpoznał jój rozległość i oswoił się z położeniem najzamieszkańszych części, których unikać musieli.

Nauczył się chodzić po nad brzegami przepaści, i poszukując owoców, któremi przez pierwsze dni karmić się musieli, doszedł przypadkiem do opustoszałego domku, mającego być ich mieszkaniem.

Zwaliska te pozostały nie zajęte od dawna po zmarłym jakimś mieszkańcu Caprei, którego kościotrup tylko, resztkami płaszcza na głowę zarzuconego okryty, znalazł Juda w atrium chwastami zarosłym.

Znać było, że domostwo lat kilkadziesiąt stało pustkami, bujnie porastały je rozkrzewione bluszcze, zdziczałe winne latorośle i rozgałęzione szeroko drzewa....

Stado koz pierzchliwych kryło się jeszcze pod skałą, która je dawniej chroniła.

Kątek ten był jakby darem Opatrzności dla Judy, który tam zaraz Rachelę i Rubena przeprowadził, a sam zajął się oczyszczeniem zwalisk i doprowadzeniem ich do mieszkalnego stanu. Mały węzełek, z resztką z Rzymu ocalonego mienia ubożego, rękopism biblii nie cały, strój odświętny mieli z sobą szczęściem wychodząc z okrętu, bo Juda o ucieczce zamyślał. W domu zmarłego człowieka, po którym nikt nie wziął dziedzictwa, znalazły się zachowane w izdebkach potrzebniejsze

sprzęty i narzędzia, choć rdzą okryte i na pół spruchniałe. Z nich Juda wybrał, co godziwszego było, do użytku i wprędce chatka stała się prawie wygodną, a dolina w której była zamkniętą, dostarczała na pierwsze życia potrzeby oliwy, owoców i wina....

Nieopodal od podnoża gór najdzikszych, na wybrzeżu morskiem była uboga osada schronionych tu od niedawna mieszkańców Caprei, którzy dla nowo budujących się willi ustąpić musieli; tam niekiedy ostróżnie, mieniając się do dworu Cezara należącym niewolnikiem, schodził Juda, by co mu brakło dostać dla żony i siebie. Niekiedy najmował się do robót i przenoszenia ciężarów, obracał młyn, wyciskał oliwę, aby zarobić na garść mąki, której inaczej dostać nie mógł.

Życie to było prawie znośne, mimo osamotnienia, i stałoby się z pomocą dorastającego Rubena coraz lepszym, gdyby nieszczęśliwy traf nie pozbawił ich brata i towarzysza. Przed dwoma laty chory Juda wysłał do osady, o której wspomnieliśmy, Rubena, — Ruben nie powrócił do domu.

Priscus, poszukujący chłopiąt i dziewcząt dla zabawy Tyberyusza, zwiedzał wszystkie zakątki Caprei; trafił on tu właśnie w dzień, gdy dzieciak się tam znajdował. Nadzwyczajna piękność chłopaka, jego układ, wdzięk twarzy były dlań wyrokiem niewoli.

Słudzy Tyberyuszowi pochwycili go natychmiast, a Priscus kazał uprowadzić do swoich Efebów szkoły, gdzie teraz zamknięto wyrostków do niecnój przeznaczonych rozpusty. Tu Ruben oddany został w ręce starego Dionizyusza Greka, który go biciem, strachem i głodem znękał i zmusił stać się istotą słabą i spodloną... jaką go już widzieliśmy. Ruben chciał zrazu umrzeć a nie mógł; w miękkiej atmosferze tego domu swawoli dzieciak utracił hart duszy i tyle tylko wymógł w sobie siły, że pytany i badany o pochodzenie, nie wydał ani brata, ani rodu, ani kryjówki tajemnej. Miano go za Greka, i Tyberyusz sam nazwał go imieniem Hypathosa, oznaczajacém Consula, dając poznać przez to, że go na równi z najdosłojniejszymi szacował.

Długo Juda i Rachel płakali nad nim jak nad umarłym, dowiedzieć się nie mogąc co się z nim stało; nareszcie wieść ich doszła, że pochwycóny był na dwór Cezara... na drugiego Ganymeda zwrzodowaciałego Jowisza.

Boleść ich była wielką; Rachel bolała nad nim rzewnie, domyślano się, że umrzeć musiał w rękach oprawców, lub opierając się im, jak inni, z połamaniem goleniami w morze został rzucony. Tymczasem Hypathos żył i rozkwitał na tę smutną a piękną istotę, którój boleść i łzy może dla rozbestwionego starca wdzięku jakiegoś dodawały. A choć się brzydził otaczającą go rozpustą i życiem pogan,

młody chłopak mimowolnie uległ codziennemu wpływowi ich i zaraźliwym zepsucia widokom. Dusza jego zmiękała, serce zniewieściało, zabył nauk surowszych i pogodził się z temi dniami pieszczonemi próżnowania i spoczynku, w jakich nowe pędził życie. To, co go z razu oburzało najmocniej, powoli stawało się coraz obojętniejszém, prawie naturalném i konieczném. Płakał ukradkiem, ale do surowszej pracy z Judą i do dawniej kryjówki nie miał już siły powrócić. Obawiał się też, by poszukując Cezarowego ulubieńca, nie znaleziono brata i Racheli, której młodość i piękność byłyby zgubą niechybną. Cokolwiek swobodniejszy później, przybiegał do znanego kąta i wyrывał się do swoich, ale nie myślał pozostać już z niemi; powracał na dwór Tyberyusza, by tęsknić tam znowu, ze spuszczoną siedząc głową. Słuchając śpiewów, patrząc na rozwiązłe obrazy, powoli dał się usidlić czarom tego pogańskiego rozmiękczenia; śpiewał sam te pieśni greckie, grał na lutni i nieznane jakieś żądze rozbudzały się w jego piersi. Powracając do Judy i Racheli, poglądał na bratową nie okiem brata, ale chciwą rozpustnika żrenicą, zazdrośném wejrzeniem rozkochanego, rumienił się kryjąc swą żądzę i rwał ku niej, nie umiejąc walczyć ze złém, które weń wszczepił widok powszechniej swawoli.

Ale pomimo téj zmiany w duszy i rozbestwie-

nia, Hypathos nie przywiązał się ani do ludzi, którzy go otaczali, ani do starego Cezara, co w nim kochał tylko piękne kształty posągu greckiego; owszem, nienawiść jego dlań coraz się pomnażała i rosła; czując własne upodlenie, im je przypisywał. Wiara dawna w jednego Boga nie zgasła w nim jeszcze, przywiązanie do podań rodzinnych odzywało się silnie i wywoływało lzy i niepokoje, z którymi pod dach Judy przychodził. Pragnął on i wyglądał śmierci człowieka, który go uczynił narzędziem rozpusty i igraszką, ale zarazem powrót do nędznego życia dawnego zdawał mu się straszny i niepodobny. ... Najdziksze myśli snuły się po rozmarzonej głowie dziecka, które, upojone cudzym szaleństwem, pół dnia było pogańską ludzi zepsutych zabawką, pół męczennikiem i wygnańcem.

Dwie postacie ludzi nieznane, które wzrok Tyberyusza w cieniach nocy wysledził, dostrzegł i skryty w gaju Hypathos, który dnia tego młodego Fauna rolę miał w posągówym igrzysku. Dla niego także przerażające to było zjawienie, poznał bowiem w grocie Judę i Rachelę; uczuł na jakie narażili się niebezpieczeństwo, a myśl, że piękna bratowa może wpaść w ręce Priscusa, rozplomieniła go straszliwie.

Niepokój i pragnienie zemsty ogarnęło go jakiegoś tak, że z gaju wyszedłszy, leciał jak szalony, sam nie wiedząc dokąd bieży, aż niewolnicy, śmie-

jący się z tego Bachusowego szału, powstrzymali go, bojąc się, by gdzie ze skał nie upadł i nie zabił się.

Jakim sposobem tych dwoje tak ukrywających się wygnańców, zjawili się przed Cezarem w chwili zabawy i nastroczyli jego oku, tego Hypathos pojąć nie mógł i zrozumieć nie umiał. Było to dziełem dziwnego przypadku. Skały otaczające dolinę, zewsząd ją prawie prostopadłą ścianą opasywały, lecz liczne w nich, naumyślnie porobione i naturalne pieczary, które trzęsienia ziemi powiększyły, kryły się wpośród zarośli. Niektóre z nich, zawalone bryłami kamieni, zdawały się nieprzystępne, choć głęboko w góry sięgały; były to pierwsze mieszkańców tutejszych kryjówki, schronienia Teleboów i Osków.

Tego wieczora Juda z Rachelą, chcąc świeżem nocy odetchnąć powietrzem, a nie wiedząc o bliskości doliny i gaju Wenery, zapuścił się ścieżynką dziką w głąb wyspy, korzystając z milczenia i snu, który ich otaczał. Nagle, w chwili gdy się sądzili bezpieczni, śmiech tłumu ludzi, niewolników Tyberysza, przeraził ich i zmusił skryć się do nastroczającój o kilka kroków groty, dokąd ich swawola gawiedzi ścigała. Zapuszczając się coraz dalej, znaleźli w ciemném przejściu, i wbiegli niem aż na dolinę, stając mimowolnemi świadkami widoku, zatajonego dla świata, na który kilku tylko wybranym patrzeć było wolno.

Tyberyusz osłupiał na widok kobiety, gdyż twarz Racheli przypominała mu rysy jednej kobiety, którą w życiu ukochał, Agrippiny, odebranę mu dla chwilowej fantazyi Julii, co życie jego zatrzymała.

Może cień nocy, może myśl własna i uciekające w starcu zgrzybiałym ku młodszym latom wspomnienia, uczyniły dlań tę twarz pięknej Racheli dziwnie podobną do dawno straconej żony; ale przypomnienie było tak uderzające, że zapomniawszy swój powagi, wyciągnął ręce, wykrzyknął imię, które dawno zabyły usta.

W najzepsutszym człowieku jest czasem iskra jakaś serdeczna, tlejąca w popiołach... tą iskrawą było w nim przywiązanie do Agrippiny, przechowane w piersi, która już nikogo nie umiała kochać, w człowieku, który po matce nie płakał, szydził ze śmierci własnego dziecięcia, ludźmi pogardzał i zazdrościł losu priama, co wszystką swą przeżył rodzinę. 1)

Priscus, wysłany natychmiast, zebrał swe służki i postanowił całą wyspę splondrować, aby wykryć winowajców....

Tyberyusz jednak po chwili zamknął w sobie uczucie i z weselszym obliczem, jakby się nic nie stało, powoli wyszedł z gaju, dając znak skończe-

1) Swetoniusz.

nia zabawy, a zastawienia nowej uczty w willi Jowisza.

Często tak u starożytnych następowały one jedna po drugiej, w krótkich czasu przeciągach, a smakosze ówczesni umieli się uwalniać od pokarmów i napoju, ażeby kilkakroć na dzień z nowym głodem zasiąść do stołu i czaszy.

I wszystkie dwór Cezara śpiesznemi kroki, poprzedzany przez tancerzy i flecistów, posunął się na góry do willi Jowisza.

XV.

Po wieczorze w gaju Wenery i drugiej uczcie w willi Jowisza, nazajutrz już niezym oczom nie ukazał się Cezar; zamknął się w niedostępnych swych izbach, których wnijsia wierni strzegli niewolnicy, odepchnął codziennych towarzyszków i najściślejszą tajemnicą otoczył. Najbliżsi nawet odgadnąć nie mogli co się działo w jego myśli i sercu; list tylko do senatu wysłany mówił o wielkiej jakiejś boleści:

— „Co wam napiszę, ojcowie? jak do was mam pisać? lub czego nie pisać w tej chwili? — odzywał się Tyberyusz w swym liście — jeśli wiem, niech mnie bogowie gorzej nękają i męczą, niżeli ja sam codzień ginąc dręczonym się czuję.“ 1)

Milczenie i zamknięcie się Cezara, nie tylko dwór jego i Caprę, ale Rzym napelniały strachem;

1) W Tacycie i Swetoniuszu jednakowo przytoczony ten ułamek.

nikt przyszłej jego woli do badać nie mógł, nikt odgadywać nie śmiał. Senat wahał się i zwłóczył z prześladowaniem rodziny i przyjaciół Sejana, zgadywał, wstrzymywał się, lękał. Cień oddalonego Tyberyusza stał przed oczyma senatorów, i zdala osłonięty tajemnicą, straszniejszym się wydawał od samego Sejana.

Na miejscu jego, prawa ręka Cezara, Macron, objąwszy dowództwo pretoryańskich straży, wierny panu lub zdający się mu ślepo posłusznym, odmówiwszy z bojaźni czy rachuby wszelkich honorów po odniesioném zwyciężtwie, — trząśł stolicą przerażoną. . . .

Macron był dotąd jednym z najoddańszych Tyberyuszowi: nikt po upadku Sejana posądzać go nawet nie mógł o zdradę, przecież zetknięcie z władzą już ją w duszy jego zrodziło. Stan tego społeczeństwa zgniłego był taki, że w niem już pocziwsze uczucie powstać nie mogło, leżyły się tylko przecherstwa i niewdzięczności. Czuł to stary Tyberyusz i drżał nie ufając nikomu; codzien też mnożyły się ofiary daremne, z których tylko krwi powstawały nowe nienawiści, pomsta i zdrady.

Zaraz po zabiciu Sejana, syn jego starszy został na Gemonije zawleczony i ubity, stryj Junius Blessus ukarany śmiercią, żona listem pozdrowiwszy Cezara, sama odebrała sobie życie, córkę kat zabił przed zgonem; kolój przyszła na przyjaciół,

na klientów, na cały ten tłum podły, który pragnął choć szat jego dotknąć w dniach pomyślności, a dziś się go już zapierał. Rzym naówczas ujrzał napełniające się więzienia ludźmi wszelkiego stanu, płci i wieku, senatorami, rycerstwem, kobietami, dziećmi, wczesnie napiętnowanymi na stracenie. Część ich znaczna, nie czekając wyroku śmierci, dla ocalenia majątności, sama sobie śmierć zadała.

W krwawych tych dziejach są przykłady i wielkiego spodlenia i wielkiej jeszcze enoty stoickiej, męztwa i ostatecznego znikczemnienia.

Jedni zdradą i wyznaniem chcieli wykupywać się śmierci, drudzy przyjmowali ją jak wybawienie od życia nieznośnego.

„Co najstraszniejszem było w tych oplakanych czasach, powiada Tacyt to, że najpiérwsi nawet z senatu najpodlejszemi delacyami się trudnili, jedni otwarcie, inni skrycie. Wydawali swoi i obcy, przyjaciele i nieznajomi, za stare wiuy i świeże uczynki. O czémkolwiek, gdziekolwiek mówiono, na Forum, na biesiedzie, wnet donoszono; wyscigali się jedni przed drugimi z delacją, zapewniając sobie środek obwinienia, jedni dla własnego bezpieczeństwa, drudzy jakby jakąś pochwyceni zarazą 1). Capreã i Rzym jeden wystawiały obraz, wśród którego ów Cezar mierzający i chorobą nęka-

1) Tacyt VI, 7.

ny, zamknięty, niewidzialny, stał jak posąg mściwego jakiegoś nieubłaganego Fatum. Krew lała się strumieniami, najbliżsi nie czuli się bezpieczni, Cajus nie wiedział co począć, i pochlebając z razu przybranemu ojcu, który z pogardą go prawie odpychał, zwrócił tajemnie oczy na Macrona.

Upadek Sejana, ohydneho tego kata a świeżego wodza pretoryanów stawiał teraz na najwyższym władzy szczyble; pozorna nieczynność Tyberyusza czyniła go silniejszym jeszcze. Cajus, mimo swęj głupowatości dostrzegł to łatwo i postanowił korzystać; Macron nie unikał go na osobności i pakt dwóch godnych siebie zbrodniarzy począł się od rozpustnych wycieczek nocnych.

Inni towarzysze wygnania Tyberyuszowego w nie mniejszej byli niepewności o losy swoje i przyszłość zagrożoną, jedni już ku Cajusowi się zwracając nieznacznie, bo przewidywali rychłe jego panowanie, drudzy pragnąc się usunąć a nie śmiejąc zażądać odprawy, która mogła podejrzenie obudzić.

Vesularius i Marinus w téj chwili mieli największe powody strachu o życie; starszy z nich był wprawdzie od dzieciństwa przyjacielem Tyberyusza, towarzyszem jego wygnania, powiernikiem wyprobowanym, ale w uśmiechu pana i łaskach wyczytał już przepowiednię śmierci.

Nerwa także chodził zasepiony i milczący, nie śmiejąc jednak wyspy opuścić.

Powracający Macron, krwią Sejana zlany tryumfator, nie doznał od Cezara ani wdzięczności, jakiej się spodziewał, ani łaskawego przyjęcia. Ledwie dopuszczony do ciemnej izdebki, w której jęczał Tyberyusz, tknięty został obojętnością, z jaką wysłuchał jego opowiadania o rzymskich dziejach dni ostatnich.

Ale siepacz ten godzien był ze wszech miar pana, któremu służył.

Niewiadomo co Nacwiusa Sertoriusa Macrona na tę dostojność ulubieńca wyniosło, może siła olbrzymia, odwaga nieustraszona, przebiegłość pokryta pozorem prostoty, a nadewszystko ślepa gotowość spełnienia co tylko pan przykazał. Nigdy ani krwi, bodaj najbliższych sobie przelać, ani się zdradzić nie wahał, ani ukryć z myślą nie zaniedbał. Prawa ręka Tyberyusza, wychodził odeń tak zamknięty w sobie, że ani z twarzy, ni z mowy nikt po nim nie poznał, jakie niósł rozkazy.

Znając Tyberyusza, który nie cierpiał by go kto śmiał odgadywać, i pozbywał tych, którzy myśl jego podchwycili, Macron udawał człowieka nie rozglądającego się w przyszłość, nie widzącego nic i spełniał obojętnie co mu kazano. Nieraz zniecierpliwiał Cezara, umyślnie niechcąc się nie dorozumieć. Ale przebiegły zausznik czytał w jego duszy lepiej niż się zdawało, choć tego po sobie nie okazywał; przed panem tylko zmieniał twarz, spójrze-

nie, mowę, i grał zręczny aktor rolę prostego narzędzia... choć wiedział zawsze wprzód do czego miał być użyty. Ta bierność i posłuszeństwo podniosły go pewnie na urząd Sejanowego kata, a rozum kazał mu odmówić czci, jaką go okryć chciało, aby podejrzliwy pan nie posądził o pragnienie panowania.

Nagrodzony tylko jak narzędzie prostą zapłatą znacznej summy pieniężnej, którą przyjął, Macron powrócił do Caprei, na chwilę opuściwszy swych żołnierzy....

Cajus nań czekał, wyglądał go niespokojny, nie mogąc już od dni kilku ni do Cezara przystąpić, ani się od sług o nim dowiedzieć.

Syn Germanika i Agrippiny, żadnej z ich cnót nie odziedziczył, choć z młodu zahartowany do życia obozowego, winien był nabrać mocy duszy. Współcześni patrząc na to, jak uległy i spodlony włókł się poddany woli i zachceniom Tyberyuszowym, powiedzieli o nim, że nie było nadeń lepszego sługi ani gorszego pana. 1)

W istocie, Caligula starał się przypodobać przybranemu ojcu, nawet postawę jego, ruchy, mowę, naśladowując niewolniczo.

Widok rozpusty wcześniej w nim zaszczerpił upodobanie w igrzyskach, biesiadach, tańcach i ucz-

1) Tacyt. Annales. VI. 20.

tach, a noce, które spędzał w Caprei, w długiej sukni, z rozpuszczonemi przyprowadzonymi włosy, wśród greckich zalotnic, głośne już były naówczas.

Dziwniejszemu nad to jednak, co przykład i wiek tłumaczył, był zupełny brak serca, które zawczasu zabił w sobie, chcąc się przypodobać wielkiemu wzorowi, jaki naśladował. Śmierć matki, los braci wygnanych, poniżenie rodziny i pamięci ojca, nie wywołały zeń ani łzy, ani nawet mściwego oburzenia. Zastąpił wszystkich, wziął spadek po nich i okupywał życie, starając się być odbiciem niecnót i charakteru Tyberyuszowego.

Stał się też godnym tego wielkiego wzoru wychowanek Macrona i syn przybrany starego Kozła Caprei.

Jakkolwiek zepsuty wcześniej i rozpustą zwątlony już Cajus, miał na złe przebiegłości dosyć, choć się z nią tał starannie.

Macron, towarzysz nieodstępny Cezara, żył z całą rodziną w domku niedalekim od willi Jowiszowej, od którego wschody tylko wiodły do głównych portyków. Tu zamknięta w gynecaeum, lecz znana dobrze z piękności, mieszkała żona wodza pretoryan, Ennia Naevia.

Trochę z nudów i swawoli, może z rachuby, Cajus, poznawszy ją, starał się do niej przybliżyć.

Pod niemyślność Macrona, z pomocą przekupionych sług wcisnął się do jej domu, i piękną, za-

lotną Rzymiankę, której nic nie broniło od uwodziciela, łatwo sobie pozyskał pozorem miłości i nadziejami wielkimi.

Panowanie jój nad umysłem męża i wpływ, jaki ta słaba na pozór, młodziuchna istota, wywierała na niego, co się żadnemu nie zdawał ulgać — zbliżyły do siebie Cajusa i Macrona, których ona starała się sprzyjać.

Szpiegi, których tam każdy miał za sobą, chodzące jak cień, śledzące krok każdy, wnet doniosły Tybcryuszowi o tajemnych wycieczkach Caliguli; starzec miał wówczas podobno powiedzieć z uśmiechem, że węża hoduje dla rzymskiego ludu.

W istocie, przyjacielem Macrona głosił się i okazywał Cajus, w chwili kiedy go zdradzał najboleśniej; ale w tej społeczności zobojętniałej nic nie było świętego — jeden strach tylko mógł ją powstrzymać od ostatecznego rozpadnięcia.

Po powrocie Macrona z Rzymu, nikt nie był świadkiem rozmowy Cezara z posługaczem zemsty jego; wyszedł z niej jednak wódz pretoryanów zniechęcony i znękany, a oko Cajusa dostrzegło w nim rodzącą się niechęć i znużenie.

Więc go zaraz objął w portyku jak przyjaciela, najczulszemi obsypując wyrazami. Zimny na nie pozostał Macron i grzeczném tylko uszanowaniem odpowiedział na poufale przymilenie; powrócił do

domu swego, śpiesząc do gynaeceum, gdzie strojna Ennia już nań niecierpliwie oczekiwała.

Jój jednę powierzał się Naevius, ona jedna znalazła do dna to serce zamknięte.

Wychodząc naprzeciw długo niewidzianego męża, zalotnica przybrała się we wszystko, co wdzięki jój podnieść i siłę ich powiększyć mogło. Tunika jój liliowa, szyta złotem, na drugą lżejszą włożona, odsłaniała pierś białą i ręce jak z marmuru wykute, okryte naramiennikami i klejnotami świetnymi. Wysadzane szafirami i rubinami *patagium* 1) zdobiło piękną jój szyję i długim pasem do kolan spadało, błyszcząc wśród fałdów sukni, w drobniuchne zebrańej marszczki. Na nogach miała kołurny purpurowe, z taśmami wysadzanemi perły, a woń jój zwiniętych w górę i bogatemi iglicami poprzepinanych włosów, rozechodziła się po całej izdebce.

Jedwab' i złoto, wbrew prawu, zwanemu *lex Oppia*, zakazującemu ich użycia, lecz już wówczas zarzuconemu powszechnie, same na jój wytworny strój się składały. Lecz i bez niego młodziuchna Rzymianka pochwycić mogła za serce wdziękiem, świeżością, powabem zalotności naiwniej i umiejętnie na przemiany w oczach malującym się weselem i tęsknotą; uśmiech i łza nic ją nie kosztowały, a wiedziała dobrze, jak ich i kiedy używać.

1) Rodzaj ozdobnej stuły, noszonej na ramionach.

Pomimo czarnego włosa, Ennia miała jasno-niebieskie oczy, pełne wyrazu jakiegoś lubieżnego omdlenia, które radość nawet we łzach kąpała, a płeć tak śnieżną i ramiona tak zaokrąglone cudnie, że patrząc w malutkie z polerowanego kruzczu zwierciadelko, nieraz sobie po cichu mówiła sama, że i obok Cezara nawet (gdyby jej kiedy Bogowie zdarzyli być żoną jego) — wstydu by mu nie zrobiła.

Macron czy Cajus — któż wie? jeden z nich mógł po Tyberyuszu Rzymowi panować; obu ich miała w rękę, i wybrać mogła co los by wyżej postawił.

Gdy przychodzący od pana Macron upadł na miękkie siedzenie, poduszkami okryte, Ennia zbliżyła się ku niemu nieśmiało, chcąc otrząść pot z uznojonego czoła, na którym dostrzegła boleść i znękanie...

Chwilkę milczeli oboje, ona czekała by przemówił, drżąc w duszy a chcąc się okazać odważną, on zdawał się przybity i bezsilny; wreszcie kobieta zaczęła pierwsza.

— Smutny jesteś Naeviolu mój — pieszczotliwie odezwała się do niego, — wszakże ci pomogli Bogowie, wyszedłeś zwycięzko a cały świat w tej chwili błogosławi twojemu mężtwu i sile... Cezar sam spokojność ci zawdzięcza.

— Cezar! — szepnął po cichu uśmiechając się Macron i spójrzył na nią — on? nie wiem!!

— Wszakżeś mu przyniósł głowę Sejana. O! i ja się tém ucieszyłam, bo Apicata (żona Sejana) wysoko nosiła dumę swoją, wcześniej próbując jak na ołtarzu z łysym razem wyglądać będzie?

— Apicata nie żyje!

— A córka jēj?

— Dziecię! płakało gdy ją kat na śmierć prowadził, nie rozumiejąc co ją czeka i obiecując, że odtąd będzie grzeczne 1) — dziko rozśmiał się Macron.

— Więc znowu jesteście spokojni.

— Spokojni? — mruknął pretoryanin — a Cezar? a Rzym? a... i nie śmiejąc dokończyć zwrócił rozinowę — Sejan ma jeszcze przyjaciół, Rzym ma jeszcze spiskowych... a stary kozioł (dodał ciszej) nie syty krwi, póki jēj z nas wszystkich nie wytoczy...

Na te słowa niewyraźne i dosłyszane ledwie, Ennia pobladła kładnąc paluszek na ustach...

— Długoż jeszcze żyć i siebie a drugich będzie zamęczać! — rzekła mu do ucha.

— Bogowie wiedzą sami! wszystkich znużył, sam sobie stał się ciężarem... a Parki mu łaskawe...

I znowu milczeli chwilę.

— Któż wie zresztą — rzekł patrząc jēj w oczy — zyskamyli na zamianie? Cajus...

1) Historyczne.

Ennia zarumieniła się trochę, ale schyliła szybko, poprawując zagięty brzeg tuniki, tak że mąż jej zawstydzenia nie dostrzegł.

— A Cajus? jak go sądzicie?—spytała nabierając odwagi.

— Małpa Tyberyuszowa... ale mu Bogowie ani sił jego, ni dowcipu nie dali... Któż wie? ten może lepiej niż inny, bezsilny, da się prowadzić.

Ennia poruszeniem głowy tylko wskazała że dzieli jego zdanie.

— Czemuż — dodała nieśmiało — Naeviolu mój, nie starasz się zawczasu przybliżyć do niego i serca pozyskać?

— Bo wiem—odparł szyderczo ale bez gniewu Macron—żeś ty mnie w tém zastąpiła, Ennio!

Kobieta zrazu się przelękła, cofnęła się krokiem, wstyd oblał jej twarz rumieńcem, ale nie widząc groźby w oczach męża, ruszyła ramiony białemi...

— Mylisz się Macronie— rzekła...:

— Wiem o tém... o wszystkiém!—zaśmiał się pretoryanin... — nie bój się, nie przeszkodzę ci być żoną Cezara, bylebyś została zawsze... Macrona kochanką...

Naevia zmieszana, zakryła twarz rękami i w głąb domostwa uciekła. W téj-że chwili czarny rzeźnic, pilnujący atrium, przyszedł panu oznajmić, że Cajus czekał nań przechadzając się w koło pierwszego podwórca.

Macron powstał zaraz, wstchnął szcrocką piersią, ale poszedł spieszenie dostojnego powitać gościa, którego znalazł z wielką uwagą przypatrującego się małemu ołtarzykowi domowemu Eskulapa i bijącemu przed nim koralami wysadzanemu wodotryskowi.

— Witam cię zwycięzco Sejana! — począł powoli Cajus, topiąc w nim wzrok, w którym wyrazu dopatrzyć nie było można pod jakimś obłąkaném osłupieniem, jemu zwyczajném — Cóż Rzym? co Senat? co lud?

— Obwołujc Tyberyusza zbawcą i ojcem ojczyzny! stawi mu nowe świątynie i posągi! — rzekł z trochę przekąsu Macron — śledząc wrażenia na licu zimném Caliguli, ale uśmiech tylko dwuznaczny, bezsilny przebiegł twarz jego pozołkłą.

Cajus począł się przechadzać powoli dokoła *inpluvium*, jakby roztargniony i w namysłach.

Odwrócił się potem do chodzącego za nim Macrona...

— A u nas w Caprei — rzekł — wiesz co się dzieje? Cezar od kilku dni siedzi zamknięty, milczy, nikogo nie przypuszczając do siebie... Mówił ci Priscus co było tego powodem?

— Nie widziałem Priscusa!

— Trwa to od wyjazdu twego... codzień chmura nad czołem wisząca się zwiększa; Tyberyusz ponury i gniewny... a Bogowie coraz go więcej obar-

czają, ... na ućcie znalazł dystych okrutny, ukryty pod poduszką triclinium... podejrzenie znać padło na Vescularisa i Marina... Potém byliśmy w gaju Veneri, gdzieśmy patrzali na posągowe igraszki... Cezar sam udał się w głąb lasu; Priscus cieszył się już, że go potrafił rozerwać i z odrętwiałości, w którą starość obleka, rozbudzić... wtém krzyk słyszemy dziwny z ust, które nigdy nie krzyczą... Zjawisko straszne przeraża Cezara w grocie Faunów... pokazuje się Agrippina... Leciemy wszyscy... znikł cień, pozostał tylko starzec rozdrażniony i gniewny... Całą wyspę przetrząsano aby tę kobietę wynaleźć...

— A jeśli to był cień zmarłej?

— Cóż? przepowiednia może? i cóżby znaczyć miała? — badająco zapytał Cajus...

— Nie wiem... nie jestem wieszczkiem... ale zkądżeby tu na wyspie twarz nikomu nieznana?

— Przecież żywa!... u boku jój stał mężczyzna...

Oba zamysłili się.

— Ztąd pono smutek Cezara i zanknięcie—dodał Cajus — niewolnik dostrzegł na pugilaresie wiersz jego, ceniom Agrippiny poświęcony...

— Rzecz prosta—przerwał Macron— ta kobieta przypomniła mu jedyną ukochaną w młodości... potrzeba wyszukać téj, która jest tak do niej podobną! oddać ją w ręce Cezara!

Cajus uśmiechnął się.

— A przyjdzie z nią młodość? — dodał. — Na próżno dotąd śledzą ją wszędzie... Priscus mówi, że pamięta oblicze żony Asinius, widział jej piersia... poznałby ją wśród tysiąca... Wysłańcy jego od drzwi do drzwi przebiegają wyspę całą...

Macron uśmiechnął się...

— Stary z nami już żyje tylko! — zawołał — chce młodości, a lata codzien mocniej przygniatają go do ziemi... siły go opuszczają, choroba zjada, męczy się straszliwie...

— A lekarzy wezwać nie chce! — odezwał się Cajus.

— Wiecie — odparł Macron — co powiada Cezar, że po latach trzydziestu, kto siebie nie zna a sam się nie leczy, temu już nikt nie pomoże. Przytém... lęka się...

Spójrzeli sobie w oczy.

— A kogoż by się mógł obawiać? — spytał Cajus.

— Któż wie? wszystkich?

— Ale tobie ufa, Macronie, ty byś go mógł namówić, by czyjejs rady zasięgnął... Nie wszyscy lekarze oszuści i nie każde lekarstwo trucizną...

Popatrzywszy sobie w oczy, myśl swoją odgadli nawzajem, i Cajus podał łłoń Macronowi, szepcząc mu po cichu:

— Władzę z tobą podzielę...

— Lub śmierć! — odpowiedział atleta...

— Jemu życie ciężarem, Bogowie winni mu spoczynek !

— Bądźmy narzędziem Bogów! — rzekł Macron — ale ostrózném... Cezarze !

Zamilkli, oglądając się, czy ich *atriensis* nie słyszał.

— Jest moim! — rzekł w duchu Cajus...

— Mam go! — pomyślał Macron...

I szybko się rozeszli.

XVI.

Gdy Tyberyusz nienawistnych żydów dla ich wiary z Rzymu wygnać kazał i przewieść na wyspę, na której je walka z dzikimi zbójcami czekała, nie wszystkich, naówczas zamieszkałych w stolicy, los ten spotkał. Ubożsi, jak zawsze, padli tylko ofiarą, innym, pisze Tacyt, dano czas do powrotu lub zmiany religii. Wielu naówczas z konieczności przyjęli powierzczośnie obrzędy i obyczaje pogan, nie wahając się spełniać ofiarę przed ołtarzem i posągiem Augusta, byleby dożyć dni swoich z rodziną w spokoju, w kraju, do którego już przywykli. Żydzi naówczas trudnili się w Rzymie handlem, wypożyczaniem pieniędzy i różnemi rzemiosłami, z których lecarskie przedniejszemu było.

Wschód pełen tajemnic, nawet w oczach Rzymian miał urok krainy pierwotnych podań rodu ludzkiego; przypisywano wychodźcom jego naukę

czarów, wieszczbiarstwa i leków, od najdawniejszych wieków wziętą w spuściznie. Zresztą wiara ówczesna daleką już była od pierwotnej rzymskiej, która się cudzych Bogów wzdragała; przyjmowała ona i stawiała ich w Pantheonie, byle nawzajem ci co ich wyznawali, cześć Bóstwu Romy i Cezarów oddawali. W mythologii téj na wszystko miejsce się znajdowało i Nieznanemu nawet Bogu chętnie święcono ołtarze.

W chwili stanowczej prześladowania żydowskiego, żył ustronnie, w zakątku miasta dalekim, starzec, który między narodem swym znacznej wziętości używał. Zwał się Elias a z grecka Heliose go przezywano; zajmował się zaś leczeniem i złoćnictwem. Człowiek to był już bardzo podeszłego wieku, ciche prowadzący życie. ale z leków i pocziwości znany w domach patrycyuszowskich i ryckich. Ten przez swe stosunki i możnych protekcyą, a szczególnie Regulusa, któremu był dziecię od śmierci ocalił, otrzymał pozwolenie zostania w Rzymie do czasu; a gdy pierwszy termin upłynął, nikt już nie nalegał aby się z miasta wynosił.

Rodzina jego cała składała się z matki starszki, owdowiałej córki z dzieciną i jednego niewolnika, który rzemiosłem razem i usługą się zajmował.

Helios należał do tych żydów Alexandryjskich, którzy na pół już zgreczeni i zrzymszczeni, prześladowaniu nie ulegali, ale pochodzeniem i wy-

kształceniem licząc się do nich, różnił wielce umysłem i duchem. Tamci dwóch światów obywatele, dwóch wiar wyznawcy, w istocie szczerze nie należeli do żadnego kraju i religii; wstyd jakiś i nałóg trzymały ich przy judaizmie, strach i zepsucie rzucały w pogańskie obyczaje; ale ani jednemu ani drugiemu nie służyli całemi sobą.

Surowsi żydzi brzydzili się niemi jak odstępcami, Rzymianie już w nich nie mogli widzieć Hebreów, których wytrwanie szanowali w Hierusalecie, a cenili na równi z niewolnikami i wyzwolencami, lub niżej od nich jeszcze.

Helios jednak, acz od wieków już należący do téj żydów gałęzi mniej surowego obyczaju, a co do zewnętrznych cech, zgreczonój, w duchu był innym cale: życie, rozmyślanie, nawróciło go do starój nauki i judaizmu, od którego był odstąpił.

Jak zawsze, nieszczęście było opatrzniem nawrócenia jego narzędziem; miał ukochanego syna w którym spoczywały jedyne starca nadzieje, syn ten, w chwili najmniej spodziewanej, wśród jakiegoś zaburzenia ulicznego w Rzymie, gdy *plebs* szalała ze strażami, został zabity. Ciało jego znieważone i skalane przyniesiono ojcu, gdy z pogodną twarzą, niczego złego nie przeczuwając, oczekiwał powrotu dziecięcia.

W piérwszój chwili starzec utracił zmysły, a życie które mu pozostało, cale się zmieniło w po-

grzebowe narzekanie i rozmyślanie bolesne. Szukając ulgi w cierpieniu, zwrócił się do Biblii i ksiąg świętych, a choć dawniej upodobanie miał większe w filozofii greckiej i astrologiją się zabawiał, obie porzucił, nie znajdując w nich teraz ani pociechy, ani pokarmu dla zbolałego serca. Zdziwiło go, że po wymysłnych sofismatach i głębokich rozumowaniach pisarzy, którzy mu się szczerem doskonałości zdawali, Biblia ze swą boską prostotą, tak wyższą i niezrównanie więcej mówiącą do serca i rozumu jaśniała dlań mądrością.

Czytał ją i odczytywał Helios, żałując czasu, który na naukę innych pisarzy poświęcił, dziwiąc się że w niej teraz znajdował to, czego wprzód nie widział.

I boleść jest mądrością.

Upodobawszy sobie w księdze Hioba, której poezya wschodnia napelniała jego serce uczuciem niewysłowioném i cierpieć go uczyła, przeszedł od niej do innych ksiąg Biblii i długie godziny zadumywał się nad niemi.

Stan ówczesnego Rzymu za Cezarów i tej cywilizowanej na pozór społeczności, dla wszystkich okiem beznamiętném nań spoglądających, był zjawiskiem wywołującym mimowolnie pytanie: Świat możeeli tak trwać dłużej? Helios także powtarzał je w swęj duszy przygotowanej do poznania prawdy i uprawionej boleścią. W świecie żydowskim sty-

gła téż wiara jak u pogan, u których obróciła się w obrzęd i niemal zabawkę. Świątynie nie były świętymi, milczały- wszystkie wyrocznie Grecyi i Rzymu, duch proroczy ustał, jakby zmożony siłą przeważną, ofiary spełniano dla widowisk, a obok Jowisza stali Cezar i Augustus, wczoraj skalani krwią i rozpustą, dziś uniesieni w niebiosą.

Wiara przestała rządzić życiem, kapłaństwo stało się jak inny urząd nagrodą dworaków, pochlebców lub osłoną ambicyi. Augurowie wieszczb używali tylko dla celów politycznych, a z obrzędów i bóstw śmiano się z jednej strony, z drugiej rozumowano tak o nich, jakby człowiekowi były podległe i przezeń tylko utworzone. Poczęło się to oddawna, lecz co dzień stawało widoczniejszem. To co Swetoniusz powiada o Tyberyuszu, że Bogów i religii zaniedbywał, a oddany był rachubie i wierzył przede-wszystkiém w niezblagane Fatum 1), stosować się może do ogółu społeczeństwa, z tém, że ci co z Jowisza się śmiali, chętnie potajemnie składali ofiary Mitrze i Serapisowi, lub kamykowi nieforemnemu przywiezionemu ze stron dalekich.

Ludzie szli drogami namiętności niczém już nie pohamowanych, bo nic dla nich świętém nie było, a strach tylko, najgorszy z doradców, rządził niemi.

1) Circa Deos ac religionem negligentior. *Sueton. Tiber. 62.*

Ognisko domowe, związki małżeńskie, poszanowanie dzieciństwa, węzły krwi, wszystko zniszczył blady ów strach i osobiste względy. Niewiasty wszelkiego zapominały wstydu i podawały rękę niewolnikom i gladiatorom, synowie świadczyli przeciw ojcom, matki odpychały własne dzieci — cóż mówić o innych stosunkach, słabszych z natury i mniej z siebie niezłomnych? Te potoki krwi, które się lały zewsząd, te mordy straszliwe, ten zamęt, który na niczyje serce i wiarę rachować nie dawał, przerażały i zmuszały myśleć, że ludzkość nie mogła być tak opuszczoną i na pastwę wydaną, jeśli w niej tlała choć iskierka daru Bożego.

Helios w swych księgach znalazł pierwszą myśl zasadniczą, która weń wlała pociechę, wielką i pocieszającą myśl opieki Bożej nad światem... Opatrzności rządzącej ludźmi i istotami wszelkimi, od maluczkiego robaczka do najpotężniejszego z mocarzy. I rzekł sobie, że Bóg tak ludzkości opuścić i rzucić jej na pastwę zezwierzczeniu nie może.

Nie obce mu były przepowiednie, obiecujące przyjście Messyasza, syna Bożego, który miał się narodzić w godzinie naznaczonej, gdy świat nowego objawu widomego Boga zapagnie i konającymi usty zawoła. Sama naówczas filozofja pogańska pełna była tych przepowiedni i przeczuć jakiejś wielkiej zmiany, jakiegoś potężnego zjawiska, mającego oblicze ziemi przetworzyć, świat

odrodzić... Helios znał te wyrazy tajemnicze, które w tęsknocie i utrapieniu powtarzali wówczas nawet poganie... czując zbliżającą się chwilę...

Ale więcej jednym kamiennym Bogiem na ich ołtarzach?... cóżby nowego świat zyskał? Helios oczekiwał żywego Boga, widomego znamienia i cudu.. Wschód szczególniej tę nadzieję piastował, lecz i w Rzymie chodziła wieść, było przekonanie, że Judea ma się podnieść i Pana dać światu 1), może dla tego tak się Hebreów lękano. Tacyt i Swetoniusz są świadkami, że przecucie było powszechném, przywodzą je prawie jednemi słowy oba.

Swetoniusz niewłaściwie tylko zastosowując do Augusta przepowiednię inną, mówi o cudzie głoszącym Rzymowi, że natura króla mu wydać miała 2). Przypomniano Virgiliuszową wieszczbę o synu Jowisza, ustępy z ksiąg Sybilińskich, dotyczące się zjawiska, które świat odrodzić miało, przez jednego człowieka, przez dziecko narodzone z dziewicy.

Sam Tyberyusz, szydzący z bóstw i obrzędów, dumiał długo nad dziwnym jakimś wypadkiem, który

1) *Percrebuerat Oriente toto vetus et constans opinio, esse in fatis, ut eo tempore Judaea profecti rerum patirentur.*— Sueton. Vespas. 4.

2) *Prodigium Romae factum publice, quo denuntiabitur, regem populi Romani naturam parturire.*— Sueton. Aug. 94.

naówczas wszystkie zajmował umysły. W chwili prawie, gdy w zapomnianym Wschodu zakątku rozlewano krew niewinnego, dla odkupienia świata.. poganie usłyszeli oznajmienie o *śmierci wielkiego Pana*, tajemniczego bóstwa, przedstawiającego starą wiarę. Plutarch tak opisuje to zdarzenie niepojęte dla pogan, chrześcianom tylko zrozumiałe:

»Za panowania Tyberyuszowego, pisze 1), statek przepływał niedaleko wyspy Paxos; ludzie na nim podróżujący nie spali jeszcze, siedzieli za stołem i pili, gdy z jednej z wysp pobliskich usłyszano głos, wołający *Thamusa*, sternika okrętu, tak silnie, że się wszyscy zdumieli. Na pierwsze i powtórne wołanie *Thamus* milczał, na trzecie wreszcie odezwał się, a głos ów dodał silniej jeszcze:

— »Gdy przybędziecie na wysokość wyspy *Palodes* (u brzegów Epiru) oznajmijcie, że *wielki Pan* umarł! «

Dopłynąwszy do wskazanego miejsca, *Thamus* spełnił zlecenie i z przodu okrętu zawołał ku lądowi:

— *Wielki Pan* umarł!...

Naówczas dały się słyszeć jakby jęki głośnie i wołanie podziwu wielkich tłumów ludu. Świadkowie naoczni opowiadali to w Rzymie, *Tyberyusz* sam dowiadywał się i został upewniony o wypadku.

Wielki Pan arkadyjski, dziecię *Jowisza* i *Hy-*

1) Plutarch de Oraculis.

bridy, leśny ów włóczęga, śpiewak i wróżbiarz, pół człowiek, pół zwierzę, symbolizujący ubóstwienie wszystkiego cielesnego i ziemskiego — cały starożytny Pantheismus w istocie skończył w tej chwili, z przyjściem od wieków obiecanego Wybawcy...

Dla Heliosa wszystkie te przepowiednie potwierdzało jeszcze badanie pisma odwiecznego Hebreów, księgi ksiąg, ich zakonu, w których liczne, poczynawszy od stworzenia (Genesis. III. 15), przepowiednie, zwiastowały zesłanie Odkupiciela, — Mesyasza.

Niektóre nawet ustępy Biblii oznaczały bliżej okoliczności przyjścia, miejsce urodzenia, matkę i rodzinę i los, jakiemu miał uleże Bóg na ziemię zstępujący. W księgach Rodzaju, Deuteronomie, Królach, Prorokach, szczególnież znajdował Helios co krok powtarzające się obietnice owego zesłania syna Jehowy na ziemię

Przybywający ze Wschodu do Rzymu podróżni przynosili już najsilniej potwierdzające wieści o spełnieniu przepowiedni; mówili o narodzonym w Beteleem, o umęczonym w Hierusalem Messyaszu, który z grobu zmartwychwstał zwycięzcą śmierci.

Lecz część znaczniejsza żydów, która w nim po ludzku sądząc, oczekiwała króla tylko i zdobywcy, co mieczem miał świat zawojować, nie przyjmowała już spełnionego za to co przez Proroków zwiastowane im było... Inni, słysząc o cu-

dach wielkich i szerzącej się nauce nowój, niepokoiłi się o nią i poznać pragnęli. Mówiono o rozsianych już po świecie rozesłańcach, niosących prawdę radośną, nowinę dobrą odrodzenia, ale jeszcze w Rzymie, ledwie niektórzy z żydów głuchą mieli wieść o wypadkach, zaszłych w Hierusalem i Chrystusowej męce i wierze, którą usiłować poznać pragnęli...

Do liczby tych, którzy niecierpliwie oczekiwali żeby im kto przyniósł nowinę zbawienia, należał stary Helios, nie mający pokoju i wychodzący często na brzegi Tybru, by podróżnych, ze Wschodu przybywających, pochwycić i dowiedzieć się u nich o Messyaszu, synu Bożym.

Przykład jego cały ten dom ubogi napelniał jakąś żądzą poznania nowój prawdy, o której głoszone już, że była tylko potwierdzeniem starego zakonu Biblii, jaśniejszém, silniejszém i do wyższej podniesioném potęgą.

Dom ten, jakśmy rzekli, składał się ze starca Eliasza, żony jego staruszki Diny, jak on tajemniczą przejętą nadzieją, owdowiałej synowej z dzieciną i niewolnika.

Zamieszkowali oni w oddaleniu od środka miasta, blisko świątyni *Minerwy medica*, u murów, otaczających *pomoerium*, przez których bramę, niezbyt odległą, przechodził gościniec od Tibur wiodący, *Via Tiburtina*, a po za nią tuż, niemal przyparte

do murów, były zwierzyńce (*Vivarium*) i obóz pretoryanów.

W bocznej uliczce ustronnej Helios zajmował kilka izb i sklepik, w którym wschodnie wyroby złotnicze sprzedawał.

Chociaż żyd i złotnik, nie ściągał zbytnie oczów ani budził zazdrości Rzymian, i w czasach, gdy mało kto był bezpiecznym, żył dosyć spokojny, nie mając dłużników, bo pieniędzy nie pożyczał, nie robiąc sobie nieprzyjaciół bo stosunków miał mało, i niewielkiej głośności swój winien będąc ciszę jaka go otaczała.

Znały go tylko niewiasty, których klejnoty naprawiał lub mieniał, przerabiał naszyjniki, pierścienie i pasy, i w okolicy téj miasta, nie wielkie kółko, które się radziło lekarza, gdy już żadnej dla chorego nadziei nie było.

Wyzywany nieustannie od ciekawych przyszłości, którzy sobie chcieli kupić jój wiadomość, Helios od wieszczb unikał i służyć niemi nie chciał. Po większej części leczył środki prostemi, balsamami z ziół wyciąganemi i roślinami, których znał własności, lekarstwami powszechnemi, które wówczas za panacea uchodziły, wstrzemięźliwość zalecając i spokój ducha. Mało potrzebując dla siebie i rodziny, Helios żył z pracy i grosza uzbieranego, który miał u swoich współwyznawców, w różne sposoby nim obracających. Szanowany przez nich,

wpływu jednak nie miał wielkiego; surowsi zarzucali mu dawniejszą jego mądrość grecką, wolniejsi to, że się jeszcze trzymał zakonu.

Blizkość obozu pretoryanów, do którego Macron, stosunki sobie potajemne zawierując, od dawna uczęszczał, sprawiła, że raniony raz spadnięciem z konia dowódzca poznał starca, którego sprowadzono dla opatrzenia skałeczenia. Spokój jego, wyryta na twarzy moc ducha, bezinteresowność i odwaga, zastanowiły Naeviusa.

Nie wiedzieć potem zkąd, po rozmowie z Caligulą, przyszedł mu na myśl Judejczyk i postanowił namówić Tyberyusza, aby go sprowadzić pozwoilił jako lekarza, knując może coś więcej, gdy leki zręczność nastroczą.

Tegoż dnia starał się docisnąć do Cezara (który siedział zamknięty i jadł nawet osobno) pod pozorem pieczołowitości o jego zdrowie, próbując zachęcić, aby nowego jakiego lekarza z Rzymu przywieść dozwolił.

Tyberyusz spójrzał tylko, potrząsł głową i uśmiechnął się tak, że Macron poczuł krew stygnącą w żyłach.

— Nie potrzeba mi waszych lekarzy! — rzekł — nic mi nie trzeba! spokoju, siły tylko... a tych nikt z was nie da!

Drugi raz nalegać nie śmiał; Cezar zbył go milczeniem, dostał kartek na których pisał, i po-

czał, zadumany głęboko, kreślić coś i ścierać, zajęty układaniem listu do Senatu, czy pamiętników własnych.

Macron wiedział, że mu w takich chwilach przerywać pracę było niebezpiecznie i wysunął się po cichu.

Stan ten jednak niepokoił go, dręczył wszystkich co otaczali Cezara, i czynił rozkoszną Caprę milczącym więzieniem, w którym przerażeni niewolnicy z nieufnością na siebie spoglądali... nie wiedząc czy swobodą czy śmiercią skończy się straszliwe oczekiwanie.

Cajus wrzał milcząc, a Macron poglądał na wzrastającą niecierpliwość jego, ciesząc się władzą, jaką mu ona dać miała. Owszem, przez Ennią jeszcze starał się obiecanem panowaniem wzburzyć w nim namiętności, i przyszłej swobody nadzieją rozbudzić tę duszę, która, dotąd strachem okuta, milczała...

Oba jednak marzyli i szukali środków, by się pozbyć nieznośnego im starca, dopóki groźny jego wzrok i szyderskie usta nie ukazały się przed niemi; oba drżeli na widok jego i padali przed nim posłuszni, tak przywykli byli żelaznej jego woli ulegać.

I pokątne narady kończyły się bezsilnemi przekleństwami.

XVII.

Gdy się to dzieje w Caprei, — w Rzymie, lepiej odgadujący wolę Cezara senat mści się nad poplecchnikami Sejana z zajadłością okrutną, badając tylko kiedy mu powiedzą — dosyć.

Zaprasza Tyberyusza do stolicy, a Gallus ofiaruje z senatu wybór mężów dwódziestu, związanych przysięgą, którzyby za każdą razą wchodzącemu do Curii Cezarowi towarzyszyli dla bezpieczeństwa. To odgadnienie strachu, jaki on czuć musiał, spowodowało tylko szyderski list jego, w którym wymawiając się od przyjęcia honorowej straży, żartował sobie z senatu i Galla.... Obrócono w śmiech tę podłą chętkę okazania gorliwości.

Inny, Gallion, chciał także w tej myśli na ławy rycerstwu przeznaczone wprowadzić zasłużonych pretoryanów, za co go wprost zgromiono. Gallion nawet wygnany z senatu, za tę myśl dziwną porównania senatorów z żołnierstwem, musiał uchodzić

na Lesbos, a nareszcie dostał się do więzienia. Smutne dzieje!! Obwiniony przez Tyberyusza zasznik Sejana Pacomianus, ocalając życie, wydaje Latinus'a Latriaris, godnego siebie zbrodnia; co dzień nowe zdrady i krwawe ofiary.

Messalinus Cotta, za żarciki z Cajusa Caliguli, którego *Cają* nazywał, a Cezara *Tyberyolem* swoim, o mało nie przypłaca życiem, ocaliła go fantazya jakaś; Pollion, Silanus, Scaurus, Calvisius, Minucius, Serveus, Sejus Quadratus, giną z kolei pastwą delatorów nienasyconych. Kobięty nawet nie są wolne od prześladowania, a matka Fufusa, starszka zgrzybiała, zabita za to... że śmiała płakać po synu!

W Caprei ten sam przestach i trwoga; Cezar wciąż siedzi zamknięty i niewidzialny. Z towarzyszków jego, najstarsi wiekiem i zasługą, Vescularis i Marinus padają ofiarą najpięrsi.

Ostatnia biesiada i serdeczność Cezara dla nich obu, napełniła ich strachem, trwali jednak w miejscu, dopóki Macron nie obwieścił im rozkazu udania się do Rzymu; było to znakiem, że wkrótce nadejdzie list oskarżający; na chwilę się nie łudzili nadzieją, z dawna oswojeni z charakterem pana.

Przed odjazdem jeszcze wahali się, czy sobie śmierci nie zadać, nie czekając ręki kata i gemonij. Samobójstwo w tych czasach tak się było upowszechniło i zagęściło, że mało kto inaczej jak z własnej

lub niewolnika ręki umierał... to jedno jeszcze umieli Rzymianie, w chwili śmierci odzyskując Katońskie mężstwo i powagę.

Że jednak nie będąc jeszcze oskarżeni, Vescularis i Marinus, mogli o kilka chwil przedłużyć życie, wstrzymali się ze zgonem. W ślad za nimi przyszedł do Rzymu list oskarżający; obojętnie na to patrzano, gdyż oba byli narzędziami Tyberyuszowymi, jeden przeciwko Libonowi, drugi przeciw Atticusa i słusznie się im należało ginąć, jak drugich gubili.

Od dnia do dnia odkładając jeszcze, nie pewni czy się przebić, otruć, krew upuścić, czy niewolnikowi sztylet dać w ręce i rozkazać w pierś ugodzić — doczekali się śmierci haniebnój. — Nikt po nich nie okazał żalu.

Macron tryumfował, usunąwszy z drogi swój najstarszych, najzaufańszych ulubieńców, zostając sam bez współzawodnika, co dzień silniejszy, pewniejszy siebie.

Drżało już przed nim wszystko.

Wśród tych krwawych scen, delacyj, samobójstw i katowań, z podziwieniem patrzano na naturalną śmierć osiemdziesiąt letniego starca Piscna, Prefekta Rzymu, człowieka surowej cnoty i charakteru wzniosłego, któremu senat wotował pogrzeb kosztem Rzeczypospolitéj.

Na dworze Tyberyusza, oprócz zniknięcia Ves-

cularisa i Marina, nic się nie zmieniło; Cajus tylko korzystając z zamknięcia się starca, swobodniejsz puszczając namiętnościom wodze, a do Macrona zbliżał się coraz więcej przez żonę, której już dał na piśmie obietnicę zaślubienia jej....

Niecierpliwy panowania, udawał przecie płochość i szukał łatwych rozrywek, by zabić czas włokący się leniwo; noce spędzał w miasteczku Caprei, część dni u nóg pięknej Ennii.

Macron tymczasem wysłał do Rzymu po Heliosa.

Wezwanie to napełniło strachem dom jego i z razu potrwożeni żydzi chcieli uciekać gdzieś ku Galilii, lub zabrać się w Ostii na okręt alexandryjski z domem całym, aby uniknąć niebezpieczeństwa, które Heliosowi groziło w Caprei; starzec jednak po namyśle postanowił być posłusznym....

— Dni moje policzone — rzekł — bez woli pana włos z głowy nic spadnie; dla czegożbym nie miał spróbować, czy chorego ciała a przezeń i chorą duszę tego człowieka uleczyć nie potrafię? Często Bóg maluczkich używa do wielkiego, aby w nich okazał potęgę swoją.

Ze spokojem zwykłym w duszy, Helios zabrał do niewielkiej skrzyneczki leki swoje, zwitkę Biblii, suknie odświętne i udał się wśród płaczu żony i córki, które go jak na śmierć przeprowadzały aż za bramy *Pomerium* — przez Campanią do Pu-

teolów, z kąd łódź czekająca nań przewiozła go do Caprei.

Ze strachem każdy dotykał stopą tego kątką ziemi, który naówczas światu panował, i Helios, acz na wszystko gotów, uczuł chłód w sercu, znajdując się w ręku najsilniejszego władzcy, co życie ludzkie miał sobie za igraszkę, a krwią szafował bez litości.

Modląc się, wysiadł na brzeg starzec i pieszo przeprowadzony został do dworku Macrona, gdy na ścieżynce doń wiodącej, za niewolnikiem idąc, spotkał błędzącego ze swym smutkiem i walką w łonie biednego Hypathosa...

Jedno spójrzenie nań tak przypomniało mu Wschód i rysy własnego dziecięcia, że się zastanowił, mimowolnie wymawiając imię syna, jak gdyby ujrzał go powstającego z grobu.

Hypathos także, postrzegłszy nieznanego starca, zmierzył go okiem ciekawym, ale niewolnik nie dał się wstrzymać lekarzowi, którego poprowadził i przypisując piękności chłopaka zdumienie Heliosa, przynaglił go pośpieszyć do domu Macrona.

Oba jednak, z wejrzenia na siebie, domyślili się wspólnego pochodzenia.

Długo w pustym atrium czekać musiał starzec zamysłony, nim wódz pretoryanów powrócił z czatów, które u drzwi Tyberyusza odprawiał, nie mogąc się doczekać, by go przyjęto i wpuszczono.

Postrzegłszy żyda, wchodzący Macron rozweselił się trochę.

— Mówią o tobie i sam tego doznałem — rzekł pozdrawiając go zaledwie — żeś biegły w sztuce Eskulapa? — I wpatrywał się bacznie w spokojne oblicze Heliosa.

— Cezar, pan nasz, cierpi i boleje, nie mu i nikt pomódz nie może; masz-li odwagę widzieć go i radzić?

— Spełnię twój rozkaz — rzekł Helios.

— Chariclésa wprowadzie wyśmiewa Cezar, nie wierzy w lekarzy, ma ich za oszustów i trucizników, ale go teraz boleść złamała, tamten już mu nadto zubożył, tyś nowy i świeżym okiem łatwiej postrzeżesz co czynić można. Kto wie, może sobie zjednasz zaufanie jego? Bądź więc na zawołanie, gdy rozkażę....

Po krótkiej téj rozmowie, odprowadzony do miasteczka Caprei, gdzie mu puste domostwo wyznaczono na mieszkanie i do posług czarnego niewolnika, Helios usiadł spokojny oczekując co losy zdarzą. Posiliwszy się kilką figami, trochę owoców i wina, rozwinął zaraz księgę swoją i zatopił się w czytaniu.

Znać śledzić go musiał Ruben, gdyż po chwilce zapukano do drzwi i piękny chłopak wszedł na próg, drżącemi usty po grecku pozdrawiając przybyłca....

Byli sam na sam, gdyż niewolnik, wysłany po wodę i sprzęty, odszedł na chwilę.

— Nie jesteś Grekiem? — spytał niespokojnie Ruben.

— Nie — odparł Helios — ród mój pochodzi z Judei, a ty? ...

— Jam Ruben, syn Dawida — zapłakał rzucając mu się do nóg dzieciak.

Podobieństwo do utraconego syna, którego tak kochał, niespodziane znalezienie jednego ze swoich, przeraziło i rozradowało Heliosa.

— Niech Bogu naszemu będzie chwała! — zakrzyknął podnosząc ręce do góry. — Dziecię moje, co cię tu przywiodło?

Ruben twarz zakrył rękami i płakał długo nim mógł słowo przemówić i opowiedzieć, jakimi losy przeprowadzeni zostali on i brat jego na tę wyspę, jak jego pochwycono i jak nikczemnie upadł, stając się pieszczołkiem Cezara, ulubieńcem poganina.

Z surową twarzą słuchał go Helios i dwie łzy popłynęły mu spalonemi policzki.

— Gdzież nas nie ma! — zawołał — gdzie nie cierpim, gdzie się nie walamy! Na cóż przyszło plemię wybrane od Boga, które było naczyniem prawdy, któremu obiecany ten co podbije świat i poganom będzie panował!

— A ! wyzwól nas ! wyzwól ! — z zapalem do ucałowania ręki jego się cisnąc zaczął błagać Hypathos — wyrwij nas z tego więzienia. . . .

— Wiemże ja czy sam cało wyjdę z niego ? — odpowiedział starzec smutnie — czy kości moje nie pobieleją na tej wyspie dalekiej ? . . . Bóg silniejszy nademnie, on mnie i was ocalić może . . . módlcie się do Boga Abrahama. . . .

— A ! ja zmuszony składam ofiary innym bogom, bogom Cezara — przerwał Hypathos — jam już naszemu stał się niewiernym i niegodzienem, chyba pomsty jego !

Długo może byliby tak tęskno rozmawiali z sobą, gdyby poseł od Macrona nie zawiadomił Heliosa, że go Tyberyusz kazał przypuścić do siebie.

Odziawszy się więc w suknię grecką, obmywszy z pyłu, starzec wszedł, nie bez bojaźni wielkiej w sercu, do willi Jowiszowej. Na progu już, kilką słowy ostrzegł go Hypathos, jak się miał znajdować w obliczu Cezara.

— Nie okazuj nigdy, żeś odgadł myśl lub słabość jego, udawaj nierozum, nie objawiaj strachu... słów nie szczędź i do zbytku nie oglądaj się na nie; niewierzącemu w lekarzy, sam opowiadaj o niepewności swój sztuki . . . i niech cię Bóg Izraela, jedyny Bóg nasz, potęgą swoją osłoni !

Helios na te troskliwe przestrogi uśmiechnął się smutnie.

— Zaprawdę — rzekł — będę czém jestem... a spotka mnie co Bóg przeznaczy!

Na drodze, o kilkadziesiąt kroków od miasteczka, spotkali się z Chariclesem, lekarzem greckim, wyzwoleniec Cezara, który dowiedziawszy się od Macrona o przyjeździe żyda, śpieszył go widzieć i poznać. Charicles imieniem tylko był lekarzem Tyberyusza, stary bowiem, nawykły żartować z niego, niedowierzający mu, nie z ręki jego przyjąć nie chciał, czasem tylko sadzał do biesiady, aby strachem się jego nabawić. Zręczny Grek, nie mogąc lekarzem, stał się histrionem i rozrywał starca trafniemi żartami, lub kadził niesłychanemi pochlebstwy.

Był to jeden z tych typowych Greczynków (*graeculi*), których naówczas mnóstwo uwijało się po Rzymie, dworak, pochlebca, pasożyt, mim w potrzebie, człeczek, coby, jak mówi poeta, do nieba polazł za obiadem, a datek największą się nie wahał okupić podłością. Obok tego, Charicles tak był dumny ze swego pochodzenia i mądrości, że Rzymian w duszy miał za barbarzyńców, i choć siłę ich i potęgę się kłaniał, między swojemi przedrwiwał z nich, udawał, że się ich języka nauczyć nie może, o stolicy mówił z lekkim przekąsem o pozornej cywilizacyi ruszając ramionami. Zarozumiały a zepsuty, płaszczył się potem nie tylko Macronowi, którego szerokie plecy szanował, ale ostatniemu wyzwolencowi, co mógł go zastraszyć lub zapłacić.

Na to były zeszły charaktery w tej niegdyś bohaterzkiej Grecyi, a przynajmniej takimi one okazywały się w Rzymie, wpośród wychodźców, których tu było pełno, najrozmaiciój zarabiających na chleb powszedni.

Charicles przymilający się, układny, potakujący a razem szyderski, jedną stroną twarzy unizał się, drugą wyśmiewał; największy zapal i uwielbienie przychodziły mu i odstępowwały go na rozkazy.

Przyznać mu to jednak potrzeba, że nawet w największém uniesieniu kropla zawsze ironii jakiejś być musiała. Miał on swój naród i siebie za jedy-nych wybranych, Rzymian za śmiesznych barbarzyńców, ich język za ledwie godzien wyrażać polspolite życia potrzeby, resztą świata za półzwierzęcy motłoch, ale nie sądził by powagą i siłą duszy dowodzić mu było potrzeba dostojności swego rodu.

Płaszczyl się i sam z siebie żartował, jakby to w obec Rzymian i barbarzyńców żadnego znaczenia mieć nie mogło, za niższe istoty ich uważając, którym czém był w istocie, nie potrzebował się okazywać.

Łysy, mały, a zręczny i zwinny, Charicles miał czarne bystre oczy, twarz ruchawą, usta trochę szerokie, a marszczki tej satyrycznej maski z wielkiem tylko wysileniem mogły przybrać wyraz powagi.

Surowa i piękna postać starego Heliosa zastanowiła chwilę Greka; starał się zwyczajem swoim zbadać go wprzód, nim doń przystąpił. Przykrego doznał uczucia, nie mogąc go sobie wytłómaczyć tak łatwo, jak był zwykł Rzymian poznawać.

Cóż tajemniczego, nie pochwyczonego znalazł w tym długobrodym starcu, którego powaga i prostota nie dawała się łatwo wyszydzić. Charicles poczuł bardziej niż zrozumiał w nim jakąś wyższość, której źródła do badać się nie mógł.

Pozdrowili się wzajem milczący.

— Oba podobno jednej sztuki jesteśmy uczniami — rzekł Grek usiłując się przypochlebić — jam Charicles, stary sługa Cezara. . . .

— Ja Helios Alexandryczyk — odparł żyd z poważnym głowy skłonieniem — ale się lekarzem nie nienię. . . . Trochę mnie nauczyli starsi, trochę sam douczył, wiek także dał mi znajomość natury ludzkiej. . . . ale nie umiem wiele.

— Najwięcej umie, kto się sam nieukiem powiada! — podchwycił Charicles — cała to mądrość w sobie niewierzyć. . . . Ze słów twych poznaję ucznia Sokratesowego.

— Wcale na to imię nie zasługuje — odparł Helios.

— Nam o tobie sądzić — szybko dorzucił Greczyn. — Godne też ciebie masz tu zadanie, wezwany do Cezara, by drogie światu zdrowie jego po-

krzepić; godne ciebie, bo zaprawdę ciężkie... Wiesz zapewne, że Tyberyusz lekarzy nie słucha i śmieje się z całej nauki naszej.

— Ja sobie żadnej nie przyznaję. . . .

— Pozwólcie żebym wam jako dobry przyjaciel z góry oznajmił, że nie wiele tu jest do zrobienia... Ciało zniszczone, dusza je wielka stargała... starość złamała do reszty. Przytém—dodał ciszej i poufnie—więcej ludzi zgubiła niepowściągliwość, niż głód.

Żyd milczał; ta wstrzeźliwość jego dla wielomównego Greka była niecierpliwą i niezrozumiałą; pojmował, że mógł mu prawdy nie mówić, ale wymagał słów choćby próżnych.

— Tajemniczy jak wyrocznia! — rzekł w duchu— Nie ma niebezpieczeństwa! z tą powagą i niezręcznością nie daleko zajdzic u Cezara!

Gdy się już zbliżyli do willi, przy której Macron z kilką wyzwolencami stali oczekując na starca, Charicles opuścił przybyłego, zapewniając go o najgorętszej przyjaźni, zrodzonej nagle, za pierwszym wejrzeniem, a już tak niepokonanej, że jój był gotów życiem dowodzić. Żyd przyjął to milczeniem obojętném, bo życie nauczyło go w tak żywe oświadczenia nie wierzyć, wziął więc zaklęcia za to, co były warte.

Na willi wszystko było w głębokiej pogrążone ciszy, ludzie obawiali się przemówić głośniej, niewolnicy i słudzy przesuwali się jak cienie milczące.

Cezar spoczywał zamknięty.

O nowo przybyłym już był zawiadomiony i na usilne nalegania Macrona, choć z szyderskim uśmiechem, dopuścić go do siebie pozwolił.

Małeńka izdebka, w której spoczywał po łaźni na purpurowych wężgłowiach, nie wiele oświecona wdzierającem się przez zasłonę drzwi światelkiem, otworzyła się przed Heliose, który paść musiał na kolana pana ujrzawszy.

Tyberyusz podniósł głowę, zwrócił nań oczy i popatrzywszy długo, skinął by powstał.

— Kto jesteś? — zapytał.

— Ubogi człowiek, z dalekiego kraju i najmniejszy ze sług twoich.

— Mienisz się zapewne astrologiem i wieszczbiarzem?

— Nigdy nie umiał przyszłości zgadywać; dar to Boży, a mnie on nie był dany.

— Jakże możesz leczyć, jeśli nic zgadnąć nie umiesz?

— Mam leki jakich mnie nauczyło życie, a poznaję chorobę po zewnętrznych jej cechach.

— I widzisz ile cierpię? — zagadnął Cezar.

Helios zamilkł.

— Zaprawdę cierpię! — zawołał Tyberyusz — ale żaden z was mnie nie uleczy!

— Człowiek sam tylko może być sobie lekarzem — rzekł żyd.

— Dobrześ powiedział, lecz po co przyszedłeś?

— Kazano mi.

W czasie téj krótkiej rozmowy Tyberyusz leżał na łożu, przy którym Helios dostrzegł porozrzucane zwitki pargaminowe i tabliczki woskowane. Były to owe poemata Euforiona, Rhiana, Partheniosa, greckich poetów, które Tyberyusz wysoko cenił i naśladował, starając się im sprostać. . . . Stylet na stoliku świadczył, że Cezar nie dawno jeszcze pisać musiał, lub dzieła ukończone poprawiać.

Uczeń Corvina Messali 1), którego młodzieńcem słuchał już starca, później na Rhodos pilny greckich retorów i rozprawiaczy towarzyszył, Tyberyusz, wśród nudów choroby i starości, bawił się to czytaniem, to pismami do senatu, układając je, obmyślając słowo ich każde z troskliwością pisarza, który pracuje dla nieśmiertelności. Styl jego wyszukany, nadęty, dziwaczny, nie zawsze nawet był zrozumiałym. Lubił grecką mowę, ale pokątnie jój tylko używał, w senacie słowa greckiego się strzegąc, aby nie pokazać czém był w istocie — wielbicielem greczyzny i zepsutym retorem. Zmuszony raz użyć wyrazu monopolium, uniewinniał się z tego dowodzeniem, że nie podobno go było niczém łacińskiem zastąpić.

Czasem, w publicznych wystąpieniach, nie do-

1) Swetoniusz.

puszczał do siebie słowa nawet rzec po grecku, aby swęj słabości nie zdradzić, choć sercem był więcęj Grekiem niżeli Rzymianinem.

I w tęg chwili, gdy Heliosa przyprowadzono, musiał cóś pisać, gdyż pugilares puścił z ręki, a stylet rzucony na stół pochwycił machinalnie i bawił się nim, poglądając na żyda, dziwując się może w duszy, że go mniej widział przestraszonym, niż przywykł był piérwszy raz do siebie przystępujących znajdować.

— Pochodzisz z Judei? — rzekł po chwili spodziewając się kłamstwa może.

— Tak jest, Cezarze, Hebrejczyk jestem.

— I trzymasz się swojęj wiary? — z uśmiechem dodał Cezar.

— W nięj się urodziłem.

— Cóż ona naucza? — spytał po krótkiém milczeniu.

— Czci jednego wielkiego Boga! — odparł Alexandryczyk.

— Jednego! — zaśmiał się Cezar — a jakże jeden wystarczyłby na cały świat i ziemię...

— Jak ty, Cezarze, na świat cały panujesz i wystarczasz!

To zręczne pochlebstwo prawie mimowolnie przyszło na usta starcowi; Tyberyusz się uśmiechnął.

— Mówią — dodał pisząc sós stylem po cytrusowym stoliku, stojącym przed nim, że Judea ocze-

kuje przyjscia wielkiego jakiegoś władzcy; że są przepowiednie u was, które zwiastują narodzenie mocarza... co świat podbije. Prawda-li to?

— W księgach naszych — rzekł Hebrejczyk — jest o tém podanie, ale to nie władzca wedle ciała i miecza — dodał — tylko wedle ducha. Nie będzie on panował legiami wielkimi i potęgą ziemską, lecz słowem i prawdą.

— Czcze wyrazy! — rozśmiał się Tyberyusz — jak może władać ten co nie ma siły jeno w uściech? Spójrzyjże na co zeszła siła i moc w ustach Greków, najmędrszego w świecie narodu?

Żyd zamilkł na chwilę...

— Cezarze — rzekł — z jednej bryły marmuru niewprawna dłoń rozbite tylko kawały, a ręka rzeźbiarza wywiedzie posąg na podziw cudnego kształtu. Słowo jest narzędziem, a duch, co w niém tkwi zamknięty, duszą jego...

— Jestże słowo, któreby wypowiedzianém nie było, którego by od Saturnowych czasów usta nie wymówiły czyje? — zawołał Tyberyusz.

Żyd zamilkł; wtém starzec jęknął nagle, bolem jakimś schwycony i spójrzał srogo.

— Cóż mi radzisz? — rzekł zwracając do pierwszój rozmowy.

— Co cierpisz? — spytał żyd.

— Zgadnij!

— Nie wiem.

— A jakimże jesteś lekarzem?

Po chwili namysłu, krwawą powiódł źrenicą i dodał:

— Cierpię okrutnie... ale nie wiem gdzie choro-
roba moja.

— Jeden spokój duszy może boleści wszelkię
być lekarstwem.

— Jak go otrzymać? Ciało nią włada, a ja prze-
ciw niemu mocen nie jestem... ulecz ciało i daj mi
siłę, ujmę duszę....

— Nic ci nie poradzę, panie, prócz spoczynku,
snu i wstrzemięźliwości; to są najsilniejsze w świe-
cie leki.... Innych nie przyjmuj, Cezarze....

Na tę przestrogę pobladł Tyberyusz; przywykłe-
mu do delacyi wydały się jakąś groźbą — spójrzył..

— Charicles inaczej mówi — dodał z uśmiechem...
tyś uczeiwszy od niego... idź precz!?

Żyd przypadł na kolana i odszedł powoli, a nie-
my niewolnik, stojący u progu zewnątrz izby, spój-
rzył z za zasłony i na skinienie znane sobie Cezara,
pobiegł po Thrasylla.

Od dawna już nie wzywany, zdumiał się nieco
gdy go powołano, ale posłuszny pośpieszył.

Caprejczyk (tak zwano Cezara ze wzgardą) sie-
dział jeszcze zamysłony, gdy wszedł astrolog jego.

— Mów, co dzisiaj widzisz w przyszłości? —
spytał go nagle — sny miałem niepokojące, zdało mi
się, żem leciał na orle Jowiszowym ku Wschodowi,

ku Judei... dla czego? po co? nie wiem.... Ale umysł mój nieustannie się zwraca... ku tej ziemi i prorocत्वu, które mówi, że tam się los świata rozstrzyga.... Co sądzisz o tém?

— A gdybym i ja toż czuł co ty, Cezarze? — zapytał Thrasyllus.

— Znasz przecie wieszczby? Cóż ci twój demon powiada? — prawda-li to?

— Czuję wielką godzinę, która dla świata wybiją... ale oczy mam jakby powleczone zasłoną i nie widzę w ciemnościach, które mnie ogarniają.

— Tycze się-li to mnie? grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Nie tobie....

— Jest-li w mej mocy uniknąć tego co zagraża?

— Nie! — rzekł po namyśle Thrasyllus — *Ananke!* *Fatum* to niezłagane! my nie przeciwko niemu nie możemy!

— Ani ja?

— Ani ty nawet, Cezarze!

— I nad Jowiszem panuje *Fatum!* — zawołał Tyberyusz zginając głowę. — Lecz jest-li Jowisz? — spytał po chwili.... Euhemeros widział w Krecie kamień z napisem grobowym Zan'a, Diagoras przeczy istnieniu bogów, Protagoras w nich nie wierzył... lud tylko ciemny kłania się jeszcze ich posągom — my..

— A *Fatum* nie jestże bogiem? — spytał Thrasyllus. .

— Czyż człowiek uniknąć go nie może?

— Nie! nie! — odparł filozof... ale może je zwyciężyć, mężnie przenosząc.

— Więc ów wąż! ów wąż!! — przerwał starzec niespokojny — tak! próżno Rzym mnie wyzywa, nie pojedę tam więcéj!

Greki przypomniał sobie w téj chwili przepowiednię węża... która na myśl przyszła Cezarowi. Tyberyusz miał ugłaskanego ulubieńca, z którym się rad bawił... znaleziono go zjedzonym przez mrówki, ztąd tłómaczenie i wieszczba, że Cezar tak przez lud drobny pożartym być może i obawa powrotu do Rzymu 1). Po śmierci Sejana kilkakroć zabierał się do stolicy starzec i strach ten go wstrzymywał, a bojaźń ludu wywołała znęcanie się nad nim i niesłychane krwi przelewy.

— Są więc żelazne okowy losu, których nawet władza Cezara nie przełamie!... nie jestem więc wszechmocnym! — zawołał w duchu — a! mizerne życie! licha władza! wolniejszym jest, kto o tém nie wie i swobodnym się mniema... szczęśliwsze zwierze!!...

I wróżbita od progu, ruchem dłoni drżącój, nie mówiąc słowa, odprowadził.

1) Swetoniusz.

XVIII.

Tegoż wieczora w domku Judy wiadano już o przybyciu na wyspę Heliosa; Hypathos zaniósł im tę wieść, dającą nadzieję wybawienia, a Juda uradowany chciał zaraz biedz do starca, ale się powstrzymał obawą, aby ten pośpiech nie wydał niepokoju wygnańców.

Odwiedziny swe odłożył nieco. Helios miał zabawić w Caprei, a dowiedziawszy się już od Rubena o współwyznawcach, gorąco pragnął przyczynić się do wyzwolenia ich i ułatwienia im powrotu do Rzymu.

Z Judą i żoną jego rzecz była daleko łatwiejsza, mogli się bowiem zabrać na statek jaki, na co by im u Macrona pozwolenie wyrobić się dało—ale jak Hypathosa wyswobodzić? Jedna chyba śmierć Tyberyusza mogła go od haniebnej przy nim służby uwolnić...

Téj, nie jedni żydzi ale wszyscy zdawali się wyglądać z niecierpliwością największą.

Po wyjściu Heliosa z willi, Macron zaraz go kazał przywołać do siebie; był już tam i Charicles i Cajus niecierpliwi oczekując na żyda, a nie śmiejąc przed sobą wydać się z tém, czego odeń dowiedzieć pragnęli.

Helios ukazał się w progu, stanął pokorny i milczący. Grek piérwszy przybliżył się ku niemu.

— A cóż? widziałeś Cezara? co nam powiesz o zdrowiu jego?

— Cierpi— rzekł żyd— lecz jestli to choroba czy niemoc wieku, najstraszniejsza ze wszystkich, bo nieuleczona, nie wiem.

— Jak myślicie?— odezwał się Macron z uśmiechem— balsam jaki możeby mu siły przywrócił?

— Nie!— odparł Helios— nie potrzeba mu lekarstw żadnych, spokoju, odpoczynku tylko, pokarmów zdrowych, snu, pokrzepienia... Człowiek nie samém tylko żyje ciałem; podsycić trzeba wewnętrzne ognisko aby lampa nie zgasła.

— Macież na to środki?— spytał uczeń Hipokratesa.

— Żadnych w lekarstwach... życie jego we własnej mocy.

— Mówcie otwarcie— dodał niespokojnie Macron— czego potrzeba by żył?

— Spokoju, i jeszcze raz spokoju! odpoczynku; dużo przecierpiał i odbolał, siły wyniszczone, czas wytchnąć...

Cajus i Macron spojrzeli po sobie znacząco, Charicles ruszywszy ramionami odstał od żyda z wyrazem jakiegoś szyderstwa.

— Znać— rzekł— żeście się z waszych ksiąg uczyli medycyny a nie z tych które my znamy, bo prawicie o lekarstwie niesłychaném, w które my nie wierzym... Łada ziarnko helleboru silniejsze jest od waszego leku!

— Daję co mam— odezwał się Helios pokornie i spokojnie— zresztą mało widziałem chorego, nie znam ciała, które mi leczyć każecie, a człowiek człowiekowi nie jest podobnym i co jednego żywi drugiego umarza.

— Ten dziwak— zaśmiał się Charicles usuwając od niego,— prawi nam tu sny jakieś za naukę podaje... zaprawdę niesłychane rzeczy... Niezrozumiemy się z nim nigdy!

I pogardliwie ramionami ruszył.

— Mędrcy, możecie się iść spierać na wolném powietrzu— rzekł Macron— *sub Jove*, idźcie, a nie żałujcie argumentów! dla nas one niezrozumiałe...

Charicles wnet skorzystał z pozwolenia i wrócił szybko do żyda, którego pochwyciwszy pod rękę, rad że mu go na pastwę dano, wysunął się z atrium na podwórze.

Cajus z wodzem pretoryanów zostali sam na sam, a pierwszy odezwał się zaraz:

—Cezar potrzebuje spokoju by żył— powiedział starzec— ale możeż być spokojnym ?

Macron uśmiechnął się dwuznacznie.

—Charicles—rzekł— długich mu dni nie wróży... resztę Bogowie sami wiedzą... Rzym znudzony, wszystko znękanie i przełękłe, on sam zgnieciony życiem... nie długo potrzebujemy cierpliwości.

—Zrobię cię uczestnikiem w Konsulacie i Trybunacie, dam ci władzę jakiej zapragniesz, wyniosę wyżej niż... — tu mu słowa zabrakło — ale ty mnie nie opuścisz Macronie... Milczenie! na Bogi! Ściany wydać gotowe! Jakiej zechcesz prowincyi, jakiego zapragniesz królestwa... Wschód, Iberyę... Egipt... Gallię... Grecyę... masz do wyboru... lub wreszcie Legiję twe i Rzym... ale mi bądź przyjacielem szczerym... Macronie.

I niespokojnie dłoń mu podał.

—Milczmy, Panie! — szepnął pretoryanin — ja nie nie pragnę... zobaczemy! wiem, że nie zapomnisz służi...

—Niechby Bogowie o mnie zapomnieli, gdybym o tobie miał zabić! — żywo przerwał Caligula— Ten żyd— szepnął po cichu— i ten żyd przydać ci się może! Rozumiesz... ale cicho! Blisko od Capitolu do Gemonij...: ręka twoja, Macronie! ty mnie rozumiesz...

Pospiesznie tak, urywanemi słowy, oglądając się mówił Cajus, a twarz jego, zwykle pokryta

wyrazem niewolniczym, rozżarzała się i mieniła. Macron milczał, nareszcie oba usunęli się powoli w głąb domostwa...

Charicles odprowadzał starca, aż do Caprei a po drodze filozofowali po grecku. Wprędce jednak postrzegł mądry lekarz, że stary Judejczyk nie samą filozofiją i nauką helleńską był tuczony, łatwo mu było dobadać się w nim żywiołu obcego, który zmarłej w sofizmatach, martwej litery greckiej mądrości nie cgrzewał.

Greki, który w swoją tylko wierzył mądrość, uczuł jakąś wzdękę dla barbarzyńcy, co na równi z filozofiją jego kładł marzenia nieuznane, wątpliwego pochodzenia — nie mogąc go przekonać i upokorzyć, ustąpił z szyderstwem i wzdęką.

— Ci ludzie — rzekł odchodząc — chorują jeszcze na te zęby mleczne, które my już do dziąseł zjedliśmy, wierzą prorokom, odnoszą wszystko do Bogów... Myśmy już wyżej tych babskich bajek i przywidzeń!

A jednak Grek po raz pierwszy od dawna uczuł się niespokojnym i nie rad z siebie.

Helios wrócił modlić się do pustego domku na górze w miasteczku i długo siedział na tarasie swoim, wieczorem patrząc ztąd na szerokie morze, na dziwną piękność obraz otaczający go w którym czuł się jakby bliżej swojego Boga, tysiącem głosów przemawiającego do jego duszy.

Wieczór wyziewami dnia parnego powoli osłaniał najbliższe nawet lądy, pół przezroczystą szatą, wyspa zdawała się pływać w eterach zawieszona, osamotniona i smutna.

— Wielki Bóg — rzekł żyd zwijając księgę modlitw — ręka jego opatrzna. . . człowiek słaby i mały! Oto cała wielkość świata i Rzymu potęga, skupione na jednej głowie, w jednej dłoni, powierzone jednej woli, a z piersi władzcy dobywa się jęk, a dłoń potnieje od bólu, głowa drży... siły opuszczają... głosu proroków słucha i lęka się...

Od chaty ubogiej do pałaców, wszędzie niepokój jakiegoś oczekiwania, wszędzie słuch nateżony, zewsząd oczy na Wschód wlepione... Messyasz idzie! Messyasz przyszedł! poganie nawet go czują... Niewidzialny jest przytomnym, niesłyszemy o nim a wiemy... godzina wyzwolenia ludzi zbliża się powoli.

To mówiąc, jał przypominać słowa pisma i łzami zaplakał radosnemi, rozmyślając jak wyraźnie mówiły o Obiecanym, który, nawet wedle rachub kabały żydowskiej, musiał się zjawić w tej chwili..

Już Capreã usypiać poczyniała i w domu tylko Cytherissy brzmiały flety i lutnie, pozdrawiające przybycie Cajusa, przychodzącego bawić się skoczками i śpiewem Greczynek, gdy Helios powoli zszedł na dół i układał się na spoczynek.

Niewolnik jego czarny już był drzwi zaryglował, gdy stukanie do nich słyszeć się dało i nieznany głos począł wpuszczenia domagać.

Lampa nocna gorzała jeszcze na kandelabrze, wpuszczono więc dobijającego się przychodnia.

Był to biedny rybak z wybrzeżów, który dniem pokazywać się nie śmiał, ten sam, któremu twarz ostrą łuską barweny i twardą raka skorupą kazał podrzeć Tyberyusz, a potem ze skał go zrzucić.

Nieszczęśliwy winien był ocalenie swoje nadzwyczajnemu od dzieciństwa przywyknieniu do drapania się po skałach. Silną ręką niewolników ciśnięty, leciał już powietrzem ku morzu, gdy rozpacz, mimo krwią ociekłej twarzy i zasłonięgo wzroku, otwarła mu ręce, a los dał pochwycić nad przepaścią zwieszoną gałąź drzewka, które wyrosło między skał szczeliną.

Już ciężar rzuconego silnie ciała miał wyrwać wiotką łodygę, chwiała się już ta zbawcza w ręku jego gałązka, gdy noga dotknęła ostrego brzeżka skały i oparła się oń, a druga dłoń spotkała dziką latorośl bluszczu starego, i porwawszy ją, wstrzymała na chwilę upadek...

Rybak, przez krew zalewającą mu źrenice, ujrzał pod nogami o kilkaset stóp niebieskie morze, ale już stał na skałe, choć prawie prostopadłej, uczepiony silnie, bezpieczny, i, mimo bólu a ran, nie wątpił, że mu się uda zniżyć na dół...

Szczęściem, występ skał zasłaniał go przed oczyma niewolników, którzy, z góry patrząc, go szukali i byliby nań rzucili kamienie, lub, wedle obyczaju, wskazali czatującym na dole, którzy ofiary Tyberyuszowych okrucieństw wiosłami dobijać rozkaz mieli.

Zakryty, miał czas krok za krokiem, rękami się przytrzymując, pełznąć po pionowych skałach w dół, do zielonego trawniczka, na którego wązkiej ławie nad przepaścią mógł położyć się, by nieco odpocząć. Tyle tam ledwie było miejsca, ile go trzeba na skurczone ciało człowieka, trawa była śliska, ale rybak, przywykły do swych wyżyn, z rozkoszą się wyciągnął na tém posłaniu, dla kóz nawet niedostępném.

Potrzebował bowiem ciężko poranioną twarz otrzęć i rany swe, choćby resztką rosy w cieniu pozostałej ochłodzić, choćby zimném kamienia i trawy dotknięciem.

Twarcz jego była jedną maską krwi i kawałów żywego podartego mięsa... boleść okrutna wyciskała mu jęki, które połykać musiał, bo i krzyk mógł być go zdradzić.

Trochę gliny wilgotnej, wydartej z pod traw, uśmierzyło na chwilę ból dolegliwy i żar rany; sił dodała potrzeba i tak powoli zszedł rybak aż na dół do groty, w której trzymał małą łódź swoją i siecie.

Samotny ten człowiek znany był od dawna Hypathosowi; chadzał on do niego w dniach znudzenia, przypatrując się zręczności z jaką łowił ryby i zgadywał, gdzie ma zarzucić wędzienie.

Zwano go Ulpem i wiedziano o nim na wyspie, że się do ludzi nie garnął, a samotność nad wszystko przenosił.

Ojciec jego i dziad żyli w tój gromadzie, tak samo jak on odosobnieni od świata i dzieci, znając tylko skały i morze, zatokę Cumańską, przylądek Minnerwy i żeglując w tój cieśninie, która oddziela wyspę od lądu... między willą Jovisza a świątynią Herkulesa i Pallady.

Ulp miał po ojcu dziedziczną w dole naprzeciw przylądka jaskinię, którą powoli dziad i dawniejsi ludzie wyłobili sobie na mieszkanie i dla tego może, aby jak najmniej od drugich zależeć.

Mówiono, że Capreiskich niewiast nienawidząc, ojciec Ulpa dziecię sobie ledwie odkarmione i nie wiedziéć z kogo urodzone, przywiózł w pieluchach z Surrentum, potem wychował, na chwilę nie puszczać od swojego boku. Zwano ojca i syna dziećmi morza, a mimo ich ubóstwa szanowano, z powodu tajemnicy, jaką się okrywali, domysłając w nich siły ukrytą. Ulp nosił na targ ryby, konchy, korale liche i za nie w zamian otrzymywał co mu do życia było potrzeba. Gości u siebie przy-

mował wdzięcznie, ale większą część godzin spędzał na łodzi, u brzegu morza, milczący.

Była to dusza prosta, jeden z tych ludzi jakich Virgili opiewa w swoich sielankach, nieznający miasta, zbytku ani zepsucia, które się z nich legło, ale dziki jak naddunajski wieśniak... Hypathos miał upodobanie w jego rozmowie szczerzej, w nieświadomości dzikiej z jaką prawił o cudach morza, o głosach wód, o Syrenach i Nymfach, o rozmowach Bogów, które słyszał w szumie wiatru i fali.

W nieszczęśliwą godzinę, ten mieszkaniec groty, który dotąd nie znał innych Bogów nad swe Lary gliniane; i innych ludzi nad ubogich Caprean, dowiedział się o Jowiszu-Tyberze, zapragnął mu przynieść dań i tak krwawo ją opłacił.

Odtąd bolał leżąc i nie mogąc się z ran uleczyć, mrąc prawie z głodu, bo na życie zarobić nie miał siły. Hypathos nosił mu jadło z litości i żywił biednego, a gdy przybył Helios, dał mu o nim wiedzieć, namawiając by się poszedł poradzić lekarza... Z jego to naprawy przywłókł się nieszczęśliwy Ulp, z twarzą obwiniętą szmatami, wyłękły, i upadłszy do nóg o ratunek go prosił.

Zyd stary, któremu po cichu opowiadał swe dzieje, kazał szmaty rozwiązać i przełakł się straszliwą jedną raną pokrytego lica, niepodobnego już do ludzkiej twarzy.

Na opowiadanie o tém okrucieństwie serce się w nim wzdrygnęło.

— Winienem — rzekł rybak — po co mi było złota pożądać, z którym sam niewiem cobym uczynił? Ulecz mnie — dodał — a potem żądaj co chcesz, oddam ci wszystko co mam... Mam kilka sestercyj jeszcze... te twoje; mam posążki bogów... mam stare naczynie brązowe, mam i flaszkę szklaną... mam łódź i sieci...

— Ale mi nie twojego nie trzeba — przerwał Żyd — obowiązek mój pomódz biednemu i uzdrowię cię... A gdy przyjdiesz do zdrowia, nie patrz tylko w wodę na twarz twoją abyś się jój nie przeląkł...

W istocie, poczwarną była i zdartą jakby ją młyńskim gnieciono kamieniem.

— Co mi po pięknej twarzy! — zawołał rybak — byłem żył a nie męczył się... obiecuję ofiarę i ołtarz Eskulapowi...

Żyd dobył ze swój szkatułki drogiego balsamu, który był na rany najskuteczniejszy, obmył twarz wodą z okruszyn ziemi i ziół, które się w nią wpiły, namaścił, i rozdarłszy białe płótno, obwiązał niém rybaka, odprawując go obwiniętego, uspokojonego i wiekuistą przysięgającego mu wdzięczność.

Niewolnik, który mu drzwi otwierał, już był znów usnął na ziemi ze znużenia, bo we dnie najął się

był z osłem razem kamień młyński obracać w miasteczku za kilka denarów; żyd więc, nie bojąc się podsłuchania, mógł rozmówić z Ulpem, wpadłszy na myśl czyliby z jego pomocą swoich współwyznawców nie wyzwolił z Caprejskiego więzienia.

Hypathos wprzód jeszcze osnuł w ten sposób ucieczkę, ale jaskinia Ulpa znajdowała się wprost prawie pod willą Jowiszową i koło niej zwykle krążyły galcry Tyberyusza, które miały polecenie strzedz brzegów, ciała niewolników zrzucane z góry od lądu odganiać i wiosłami dobijać, aby skazani na śmierć nie ocalili życia. Trudno więc było w tém miejscu wypłynąć na morze niepostrzeżonym i uniknąć statków, które pilnćm okiem wyspę śledziły.

— Łódź twoja wielu ludzi może pomieścić? — zapytał go odchodzącego Helios.

— Mnie jednego i sieci moje... dwóch lub najwięcej trzech w potrzebie... ale zanurzy się do brzegów.

— Można nią z wyspy odpłynąć i do lądu się dostać?

Rybak poruszył głową.

— Wszak ci pływam ja nią do Surrentum; raz burza zapędziła mnie aż do Puteolów... ale łódź pełna była wody. Któż wie? gdyby morze było spokojne!

— Możeż-że odpłynąć gdy zechcesz?

— Czemu nie? ale biremy Cezara stoją na stra-

ży i nieraz sieci przetrzęśli czy nie przywożę gościa, lub nie zabieram człowieka.

Starzec zamyślił się i zwrócił rozmowę na obojętniejsze pytania o życiu i rodzinie rybaka.

— Jestem Caprejczyk—rzekł mu Ulp—od kilku pokoleń żyjemy w tój grocie nad morzem samém, tak, że gdy burza się zerwie od strony lądu, nieraz bałwany zaglądają do mojego schronienia i morze do stóp mi przyplywa. Ale ja z niém oswojony, szum ten lubię, kocham morze moje, a od następującej na mnie fali mam głębsze schronienie, w którém i od ludzi skryć się mogę, choćby w pierwszej jaskini plądrowali.

I dziad i ojciec i ja żyjemy tu sami, bez kobiet... W Surrentum często się trafia, że matki ubogie rzucają dzieci nad drogą niemowlętami 1), wówczas bierze je kto chce, jeśli zwierz nie pozre. Tak ojca mojego wziął dziad i jak własne dziecko wychował, tak mnie ojciec przyniósł nagiego i płaczącego z pod Herkulesowój świątyni, którą ztąd widać tam na morskim brzegu... I ja kiedyś może znajdę sobie dziecko podobne, ale jak je wychowam... gdy Bogi z oczyma chleba mnie

1) O zwyczaju tym rzucania dzieci pisze Swetoniusz: Caligula. 5. Claudyusz. 27. Tacyt w Germanii 19. Tertulian i inni. Zwało się to: Liberorum numerum finire!, Litościwsi lub spekulanci zbierali je i wychowywali.

pozbawią?... Żebrałbym nie potrafił... przyszłoby umrzeć z głodu!

Westchnął rybak, ale nieco pocieszony odszedł, czując, że mu balsam ujął już w twarzy bólesci.

Helios siedział znów zamyślony na łożu, modląc się do Boga i pytając siebie w duszy:

— Dozwolisz-że, Panie, aby ludy, któreś Ty stworzył, zginęły w tym zamęcie? nie znając Ciebie ni praw Twoich? by nic świętego nie było! ni stary rodzić synowi, ni niewinność dziecięcia ludziorom, ni łzy kobiety, ni wstyd dziewicy, ni życie człowieka? by węzły krwi zrywała rozpusta a chciwość niweczyła przywiązanie? Możli tak stać świat? możli nieczysta siła pogan zalać nawet ten kraj nasz, który znał jedynego Boga i prawo dane przezeń ludowi, aby je rozprzestrzenił po ziemi? Kiedyż, a! kiedyż przyjdzie ten, którego obiecywali prorocy i oczekiwali ludy?

A potem wspomniał znów Helios na wieści z Judei, które przebiegały po Rzymie, i serce jego rozradowało się pociechą wielką, przecuciem dziwném, że Zbawiciel świata przyjść już musiał a proroctwa były spełnione.

Zapragnął gorąco dostać się do Hieruzalem, aby ujrzeć Pana i stanąć w orszaku zwycięzcy.

Tymczasem, z tych błogich myśli zbudziła go wrzawa i krzyki, uląkł się pożaru i wybiegł wyjrzyć przez zasuniętą okiennicę i kratą zabite okno.

Na małym rynku, pod portykami, Cajus i Marcion, w orszaku zalotnic greckich, z nierządnicami Neapolu i Pompei, szli przeprowadzeni pochodniami, szalejąc, śpiewając, do drzwi spokojnych dobijając się domów. Krzyki:— Evoc! — i dzikie pieśni rozlegały się po mieście, a na dachach widać było przelękłych mieszkańców, poglądających w którą stronę rozpustny strumień popłynie...

Żyd spuścił oczy zawstydzony.

— Toż są panowie twojego świata, Boże?—zapytał w duchu.

XIX.

Gdy w Caprei, wciąż na świat zagniewany siedzi samotnie Tyberyusz, objawiając Senatowi blizkie swe przybycie a lękając się ruszyć z téj twierdzy obwarowanej morzem, w Rzymie z trudnością Senatowi myśli jego i wolę odgadnąć przychodzi; — strach milczący ogarnia wszystkich.

Niepokojący się wszystkiém, zdziwaczały starzec, lęka się przepowiedni przyszłości, męczy go myśl, że wieszczba jakaś i jemu czém zagrozić może. W wężu zjedzonym przez mrówki widzi siebie pożartego od *plebs* rzymskiej; obawia się, by potajemnie pytający wieszczków co złego o nim dowiedzieć się nie chcieli, i zakazuje się radzić ich skrycie; wyrocznie chce zamknąć, aby przeciwko niemu co nie rzekły 1). W ostatku lęka się już i nowych ksiąg Sybilińskich, które Senat, nie wiele

1) Swetoniusz. Tacyt. 62.

myśląc, przyjął na wniosek Caminiusa Galla, quindecemvira, w skutek zgodzenia się Quintiliana, Trybuna ludu. Tak mało bowiem wówczas zastanawiano się nad religijnymi rzeczami 1), że nowa księga Sybilli obojętnie w poczet uświęconych wciągniętą została bez rozpatrzenia. Tyberyusz surowo zgromił Caminiusa, zwłaszcza za to, że bez wiedzy collegium kapłanów i starszyny księgę przyjął. Kazano ją na nowo przeglądać, dla przekonania się o jej autentyczności.

Strach, który panował nad Rzymem, odbijał się w sercu Cezara, obawiającego się ludzi, Bogów, w których chwilami tylko wierzył, wyroczni, tłumu. Uczucie to w istocie jest piętnem epoki i bodźcem wszelkich czynności, a kto wie co za podłość i znikczemnienie bojaźń wyrodzić może, pojmie łatwo, czém ta chwila dziejowa być musiała.

Po chwili wytchnienia, rozpoczęły się znowu de-lacye i wyroki: padli ofiarą Geminius, Celsus i Pompejus. Pierwszy z nich, rozpustnik, był przy jacielem Sejana; Celsus trybun, oskarżony udusił się łańcuchem, do którego był przykuty 2). Proculus skazany w chwili gdy urodziny swe obchodził, umarł w rocznicę swoją; Sancyi, jego siostrze, ognia i wody wzbroniono; Pompeję Macrinę wygnano. Dzi-

1) Tacyt, VI. 12.

2) Tacyt,

ksze jeszcze było obejście się z Sex. Mariusem, którego córka miała nieszczęście wpaść w oko ohydnemu starcowi i oparła się jego chuci: oskarżono ją o występpek niegodny i z ojcem wraz umrzeć musiała. Wszystkie swe stare nienawiści tak mścił teraz Tyberyusz z kolei, z izby zamkniętej wydając wyroki, których krew nową i coraz większą krwi żądzę zdawała się obudzać.

Razem teraz wszyscy przyjaciele Sejana, dotąd wstrzymywani w więzieniu, padli ofiarą. — »Nie nie zrówna, pisze Tacyt, okropności tych ofiar nagromadzonych, wszelkiej płci, wieku, stanu, patrycyuszów, plebejów, rozproszonych, skupionych...

»Odpychano zbliżających się przyjaciół, krewnych, zakazywano łez, nawet wejrzeń zbyt ciekawych; strażę otaczały to pole rzezi, szpiegując boleść każdego, nie odstępując ciał zgniłych aż w chwili, gdy je do Tybru wciągniono. Tam płynących po wodzie, wyrzuconych na brzegi, nikt nie śmiał ani palić, ani nawet dotykać. Siła strachu nie dozwalała się objawić uczuciom człowieka i im barbarzyństwo było bardziej oburzające, tém mniej wzbudzało litości.«

Jak rzezi i mordy, tak wesela i radości wydawane rozkazy z willi Jowisza szły do Rzymu, wszechwładnie panując stolicy...

Dwie wnuczki Tyberyusza, Julię i Drusillę, kazano poślubić Cassiuszowi i Vinicyusowi, dwóm

wybrany przez pana ludziom niewielkiego urodzenia i znaczenia, dla tego może, aby mniej byli straszni.

Vinicyus, mówca i retor, człowiek łagodny, pochodził z prowincyi, ojciec jego i dziad byli to ludzie konsularni, rodzina rycerska. Cassius ze staréj plebejuszowskiej familii, łagodnego charakteru, surowiej nieco wychowany, nie tak umysłem jak obyczajów powolnością się odznaczał.

Wybrał ich wnuczkom starzec takich, jakich mu było potrzeba: — cichych, pokornych, posłusznych, władzy nie pragnących, bojaźliwych i skromnych.

Zawsze w strachu o następcę swojego i o ród cały, który do władzy mógł rękę wyciągnąć, stary powtarzał okrutne swe słowa, że najszczęśliwszy był Priam, który całą przeżył rodzinę.

Dziecię Germanika i Agrippiny, tak ukochanych ludowi rzymskiemu, Cajus, którego sam jakby na próbę ku sobie zbliżył, napełniał go także niepokojem. Śledził go i szpiegował, a nie odkryć nie mogąc, prócz okrucieństwa i chuci rozwiązyłych, zawczasu wróżył w nim Pythona dla ludu rzymskiego, może rad jak August, że Caligula, po nim wzbudzi żal pośmiertny.

Cajus był w istocie niedocieczony, zamknięty w sobie, a jedno, co charakter jego malowało, to pragnienie nienasycone szalonej zabawy, ubieganie

się za widokami krwawemi dniem i nocą i nielitościwe szyderstwo. Zresztą Tyberyusz nie dostrzegał w nim najmniejszej chęci pochwycenia władzy, a najpodlejsze uniżenie i naśladowanie obyczajów jego, posłuszeństwo ślepe, bojaźliwe milczenie, wzbudzały w nim szyderstwo i wzgardę.

Cezar kazał mu się być żenić z córką Marka Silana, Junią Claudią, i Cajus, nie odstępować swych obyczajów, pojął ją za żonę uległy... Nie zmienił przeto wcale nawyków, nie poprzestał wycieczek wieczornych i wszystkiego co go lekkim i płochym mogło okazać w obec Cezara, a zatem nie straszonym.... Jego tylko i wiernego Macrona, nie posądzając może wreszcie schorzały starzec, choć obu jednak śledził tajemnie. Wesela nawet krewnych nie sprowadziły go do Rzymu, a życie w Caprei szło zawsze jednostajnym trybem.

Czasem tylko znudzony Tyberyusz wzywał na rozmowy Thrasylla lub Heliosa i zasiadłszy z nimi na tarasie willi, obu wypytywał o przyszłość, żyda badał zręcznie o swoje zdrowie i życie, powrót do sił i leki, jakichby radził mu użyć. Żyd, czy z przekonania, czy z obawy podejrzeń, żadnych mu dawać nie chciał; ta ostrożność może ocaliła mu życie. Unikał zresztą Cajusa, wiedząc, że każdy krok ich był donoszony panu, a z samym Macronem widywać się starał tylko przy świadkach.

Nie na rękę to było wodzowi pretoryanów, któ-

ry Cajusa sobie zapewniwszy, marząc o przyszłej władzy i wpływie, niecierpliwie ich skosztować pragnął, a za narzędzie występku chciał użyć żyda. Obawiał się wszakże pierwszy myśl swoją mu objawić.

Helios, widząc niebezpieczeństwo, wypraszał się z powrotem do Rzymu, ale na nie pozwolenia nie mógł otrzymać.

Tak prawie dwa lata upłynęły nie przyniosłszy żadnej zmiany na wyspie. która panowała światu, dwa lata jak dwa wieki długie.

Tyberyusz tylko powrócił do obyczajów swoich, a Priscusowi znów trzeba było, szukając dlań nowości, jechać nad brzegi Campanii, do Neapolis, Pompei, Cumów, Baii, po chłopców i dziewcząt orszaki, które zmieniać i pomnażać musiał; przebrana ludność poblіższa, zmuszała go zapuszczać się w głąb kraju i czatować na przybywające z niewolnikami okręty.

Hypathos jeden pozostał najdłużej Cezarowi miłym; w smutnej swęj niewoli jedyną znajdował pociechę, tuląc się do starego Heliosa; przybycie jego na wyspę dało biednym wygnańcom jakiś promyk nadziei.

Z razu trudno im było schodzić się z nim i dłuższą przebyć chwilę; później grota wdzięcznego Ulpa posłużyła za schronienie bezpieczne i miejsce narady.

Wyleczony z okrutnych ran na twarzy, choć do człowieka nie podobny i odrażającego oblicza, ry-

bak przywiązał się sercem pocziwém do swojego zbawcy i do litościwego Hypathosa. Poganin, ale nie zepsuty, bo odsunięty od społeczeństwa zgniłego, od rozpusty i strachu, Ulp jeden miał tu serce ludzkie i uczucie, które przewyciężało bojaźń; życie dlań nie było wielkim darem, ani śmierć strachem wielkim. Nocą więc Rachel i Juda, znanemi sobie ścieżkami, z ukrycia przechodzili do groty na drugim wyspy końcu i tam w kryjówce Ulpa, oczekiwali na Heliosa i Hypathosa, którzy ich łatwiej odwiedzić mogli, niż w niedostępném ich gnieździe.

Starzec błakał się po wyspie swobodny i przechadzki jego po dzikich wybrzeżach nie zwracały uwagi; Hypathos zręcznie umiał oszukiwać tych, którzy go śledzili i mylić ich pogoń za sobą. Tak pomimo szpiegów Cezara, schadzki ich dotąd zostawały tajemnicą.

Tyberyusz przywiązywał się coraz bardziej do pięknego chłopaka, ale niekiedy krwawém okiem spoglądał nań, jakby myśl jakaś dzika przelatywała mu przez głowę; czasem słowy dziwniejszemi jeszcze rozpytywał go o śmierć i życie.

Wreszcie w posłuszném, złamaném ale smutném zawsze chłopięciu, nie mogąc ku sobie wyrobić ani przywiązania, ani wesela, które na licu jego widzieć pragnął, niecierpliwił się, odpychał, niepokoił i głaskał.

— To chłopię — powiedział raz Macronowi — za-

wczasu napiętnowane jest na śmierć bogom, nosi smutek victimy na czole i płakać tylko umie.... Któż wie? możeby to była przyjemna bóstwu błagalna ofiara? krew ma siłę potężną!...

Często wśród zabaw w gaju Wenery, Cezar rozkazywał szaleć Hypathosowi, szukając w oczach jego ognia młodości i szału, ale zapalona chwilę w oczach namiętność wnet gasła i smutek jój miejsce zajmował. Hypathos, zepsuty wcześniej, brzydził się jednak widokiem tego pogańskiego rozpustowania, a serce jego i żądze zwracały się gdzieindziej. Żadna z greckich dziewcząt, żadna z Armenek i Rzymianek Tyberyuszowego orszaku nie pociągała go ku sobie, choć wszystkie chciwemi nań patrzyły oczyma; kochał bowiem tajemnie Rachelę, żonę brata, i miłość ta występna paliła go ogniem rozpachy. Rosnąc co chwila, na czole prześlicznego chłopięcia malowała się niepokonanym smutkiem.

Ta nieprzezwyjężona tęsknota, to *taedium vitae*, będące uczuciem powszedniem społeczeństwa, które się kończyło samobójstwem wśród uczty, niepojętemi się zdawały w chłopcu młodym, pieszczonym i szczęśliwym.

Nie lubił pap twarzy zamysłonych i posępnych: wszelka myśl była dlań podejrzaną, smutek go niepokoił; głupota i szal były mu najmilsze, a Cajus wybornie w tém do jego usposobienia się stosował.

Jakby na przekor, Hypathos codzień smutniał i mienił się w boleściach napróżno skrywanych; wspomnienia ojczyzny nieznanej, obudzone przez Heliosa, jego nauki, walka, jaką w nim wywoływały głoszone przezeń prawdy, wszystko to pogrążało Hypathosa w coraz widoczniejszych zadumach.

Mało zresztą pogodnych twarzy spotykał wkoło siebie drżący i ponury Cezar; Thrasyllus spokojny był ale pogrążony w sobie, Helios poważny i surowy, reszta dworu posłuszna, milcząca, kamienna. Macrona oblicze zdradzało opanowanie jakieś, Cajsus uczył się ciągle głupim i obojętnym wydawać.

Trzeba też przyznać, że wypadki dworu i państwa nie mogły uśmiechu na usta wywołać; codziennie wiadomość o śmierci czyjejs spadała jak kropla czarna na duszę tych, którzy sami dla siebie życia jutrzejszego nie byli pewni. Uśmiech, wejrzenie, słowo, mogły być wyrokiem, a dziwactwo pana zresztą nie potrzebowało się usprawiedliwiać niczem.

Co chwila przynoszono z Rzymu nowinę jakiegoś zgonu: zmarł Asinius Gallus, — do którego od dawna karmił nienawiść Tyberyusz, pomimo że mu się starał przymilać — zamorzony dobrowolnie głodem, co Tyberyusza do gniewu pobudziło na zbiega, bo śmierci zwyczajnej za żadną nie uważał karę 1); w strasznych męczarniach skończył Drusus syn

1) Tacyt. Swetoniusz.

Germanika, brat Caliguli, pożerając wętnę, którą wypchane było posłanie, w okropnych głodu boleściach. Oczerniono go po śmierci, a dziennik jego ostatnich godzin i zgonu męczeńskiego czytano w senacie, wraz z przekleństwami, któremi ścigał Tyberyusza, prześladowcę swój rodziny. To nakazane umyślnie, naigrawające się z wszelkiego wstydu i uczucia czytanie publiczne, kilkakroć przerywano z ohydą... Znać zbrojca chciał losem Drususa zastraszyć wszystkich, na których miał podejrzenie, że przeciw niemu spiskować mogli, ukazując im, jaki ich los czeka.

Zarazem prawie dokonała oplakanego życia Agrippina Germanikowa, prawdziwie ostatnia rzymska matrona, wielka i godna charakterem męża swojego; Tyberyusz, pokonać jej nie mogąc, spotwarzył ją po śmierci... Przed swojemi wychwalał się (Tacyt), że przecie ani udusić, ani na Gemonije wyrzucić jej nie kazał, za co rok rocznie postanowiono obchodzić święto Clemeneyi Cezara!

Probowany temi straszliwemi wieściami z kolei Cajus Caligula, uśmiechał się niewzruszony, a obojętność jego na wszystko przerażała samego Tyberyusza. Opis śmierci brata, ostatnich godzin jego, potwarze na matkę rzucane, sam zgon jej wreszcie, nie wywołały nic z téj duszy, która się zdawała wszelkiemu uczuciu zamkniętą. Za każdym ciosem

nowym Cezar spoglądał nań, szpiegując wzdrygnięcia, płomyka na twarzy, słowa, ruchu i podziwiał bohatera swego, znajdując w nim tylko uśmiech wczorajszy i chłód nieporuszony.

Była-li to komedia tylko, odgrywana tak umiejętnie, czy uczucie już gasło w téj piersi? Nie — ale z dzieciństwa kołysany strachem, wyuczył się fałszu, który jest pierwszym owocem bojaźni, a dziś go on nie nie kosztował. Oko jego liczyło marszczki na czole Tyberyusza, ale usta się śmiały, paliła go żądza zemsty, ale się kłaniał i padał przed tym, którego nienawidził, naśladował go i wielbił. Nauczył twarz, wzrok, usta kłamać tak biegle, że nawet oko Tyberyusza nie mogło się nic tam dobrać, prócz podłości, ni zgadnąć nic, prócz głupiego okrucieństwa.

Coccejus Nerwa, który z dawna już wezwany do Caprei przez Tyberyusza, bawił przy nim jako świadek milczący życia sprośnego, nigdy słowem ani czynem nie poduszczając go do zbrodni, lecz i wstrzymywać od niej nie mając odwagi — był jednym z tych, których Cezar mimowolnie szanował. Nosił on jeszcze na sobie resztkę powagi starych rzymskich czasów, a nie spodlił się nigdy niczem. Bięgly prawnik, wzywany był do porady w wielu wypadkach i prawdy wówczas wypowiedzieć się nie wahał. Cezar nie mógł się obejść bez niego, a ta surowa Catońska postać, rzekłbyś, potrzebną mu

była, by dać miarę czynów twarzą, na której coraz głębsze malowało się pogrążenie i smutek.

Nerwa od dnia do dnia coraz uparciej milczący, w ostatku jakby mowę stracił, twarz jego jakiś wyraz dziwny i złowrogi przybrała.

Stary już po prostu, jak inni, życiem bez celu i nadziei się znużył — chciał umrzeć.

Kilkakroć Cezar zapytywał go co mu dolegało i odebrał odpowiedź chłodną, że pora przyszła umierać.

Nareszcie jednego poranku, Coccejus, pisze Tacyt, którego już nie nie zastraszało, zawsze w łaskach u pana, zdrów, nie mogący się lękać niczego, widząc coraz nowe padające ofiary, a ohawiając się może być świadkiem straszniejszych jeszcze rzeczy nad śmierć Drususa nad spodlenie senatu i zdrady, któremi się okupowano podejrzeniem, przyszedł, domagając się posłuchania w niezwykłej go-dzinie.

— Czego żądasz, Nerwa? — spytał Cezar dając mu rękę do pocałowania.

— *Moriturus te salutat* (Wita cię mający umrzeć) chcę umierać — odparł Coccejus.

— To łatwo! ale dla czegoż życie ci się sprzykrzyło? — rzekł Tyberyusz zdziwiony.

— Nie wiem! żyć mi ciężko! wolę skończyć niż dźwigać to brzemie....

— Mów! czego pragniesz, domagając się w tak niezręczny sposób?

— Niczego! prócz śmierci....

— Jak to? na prawdę?

— Życie mi obmierzło! więc umrę!

Nie była to myśl tak dziwna, jak się nam dziś, do obowiązku walki wdrożonym, wydaje; śmiercią taką dobrowolną kończyli często poganie, nie mogąc znieść żywota, po za którego starością bole tylko, tęsknotę i upadek sił przewidywali. Ale w Nerwie zdziwiło to Tyberyusza i napełniło niepokojem.

Jął mu więc żywo odradzać, wreszcie powiedzieć miał nawet, że wstydemby dlań było, gdyby przyjaciel jego stary, zwątpiwszy o sercu i sprawiedliwości Cezara, o świecie i życiu, chciał tak bez powodu śmierć sobie przyspieszać.

Nerwa zniósł wymówki nieporuszony, przez dni kilka nie spuszczał go z oka Cezar, przy uczcie zinuszał do jadła, starał rozweselić, ale nie potrafił wymódz zmiany postanowienia, które było niewzruszone.

Nerwa, do ostatka posłuszny, zasiadał przy ucztach, wino wylewając jako libacye Jowiszowi oswobodzicielowi i bogom podziemnym, patrzył na przynoszone potrawy, ale ich nie tykał, szalom się przyglądał, nie mogąc ich podzielać.

Ze stoicyzmem starego Rzymianina zamknął się wreszcie w oddalonej izdebce swojego domu,

zesłabły, odmówił wszelkiego jada i zamorzył się głodem.

Śmierć jego, której jedno żalu i skargi nie towarzyszyło słowo, dotknęła Tyberyusza nawet, przeraziła wszystkich, ujrzeni w niej znamię rozpacz.

Cajus tylko jeden ruszył ramionami obojętny i nie zdziwił się nawet.

XX.

Zamknięty w izdebce swojej, Cezar na tabliczkach leżących w koło pisał i zinażywał... radząc się niekiedy zwitków, greckimi zapisanych wierszami...

Układał napis nagrobny dla istoty żyjącej jeszcze, ale już na śmierć skazanej. Codzień inny choć zawsze jeden, filozofując przeciwko istnieniu bogów, a lękając się ich wyroezni, przerażając przepowiedniami i snami, doznawał w duszy dziwnych niepokojów... Przychodziły nań dnie ateizmu i powrotu do wiary, do zabobonności nawet, z której sam wprzód się wyśmiewał. Oddawał cześć starym bogom Rzymu, Grecyi, potem opuszczając ich ołtarze, szukał obcych, jakby próbował ich siły, aby się jutro naśmiewać z bezdusznych kamieni. Strach jakiś paniczny wywoływał to ofiary krwawe, to gniewy i szyderstwa, to najdziwniejsze zachcenia.

— Thrasyllu — rzekł do przywołanego astrologa, kładnąc tabliczki zapisane tak, by z nich oko

nie wyzytać nie mogło — co ci się zda? Wszak bóstwa lubią ofiary krwawe? wszak bogów zagniewanych niemi tylko przebłagać można? Gdy człowiek co ma najdroższego im poświęci, może to nie być im milém?

— Ofiar krwi zawsze wymagali bogowie — rzekł Thrasyllus — wszystkie ludy je składają... jest tajemnicza siła w przelaném życiu na ołtarzu!

— Tak jest! — dodał Cezar żywo — za długo obojętnym byłem względem bogów; oni też ciężką dręczą mnie boleścią i trapią chorobami, niemocą, niepokojem... Sen uleciał mi z powiek, wszystko obrzydło; potrzeba ich przebłagać, Thrasyllu.

— Jak to? ty Cezarze — spytał przełękły astrolog — ty, ulubiony im, wybrany, tybys potrzebował ofiar błagalnych jak inni? Mogliby się na ciebie, Boga jak oni zagniewać?

— Czuję ofiary jakiejś konieczność... Jupiter Latiaris domaga się krwawej libacyi. Gładyatorów nie ma w pustych cyrkach, ziemia dawno ludzkiej krwi nie piła, Diana i Jowisz pragną ofiar...

Po twarzy Thrasylla przeszedł cień strachu, ale starzec hamując go stał chłodny i obojętny pozornie.

— Mithra także jest wielkim... może największym z bogów — dodał Cezar zamyślony — wystawiłem mu świątynię, a nie ma kapłanów ni ofiary; trzeba koniecznie krwią ludzką oblać ołtarz jego...

czuję to, we śnie mi się o to dopomina... Jestem pewien, że spełniwszy ofiarę, siły stracone odzyszczę.

I przypomniawszy sobie półwiersz, którego szukał, jął Tyberyusz szybko pisać na woskowanej tabliczce; potem rzuciwszy ją, zwrócił się znowu do stojącego obok Thrasylla.

— Mithrze... ofiarują się godne słońca dary: młodość w rozkwicie, dzieci w sile wzrostu, piękne i życia pełne; wszystka moc naówczas, jaką miała ofiara, wnijdzie w kapłana-ofiarnika... Ja sam będę kapłanem... Idź do groty i świątyni Mithry, Thrasyllu, a patrz jaki dzień i godzina sprzyjać będą mojej ofierze....

Wieszczek znikł, a zaledwie za nim zasunęła się zasłona, Cezar odczytywać począł wiersz, który na grobie swój ofiary miał na białym wyryć marmurze:

Wy co Stygijski kraj zamieszkujecie demony dobre,

I mnie zabierzcie z sobą; nieszczęśliwego weźcie do Hades. 1)

Pieczara, zwana wielką jaskinią Mithry (*Magnum Mithrae antrum*) położona była na wschodnim wyspy brzegu; w części przygotował ją dawny jakiś kataklyzm, w części wykuła ręka ludzka...

Tyberyusz, po przybyciu na Caprę, szukał skrytego i odosobnionego miejsca, gdzieby parsyj-

1) Tajemniczy nagrobek ten po grecku napisany, znaleziono na wyspie Caprei, nie daleko pieczary Mithry. (*Magnum Mithrae antrum*.)

skiemu bóstwu Słońca mógł ołtarz i świątynię postawić, i tajemnice straszliwe obchodzić — znalazł tę grootę odosobnioną i w niej zamknął Mithry *sacellum*. . . . Obleczono jej ściany szachowaną suknią cegieł, którą zwano dziełem siatkowanym (*opus reticulatum*; *reticulata structura*), wyłożono posadzki alexandryjską posadzką wzorzystą, wykuto wschody pod ołtarz, i ustawiono posąg za zasłoną. . . . Z willi Jowisza, od wieży strażniczej, spuszczała się droga umyślnie zrobiona dla Cezara ku dolinie Mithry, na południowo-wschodnim brzegu, i zapuszczała w skalistą okolicę, wśród której ukryta była świątynia i ołtarz Słońca. Pieczara ta ulubioną była Tyberyuszowi, który z niej na przeciwny brzeg, lądy i okolicę długie patrzył godziny. Wyżłobiono głęboko jaskinię, w półkrąg ją zataczając, a w jej wnętrzu, na dwu olbrzymich stopniach, przed zakrytym posągiem, ustawiono białą marmurową arę, której płaskorzeźby wyobrażały Cezara składającego ofiarę Mithrze. . . .

W dniach, szczególniej na cześć Słońca przeznaczonych, Cezar przybywał tu uroczyście, w stroju Perskich królów, kładnąc *Cidaris* bogatą (tj. arę, mithrę) na głowę i suknię białą, jak Alexander Wielki po swém zwycięztwie nad Persami, i siedł, berło złote trzymając w ręku, otoczony *Meloforami* ze złotemi jabłkami na zbrojach, z wybranym chłopiąt *homotimów* orszakiem, w lekkich kirysach z się-

kierami i mieczami, cześć bóstwu tajemniczemu oddawać. Hypathos naówczas dowodził homotimom i wiódł ich z sobą do ołtarza, przed kamienne bóstwo, któremu zmuszony był, mimo wstrętu, składać z innemi ofiarę.

Czasem kazał się nieść Cezar wyzwoleńcom na tronie złocistym, który dwa lwy z głowy ludzkiemi trzymały, a przed nim postępowały posągi Ninusa i Belusa, wizerunki skrzydlatych lwów i gryfonów, białe konie, poświęcone słońcu i złote orły Parsów, zastępujące dni tych zwyciężkie orły Rzymian. Tyberyusz bawił się temi obrzędami, niekiedy, sam wtajemniczony, próbami wody i ognia inicjując wybranych do tajemnic ulubionego boga. . . .

Ale cześć Mithry, skryta na pustém wybrzeżu, nie mogła na jaw wychodzić, gdyż Rzym jeszcze był boga tego do swego panteonu nie wcielił. 1)

Myśl dzika poświęcenia co miał najulubieńszego Słońcu-bogu, zrodziła się w głowie schorzałego starca, jak inne krwawe, przesuwające się po niej obrazy, bo choć wieczory pogodnemi z Teodorem i Zenonem rozprawiał o mniemaniach Diagorasa i Demokryta, którzy żadnych nie uznawali bogów i do ich się ateizmu przychylił; często potem zaraz napadała go chorobliwa desidajmonija (strach bogów): nakazywał ofiary, przywoływał kapłanów,

1) Nastąpiło to za Trajana dopiero.

sam stawał jako Pontifex Maximus lub ofiarnik, i z nożem w ręku przelewał krew, by gniew nieba przebłagać.

Dwór pana musiał zarówno potakiwać niedowiarstwu i czynny mieć udział w obrzędach.

Właśnie dnia tego, gdy Thrasyllus wezwany został do pana, aby mu wybrał dzień ofiarny i poradził się gwiazd wyroczni, Hypathos, jak zawsze smutny i przygnębiony, szedł do grotty Ulpa ukradkiem, spodziewając się w niej zejść z bratem i starym Heliose.

Helios, od czasu przybycia swojego na wyspę, stęskniony za rodziną, nie mogąc wyprosić powrotu do Rzymu, wiódł życie nędzne i niewolnicze, zapomniany na długo, to znowu wzywany do Cezara, który go dopytywał o prorocत्वach Wschodu i obiecany światu Zwycięzcy, o wierze Judejskiej, lub starał odwieść od Boga, dowodząc, że jeden być nie może, a tłum ich nie potrzebny.

Helios słuchał w milczeniu i pokorze, ale z gorczyzą w sercu; napróżno znękany błagał Macrona, aby mu choć odwiedzić dozwolił rodzinę, choć na dni kilka odjechać: dowódzca pretoryanów śmiał się lub wzruszał ramionami, nie pojmując jak nędzny żyd mógł mieć wolę i pragnienie... dla czego by mu w Caprei źle być miało?

Helios, nie umiejąc ani sobie sposobu oswobodzenia się obmyśleć, ani swoimi współbraćiom do-

pomódz; zatapiał się w czytaniu Biblii i rozmowami z Judą i Rubenem pocieszał. Ale odosobienie od swoich, przedłużona samotność, brak wieści z kraju, o którym w Rzymie, z całego świata mającym nieustannych posłów, zawsze coś wiedzieć było można, nękał go i przygniatał.

Przybywające do Caprei okręta i Rzymu wysłańcy rzadko co więcej nad prośby i wyroki Senatu przywoziły; posłyszć nic nie było można, prócz liku ofiar krwawych, które padały codziennie i ubóstwień dla kata co je poświęcał.

Wygnańcy, którym łatwiej było schodzić się w grocie Ulpa, zasiadali tu na cichą rozmowę o swęj nieznanęj ojczyźnie, o jęj losach, a Juda Rachel marzyli tylko o wyzwoleniu się z pomocą rybaka, który ich miał na ląd przewieźć.

Mieli oni nadzieję, dostawszy się do najbliższego Surrentum, przebrać się ztąd do Rzymu, lub w Neapolis czy Puteolach wprosić na jaki statek handlowy, mogący ich przewieźć do Alexandryi.

Pomimo dobrych chęci Ulpa, trudno było wszakże dobrać chwili dla bezpiecznego odpłynienia i ważyć na śmierć prawie nieuchronną, gdyby ucieczka dostrzeżoną została.

Z wierzchołka wieży strażniczej przy willi Jowisza, szerokie morze dniem i nocą widne było do koła, a u stóp skały nieustannie kręciły się łó-

dzie Tyberyuszowych niewolników, z ludźmi zbrojnymi, którzy nad brzegami czuwali.

Wyspa była strzeżona, a rybacka łódź Ulpa, prócz tego, z trudnością mogła przewieźć razem trzech ludzi.

Stary Helios ani mógł ani chciał uciekać, Hypathos lękał się zniknięciem swoim ściągnąć na brata i bratową zemstę i prześladowanie, lecz zarazem nie miał dość mocy ducha, by się wyrzec swobody i pociechy, jaką oni byli dla niego. W duszy chłopięcia, rozmięklej i łzawej, znalazło się przywiązanie, siły do ofiary z siebie nie było.

Chciał uciekać a lękał się i nędzy, która ich ścigać musiała i niebezpieczeństw ucieczki; chciał ich widzieć wolnemi, a nie umiał wyrzec się brata i téj, którą codzien wzrastając, kochał goręcej i namiętniej.

Wstrzymywał więc ucieczkę swoją bojaźnią, wahaniami i łzami, rozpaczą i strachem, sam nie wiedząc co począć...

Nawet stary Helios, który ich nauczał wiary ojców i tchnął ducha starego w zepsutych wpływy pogańskimi, choć częściej był z Hypathosem niż Judą, nie mógł już wpłynąć na zmianę charakteru chłopięcia, które gorzało tylko jedną namiętnością, a wstydząc się jój, zmuszone ukrywać, bolało i wiedło.

Długie wieczory w ciszy spędzali razem nad księ-

gami świętymi, które im stary czytał i wykladał, a Hypathos wracał z nich zimny lub wzruszony tylko pięknnością poezyi Wschodu, nie prawdy Bożej.

Nie przypuszczając żadnego stosunku między starym lekarzem a ulubionem Tyberyusza chłopieciem, Thrasyllus, który ze słów Cezara domyslił się co zagrażało Hypathosowi nie wątpiąc, że jego na ofiarę Mythrze naznaczył znękany chorobą starzec, wieczorem, przechadzając się z Heliosem po nad brzegiem morza, stanął i westchnął, postrzegłszy zdala przesuwającego się jak cień posągu, bladego ulubieńca pańskiego.

—Szczęśliwy—rzekł—Cezar, któremu nie brak czego zamyśli, a niczego jednak użyć nie umie i nie może! Cóż po zlocie i purpurze umarłemu na stosie? Patrzajcie, jakie to piękne chłopię — dodał.— Cezar je kocha, a miłości w niem dla siebie wzbudzić nie może. Kto wie, czy to przywiązanie nie skończy się kiedy poświęceniem Bogom na ofiarę?

Helios się wzdrygnął.

— Alboż Bogowie wasi krwi jeszcze ludzkiej żądają? — zapytał.

— Milą jest Bogom ofiara człowieka — odparł. Thrasyllus—krew ma w sobie siłę wielką, ona ich ściąga i zwycięża... Cezar myśli coby najdroższego mógł ofiarować Słońcu; da mu pewnie Hypathosa...

— Jakto? miałby go... ubić? na ołtarzu zamordować?

— Tak sędzę— rzekł zimno Thrasyllus— Tak się domyślam, zresztą nic nie wiem jeszcze... Ale chłopię mieć będzie z białego marmuru grobowiec...

Żyd, mimo obawy, z oburzeniem i zgrozą cofnął się składając ręce...

— Nie wiem— rzekł żywo— czy Bóg wasz może niewinną krew, przelaną zbrojecko, przyjąć za dar miły! Przecież Rzym sam w podbitych krajach wytępiał z ludzi ofiary.

— Bo nie chciał by je barbarzyńskim Bogom składano— rzekł Thrasyllus wciąż spokojnie... ale Rzym zawsze miał prawo, w dobie wielkiego niebezpieczeństwa, krwią ludzką błagać swoich Bogów o jego odwrócenie... Zakopywano żywcem wśród Forum... bo w krwi i żywocie jest siła tajemnicza...

Dość było tych wyrazów Heliosowi, by zadrzeć o życie dziecięcia, do którego się tém więcej przywiązał, że litość w nim budziły słabość jego, zniewieściałość, łzy i bojaźń kobieca; postanowił więc przyspieszyć ucieczkę Hypathosa i wyzwolenie jego rodziny, namawiając Ulpa, by nocą ciemną w swój łodzi przewiózł ich na brzegi Surrentum. Sądził, że rzucone gdzie na skałach skrwawione suknie dziecięcia, zwiodą łatwo pozorem dobrowolnej śmierci.

Z tą myślą pospieszył do jaskini, w której zastał Ulpa tylko samego, spokojnie naprawiającego sieci.

— Są oni tutaj? — zapytał go.

— Są głębiej... czekają na ciebie.

— I Hypathos?

— Ten nie mógł przyjść jeszcze...

— Ulpie — rzekł żyd wstrzymując się chwilę — przyszła godzina... potrzeba odwagi... Wszak noce są ciemne, i przewieźć ich można?

Rybak podniósł głowę czarnemi włosy pokrytą, a straszliwa jego twarz, krwawemi poorana bliznami, w której tylko ciemne oczy błyskały, nie dozwoliła się domyśleć nawet, jakie się na niej malowało uczucie.

— Winienem ci życie — odpowiedział — to ci je dam... Powiozę gdy każesz, dniem czy nocą, a jeśli potoniemy, lub nas gdzie na krzyże powbijają, nie będzie wina Ulpa, na wielkiego Herkulesa!

— Jakto? ty się obawiasz?

— Ja! niczego! — rzekł rybak — ostrzegam tylko co przypaść może... a popłynę, gdy zechcecie. Będzie co Fatum przeznaczy.

Helios wszedł w głąb groty, w której pierwszym wewnątrz ubogi tylko sprzęt rybaka się znajdował; sieci, oszczepy stare, trochę wiszących na sznu-

rach owoców, kilka lamp glinianych, w głębi nieforemnych bóstw kilka.

Obawa prześladowania i zazdrosnych oczów ludzi, po za tą jaskinią utworzyła drugie schronienie, tajemniejsze, do którego rybak tylko przypuszczał swoich przyjaciół. Było to wyżłobienie w skale, nieco podniesione, ku któremu potrzeba się było wdrapać po kilku stopniach, osłonionych sterczącymi głazami, a potem przeciskać wniściami ciasnym i ciemnym, nad którym zwieszone sieci stare domyślać się go nawet nie dozwalały. Uszedłszy kilka kroków, wązki ten przesmyk rozszerzał się nagle i ukazywała druga jaskinia, obszerniejsza od pierwszej, lekko oświecona promykiem dnia, wciśkającym się przez rozpadliny u góry, poroztwierane umyślnie...

Kilka pokoleń tych biednych ludzi powoli pracowało na to schronienie ukryte, bezpieczne i ciche: Ulp także składał tu co miał najlepszego, zdobił ją i rozszerzał, a w długie dnie burzliwe, gdy na morze puszczać się nie śmiał, siekł skałę, kształtując ją wedle myśli swojej. Była to pieczara zaciszna i piękna; oswoiwszy oczy z mrokiem, który w niej panował, nie podobna było nie podziwić się widokowi, który przedstawiała.

Ściany jej, czerwone po większej części, wyścielały mchy i blade rośliny, tęskniące po słońcu, bluszcze zwieszone wieńcami od jednego złomu kamie-

nia na drugi, czepiające się szczelin porosty, długimi sploty opadające z góry, i krzewy, gałęzmi rozpostartemi zdające się szukać gdzieby się oparły.

Dzikie wyłomy i najeżone szczyty sklepienia, piękniejszymi jeszcze były dla oka przy oglądzonych niżej prostopadłych ścianach, w których poprzednicy Ulpa kształtne wyciosali wnęki. Do koła były w kamieniu kute ławy i łóża, a przed niemi gdzie niegdzie pozostawiane bryły kamienia zastępowały stoły i ołtarze. Niektórych wierzchy pracowita ręka wygładziła jak marmur kosztowny.

Przy nagich tych ścianach trocha ozdób wydawały się wspaniałością wielką; pochodziły one z różnych czasów i źródeł. Nie jedną morze wyrzuciło na brzeg pusty, inne zdobył dziad i ojciec przybrany, kupili rybacy w porcie Retiny lub wymieniali w okrętach, które stawały z towarem w Pu-teolach i Baii.

W zagłębieniach kamiennych groty były małe bronzowe posążki i kamienne bóstw wizerunki, niewytwornéj rzeźby, ale z dobrych naśladowane wzorów, kilka lamp pięknych kształtów, kandelabr stary, trójnog ofiarny i greckie naczynia z malowaniami dawnemi, pootłukane i drobne...

Podłoga chłodna téj groty okryta była matą, z roślin morskich uplecioną, łóża powyszciane takiemiz węzłowiami, które szczątki opon i farbowanych żagłów przyodziewały ubogo.

Ale największą zwracał uwagę ołtarz bóstw domowych, geniuszów miejsca tego, ustawiony w głębi i widocznie biegłego robotnika wykonany ręką.

Sięgał on dawnych czasów, a Ulp miał to od ojca, że chroniący się na wyspie Grek jakiś wyciosał go dla dziada, płacąc za gościnę swą pracą. On to wyrobił niszę, jakby frontonem świątynki pokrytą, wspartą na czterech słupkach, całą wysadzaną morskimi muszlami, kawałkami marmurów i kamieni, a zrobioną tak misternie, żeby się jój żadna willa patrycyuszowska nie powstydziła. W téj stał na podstawie posążek gliniany morskiego bóstwa, a przed niem ołtarzyk mały, na którym splecione widać było dwa węże. U stóp jego małeńki wodotrysk bił po cichu, podsycany wodą z cystermy w skałach ukrytej, od której czysty i chłodny strumień wiodły gliniane rury, przeprowadzone w kamieniu. Małeńka sadzawka, naksztalt *inpluvium*, pełna była złocistych rybek, igrających w pośród kamyków i roślin wodnych... Największą jednak ozdobą téj części groty były gałęzie koralów, któremi sam Ulp misternie przyodział wgłębione Bóstwa schronienie; z nich on uplatał wieńce opiekunowi jaskini, a największemi złomami opasał postawę posagu, jakby z krwawego krzaku wyrastającą do góry.

Gra promieni światła, przeciskających się przez szczeliny sklepienia i oświecających części groty,

całej w półcieniach i mroku, dodawała jój wdzięku jeszcze. Błyski słoneczne czepiały się gałęzi bluszczów i skrajów skał ostrych, drżały w wodzie maleńkiej sadzawki, przez którą ciekawa rybka przedzierała się srebrnym migocząc grzbietem, lub pasem złocistego pyłu przerzynały wnętrza ciemne.

Juda i Rachel od kilku dni już siedzieli ukryci u Ulpa w gościnie, rzadko kiedy ośmielając się nawet do pierwszój wyniść groty, bo się lękali wyszpiewowania przez strażę i łodzie Tyberyusza, nieustannie krążące u brzegów, często przybijające nawet przed Ulpa pieczarę.

Niewolnicy pana zatrzymywali się u rybaka dla spoczynku, wprasali w chłodny kątek jego schronienia, lub milczeniem znękami, wyzywali go do rozmów próżniaczych.

Dopiero gdy wiosłarze spali gdzieś daleko, a łodzie ich puste kołysały się u brzegów na sznurach do lądu przykute, Ulp, obejrzawszy okolicę, dawał znać gościom swoim, że wyniść mogli z kryjówek. I wszyscy wówczas wychodzili nad morze, świeższém odetchnąć powietrzem, wonią fali i zapachem daleko rozkwitłych gajów.

Helios zastał ich w drugiej grocie i nim nadzedł Hypathos, pośpieszył powtórzyć słowa Thrasylla, z przestrachem niezmiernym.

— Potrzeba uciekać — rzekł stanowczo — życie ważyć by się wyrwać ztąd, gdy i tak grozi mu co

chwila jedno skinienie Cezara. Z piérwszój nocy ciemnéj musicie korzystać.

Juda pobladł załamując ręce, młoda niewiasta krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na posłanie twarzą, nadzwyczajny przestrah okazując o Rubena.

— Potrzeba go zatrzymać gdy przyjdzie! — zawołała z gorączkowym niepokojem — ukryć, schować... Wszak tu go znaleźć niemoga? Wszak Ulp nas nie zdradzi! Miałoby zginąć marnie to dziecię biedne! Nie, my go obronimy. Juda na to nie pozwoli... Bóg dopuścić nie może... ty, ojcze, znajdziesz ratunek!

I piękne swe oczy, łez pełne, zwracała to na męża, to na Heliosa, błagając jednego i drugiego z kolei, z więcej niż braterskiém uczuciem.

— Wy nie możecie dozwolić by się taka zbrodnia spełniła! — wołała coraz żywiej — macie mądrość starą, modlitwa wasza więcej może u Boga Izraela znaczy, niżeli prośba Judy i moja... Módlcie się, Bóg może uczynić cud dla was... Wyzwólcie go! ratujcie! lub ginimy razem wszyscy!

Helios dumiał smutny.

— Cicho kobięto — rzekł z uczuciem jakimś przykrém, widząc gwałtowniej coraz objawiające się to przywiązanie niewiasty, które w podejrzeniu mieć zaczynał — zostaw mężom myśleć o śmierci i życiu, a bądź jeno gotowa piérwsze lub drugie podzielić,

Zgromiona umilkła biedna Rachela, ale niepokój jój wydawała pierś podnosząca się westchnieniami i łzy milezące, które się lały po twarzy jak marmur bladój i pięknej. Drobnemi rączęty ocierała je powoli, z trwogą poglądając na starca i czekając rychło-li pokaże się Hypathos, który zwykł był pod wieczór przybywać.

Wezwano tymczasem do narady Ulpa, który nie wiele mówił, ale ważył wszystko. Łódź na jutrzejszą noc mogła być gotowa, jeżeliby nie było burzy. Nieszczęściem, aby się z wyspy niepostrzeżonym wysliznąć, musiano pragnąć ciemności, a téj prawie zawsze na morzu towarzyszyły wicher i wzdęte wód bałwany. Łódź powinna się była puścić bezwładna, z prądem morza, cieśniną ku Neapolis i wyspom, potem dopiero z pełni, siłą wiosel zwrócić do Surretyńskich brzegów, co we troje przedłużało drogę. A wszystko to potrzeba było dopełnić w ciemnościach, nie czekając świtu, aby strażnik ukrytych za cyplem Minerwy nie dostrzegł zbiegów, na których ściganie wysłanoby łodzie Cezara.

Trudności były wielkie, ale kosztem ich okupić się miało życie.

Tymczasem wieczór powoli spuszczał się nad ziemię i wyspa mnóstwem zapalonych po willach ogni błysnęła, Capri jaśniało na gór wierzchołku,

drogi nawet sznurami lamp rysowały się po dolinach i wyniosłościach.

Hypathos nie przybywał.

Noc nadeszła czarna i próżno go oczekiwano.

Już myślano, że go Cezar wstrzymać lub zamknąć rozkazał, i Helios chodził z załamanemi rękami, zbierając się powrócić do willi, aby zasięgnąć o nim wieści, z obawą, by ofiara tego dnia spełnioną nie została — gdy chód lekki dał się słyszeć i lice Racheli zarumieniło się jak jabłko granatu na widok chłopięcia, jej wzroku naprzód szukającego w ciemnościach....

Przybiegł, jakby na przekor ich obawie, z weselszą twarzą niż kiedy, z jaśniejszém okiem i usty.

Starzec wprzód jeszcze nakazał, aby mu o niebezpieczeństwie nie wspomniano, nie chcąc go straszyc daremnie, i sam piérwszy zbliżył się ku niemu z ojcowską czułością. Hypathos ucałował kraj jego szaty, rozweselony i wdzięczny.

— Bóg Abrahamów niech będzie z tobą! — rzekł stary — zkąd przychodzisz? dla czegoś się spóźnił? Co Cezar robi?

— Pisce swe wiersze greckie — odparł wesoło Hypathos — odprawił mnie na dziś, włożywszy ten wieniec z koszyka (werbeny) na głowę... i pozwolił swobody.... Twarz jego dziś rozweselona i jasna.... Priscus nagotował mu w willi Julii biesiadę, do której nikogo nie przypuszczano, prócz tych,

co w niej uczestniczyć mają..... Nawet Macron pozostał przy Naewii... czemu nie rad Cajus podobno.

I uśmiechnął się chłopak zwracając ku Judzie, a Rachel poruszona weselem ofiary, co nie widziała zbliżającej się śmierci, schwyciła go za rękę mimowolnie i wlepiła weń oczy łez jeszcze pełne.

—Wszak już do nich nie wrócisz? zawołała żywo... jutro uciekamy ztąd wszyscy...

—Cicho niewiasto! — zgromił ją Helios po raz drugi — czekaj coć powiemy i słuchaj co każą. Na co ci mieszać się do spraw mężkich? zwiń szaty swe, stul usta i czekaj! ●

—Cóż to mówicie? — zapytał Hypathos zdziwiony i niespokojny.

— Że jutro ucieczka ztąd postanowiona — rzekł Helios. — Ja nie mam się czego śpieszyć, nie mogę uciekać, wy musicie. Ulp swą łodzią przewieźć was obiecuje, podzielę z wami co mam, a Bóg nie opuści biędnych.

Hypathos, któremu zawsze brakło mężstwa, strwożył się i pobladł słysząc te słowa, zwiastujące mu nadchodzące niebezpieczeństwo, które mniemał dalekiem jeszcze.

—Tak prędko? — spytał cicho — jutro, ale będzie to ocalenie czy zguba?

—Bóg jeden wie! — przerwał starzec — potrzeba umieć umrzeć, kto chce żyć umieć. Juda i Ra-

chel nie mogą tu dłużej pozostać; ty zginiesz wśród pogan, do których serce przyrasta... wielki jest czas uciekać.

— Ale sprzyjaż pora ucieczce? — spytał Hypathos nieśmiało.

— Nic nie stoi na zawadzie; jutro o godzinie nocnej, czołno gotowém będzie, musicie wypłynąć...

Ruben zamyślił się głęboko, strach go ogarniał, lecz nie odpowiedzieć nie śmiał... Morze, śmierć, nędza, stawały przed oczyma rozpieszczonego dziecięcia, ohyda położenia, męczarnie codzienne pieszczot obrzydłego starca, wstręt do pogan, przywiązanie do Racheli pociągało w drugą stronę... i nic nie rzekł milczący.

— Do jutra zostaniesz z nami? — spytał Helios.

— Muszę powrócić dziś jeszcze — odparł Hypathos — inaczej wzbudziłbym podejrzenie... gdyby izdebkę moją znaleźli pustą, Priscus rozesłałby ludzi...

— Lecz czy jutro przyjść będziesz mógł? — spytał Juda.

— Choćby uciec! — rzekł Ruben.

— Tak! uciec, wydrzeć się gwałtem! nieprawdaz? — przerwała Rachel — jutro, koniecznie jutro!

Ruben spójrzał w jęj oczy łez pełne.

— Jutro! — rzekł stanowczo — czekajcie na mnie... będę!

— Moje modlitwy doprowadzą was do brzegu!!—
szepnął Helios. . . .

I Hypathos śpiesznie biegnąc, znikł w ciemnościach na skałach, a oczy Racheli długo goniły jego śladami.

Ulp spał już na swych sieciach w pierwszej grocie, gdy Helios rozstał się z Judą po długiej nardzie, i do miasteczka powrócił.

XXI.

Nazajutrz wielkie czyniono przygotowania do ofiary Bogu-Słońcu; Priscus wybierał najurodziwszych młodzieńców, wynoszono znaki i posągi: gotowano tron ze lwami i strój persyjski dla Cezara arcykapłana-ofiarnika.

Tylko ofiara dotąd wyznaczoną nie była. Spytany przez Macrona o nią Tyberyusz, odrzekł tajemniczo, że ją miał przygotowaną.

Różnie się domyślano coby to oznaczać miało. Uroczystość, wedle obyczaju, o samym wschodzie słońca odbyć się musiała; Cezar po uczcie przygotowywał się i oczyszczał do niej, rozprawiając z Thrasyblem o tajemniczych obrzędach Persów i ich symboliczném znaczeniu. Dzień poprzedzający upłynął w ciekawém oczekiwaniu; nocą dopiero kazał Tyberyusz przywołać Hypathosa i posadził go na łożu swém, głaszcząc i bawiąc się jakby z psem domowym.

Wielu już przeczuwało, że ta czułość kryć coś w sobie złowrogięgo musiała, ale nikt jeszcze nie odgadł tajemnej myśli Cezara. Chcąc uciec do jaskini Ulpa, napróżno Hypathos udawał chorobę i skarżył się na znużenie. Tyberyusz, pod pozorem czułości krokiem mu od siebie odejść nie dozwolił.

— Życie — rzekł doń smętnie — krótkie jest i i zmienne, każda jego chwila droga... zostań dziecię i leż przy mnie...

Przerażony tym rozkazem Hypathos, który wiedział, że tam nań tęskno oczekiwano, drżał i płakał, ale łzy, na które z jakimś podejrziwem okrucieństwem, bojąc się być odgadniony, poglądał Tyberyusz, nie nie pomogły. Posadził go tylko o przebiegłość i wyczytanie swęj myśli Cezar — i przeraził się.

— To dziecko miałooby wiedzieć co myślę? — rzekł w duchu — dla czegoż te łzy, choroba, ten niepokój, którego nie okazywał nigdy?

Nadaremnie czekał Hypathos by starzec usnął.. Cezar czuwał, zasypiał się i budził, a strażę miały rozkaz nie wypuszczać z willi chłopięcia. Musiał nieszczęśliwy z niepokojem w duszy siaść w progu, nie mogąc dać znać swoim o sobie.

A bolał straszliwie, bo się lękał, aby go o brak duszy i męztwa nie posadzili, a cierpienie szarpało nim gwałtownie, jak człowiekiem, co potrzebuje krzyknąć, by dać znak życia, a słowa wyrzec nie może.

Tymczasem w grocie wszystko było na pogotowiu, czołen wysłany mchami, kołysał się u wnijścia pod wydrążeniem skały, noc przyszła jak naumyślnie skwarna i duszna lecz ciemna, a choć na burzę zanosilo ku ranu, morze jakby ołowiane, spokojne, ciężkie, całą ogromną płaszczyznę przechylało się tylko drzemiące.

Juda i Rachel, zabrawszy co mieli ubogiej pozostałości z domku na górze, odziani do podróży, oczekiwali tylko przybycia Rubena. Kobieta, obawiając się być poznana i nie chcąc zwracać oczów na siebie, twarz oliwkową umalowała barwą, gęstą przywdziałwszy zasłonę. Przytulona do skały, stała z Judą i poglądała na pustą ścieżkę, wiodącą do pieczary.

Helios zmarszczony, groźny, niecierpliwy, był z niemi także, i wzrok jego wyteżony, próżno za każdym szelestem zwracał się, szukając Hypathosa.

Wargi mu się trzęsły i czoło marszczyło.

— Gotów z obawy nie przyjść! — szeptał — gotów nas zdradzić i paść ofiarą oprawców! Biedne dziecko!

Ulp także, na wiosle sparty, mruczał po cichu:

— Drugiej takiej nocy ciężko się będzie doczekać! Galery i wiosłarze rozproszeni, śpią strażnicy... noc czarna, morze ciepłe i uspione.... Dziś lub nigdy! a to chłopię nie przybywa!

Ale czekali na próżno. Rachel wybiegała co

chwilę, podnosząc głowę ku górze, Juda załamywał ręce, Helios pogan przeklinał niewiernych, co dziecięciu lwia ojców odwagę wyjęli z serca. Rubena nie było i nie było.

Wiatr tylko kiedy niekiedy w skałach zagadał i znowu cisza długa zalegała wyspę, a wśród niej tylko daleki szmer wodotrysków, krzyk nocnego ptaka, stłumione przybywały pieśni z Caprejskich lupanarów, śmiechy chłopiąt z Priscusa dworu, lub jęk bolesny, krótki a straszny, jakby konającego człowieka, którego dusza z ciała się wyrывa płacząc po życiu.

Tak upłynęła część nocy, aż Helios zapytał Ulpa, czyby się do willi górnej dostać i coś o chłopcu dowiedzieć nie można.

Ulp potrząsał głową, począł myśleć, noc była ciemna, cisza głęboka... rzucił wiosło i nic nie mówiąc, jał się oburącz skały, która prostopadle biegła w górę, dźwigając na stromych wierzchołkach strażniczą wieżę i willę Jowisza...

Pomyśleć było trudno, żeby się człowiek mógł nocą po tej ścianie kamienną dostać na szczyt góry; jeden Ulp, przywykły do takich przechadzek od dzieciństwa, zręczny i śmiały jak koza dzika, mógł się podjąć wycieczki. Ujawszy się wystających kamieni, stąpając z jednej w drugą szczelinę, przytrzymując za rośliny i krzewy, znikł z oczów, nim mieli czas go odwołać.

Z przestrachem oczekiwali tylko, rychło-li odgłos spadającego ciała, krzyk i rozprysnione wody, oznajmia im o śmierci zuchwałego rybaka — ale cicho było wokoło i nic nie przerywało milczenia, długiego jak wieki.

Już prawie świtać zaczynało od wschodu i na jaśniejszém nieco niebie dalekie łądy sinemi gór malowały się szczytami, gdy Ulp powrócił znużony i padł spocząć na sieciach. Ręce i nogi jego drżały wysiłkiem potężnym, pierś wzdymała się szybkim oddechem, pot kroplisty oblewał piersi i czoło.

— Merkuremu dzięki — rzekł — żem szyi nie skręcił, tak rosa poranna śliskimi uczyniła te wschody, po których się i kozy nie wazą...

— Hypathos? — spytała Rachel...

— Siedzi w progu portyku, widziałem go — rzekł rybak — otoczony strażą, nie może się ruszyć i płacze....

Helios pobladł, kobieta klasnęła w dłonie i zakryła sobie oczy, Juda spoglądał wzrokiem pełnym łez i ognia.

— Co więcej widziałeś w willi Jowisza? — przerwał Helios.

— Cezar gotuje wielką ofiarę.. niewolnicy szykują wozy i konie, ubierają się chłopcy, a skoro zaświta, pociągną wszyscy ku świątyni Mithry.... słyszałem dających rozkazy....

Na te słowa odstąpiła ostatnia nadzieja, wszyscy

spuścili oczy ku ziemi. Dzień świtał, morze się ruszało i odpływać nie było już można. Rachel, zgrómniona przez starca za krzyk, który wydała, poszła w najciemniejszym kątku jaskini ukryć bezsilne łzy swoje. . . . Juda osłupiał, Helios modlił się przejęty . . . Ulp poglądał na nich . . . litośnie czy obojętnie? z poczwarnej twarzy jego nie można było wyczytać.

— Gdybyście chcieli widzieć, jak Hypathos pięknie będzie wyglądał na czele młodzieńców u ołtarza Mithry . . . jabym to mógł wam pokazać . . . i cały ten obrzęd tajemniczy, którego żadne obce nie oglądało oko . . . — rzekł po chwili rybak.

— Jakim sposobem? — żywo spytał Juda — myśląc tylko by brata ocalić. . . .

— Z moich pałaców — dodał Ulp uśmiechając się tajemniczo — jest przejście skryte aż do pieczary Mithry . . . idzie ono głębiami góry, wnętrzościami skał, i nie wiem po co kończy się, znać w dawnych wiekach wyrobionym otworem w ścianie, przez który, z za posagu bóstwa, obejrzyście całą uroczystość lepiej może niż ci, których na nią Cezar zaprosi. . . . Ale tam spójrzenie życiem przypłacić można!

Pomimo obawy i wstrętu, jaki wzbudzało w nich tajemne przekradanie się na to widowisko pogańskie, Helios nic nie mówiąc ruszył się pierwszy za Ulpem po skałach, rozdołach i pieczarach, a za nim Juda poprowadził drżącą Rachelę. Przeszli tak

w milczeniu do drugiej groty, a rybak ukazał im w skale zaledwie dojrzaną szczelinę; tu Helios przyłożył oko do otworu, który się z tyłu za posągiem Mithry znajdował i ujrzał jaskinię całą w tej chwili pierwszym brzaskiem dnia oświeconą. Niewolnicy właśnie zlewali posadzkę wonnościami, rzucali na nią kwiaty i zioła, rozwieszali wieńce werbeny, a u wnijscia posługacze ołtarzy ubierali posążki i przygotowywali ogień ofiarny.

Zarosłą nieco ścieżynkę do groty wiodącą, rozprzestrzeniano sierpami i toporami obcinając drzew gałęzie, piaskiem Nilowym wysypano drogę órszaku; tłumy ludzi krzątały się dokoła.

Mrok stopniami w dzień jasny przechodził, i już słońce ukazać się miało, gdy zdala doszedł ich uszów szum, hałas, śpiewy dzikie i okrzyki.

Cezar, niesiony na tronie złocistym ze lwy skrzydlatemi, postępował powoli, z wieńcem i tiarą na czole, z nożem ofiarnym w dłoni; otaczały go szeregi młodzieńców, uwieńczonych werbeną, niosące patery, kadzielnice i posągi.... Tuż przy panu ze spuszczoną głową, obwitą zielonością, postępował powoli blady i chwiejący się Hypathos.

Z wielkim przepychem odziany tłum zbrojny, połyskiwał od purpury i złota. Kilku kapłanów w wysokich czapkach perskich, towarzyszyli Cezarowi, którego twarz była raczej smutna niż groźna. Za nim niesiono ogień poświęcony, naczynia ofiarne,

wizerunki bogów okryte sukniami bogatemi, a flety, piszczałki i bębny wrzaskliwą pieśnią jakąś napełniały powietrze...

Wszystek tłum ten stanął przed wnijsciem do groty i zamilkł, gdy starzec, sparty na ramieniu Hypathosa, spuścił się z tronu na ziemię i począł zbliżać do ołtarza z nim razem.

Dwóch ludzi czatowało oczekując wschodu słońca; na dany przez nich znak, ogień z wonnego rozpalony drzewa buchnął płomieniem jasnym i dymy białemi na chwilę zakrywając Heliosowi obraz, któremu przypatrywał się ze zgrozą i drżeniem...

Nim mgła ta rozeszła się ku górze wzbijając, promień słońca wdarł się do jaskini, oświecił posąg Mithry i krzyk bólesci przeszył powietrze, krótki, urwany, śmiertelny...

Hypathos leżał u nóg Cezara, poświęcony przezeń na ofiarę słońcu, w samo serce wbitym nożem... strumień krwi płynął z piersi jego ośładkiem życia dyszącój.

Helios ujrzał obraz ten straszliwy, krzyknął bólesnie i staniając się z rozpaczey padł na kolana.

Na znajomy dźwięk tego głosu, Hypathos piękną swą głowę podniósł z ziemi błagający wzrok zwracając ku posagowi, rękę przyłożył do piersi zranionej, westchnął i padł martwy.... Uczucie bólesci niewysłowionej wypiętnowało się na zastygającym obliczu....

Siadłszy na ziemi Helios, okrył twarz i głowę szatą zwalaną, tając łzy które wylewał; Rachel tułac się do Judy płakała na pół omdlona, brat zgrzytał z zemsty i gniewu.... Wszyscy troje stali tak u téj szczeliny, u ściany, co ich dzieliła od świątyni krwią niewinną oblaną. Ulp z tyłu, nie wiedząc co się stało, gromił ich boleść, urągał jej prawie, nie mogąc powodu wytłómaczyć.

Nareszcie i sam zajrzeć zapragnął, poznał wyciągnionego na ziemi trupa, z którego strugą czarna krew płynęła jeszcze przez pierś rozbitą, i odskoczył przerażony.

Hymn na cześć Mithry-Słońca rozlegał się potężnie....

Po spełnionej wielkiej ofierze, bogu dnia i żywota, któremu najulubieńszą istotę własną ręką poświęcił Tyberyusz, kapłani padli na modlitwę za Cezara... on stał jeszcze chwilę zadumany, posępny i w orszaku młodzieży udał się nazad do Jowiszowej willi... rozkazawszy ciało Hypathosa spalić na stosie przed samą pieczarą....

Nieco opodał, na białej marmuru sztuce grecki robotnik rył już napis grobowy, którym sam Cezar uczcić chciał popioły ukochanego młodzieńca.

Gdy milczenie znowu wróciło, a tłumy powoli się rozpięzchły, po długiej chwili niemój boleści, Helios wstał z ziemi i powlókł się nazad, drąc szaty na sobie, mieszając z modlitwami przekleństwa.

Racheli nie można było oderwać od szczeliny, przez którą, póki tylko ciało białe Hypathosa widziała, patrzała skostniała i milcząca, chciwemi, oschłemi rozpaczą oczyma!

Nieprzytomni prawie, wygnańcy dotrwali tak do nocy, nie wiedząc co się dzieje z niemi. Ulp płakał także, ale czyniąc libacje ceniom ulubionego chłopięcia, cieszył się niemal, że dlań życie skończyło się od jednego ciosu bez męki i cierpienia. To tylko cenili wówczas poganie i dobrą zwali śmiercią.

Dzień zszedł na opłakiwaniu ofiary w grocie, na ucztach w willi, w której, jako kapłan Mithry, Tyberyusz święto słoneczne obchodził w zwykłym swoim orszaku, pijąc przy biesiedzie aż do szału.

Na miejscu Hypathosa stał już inny dzieciak, strwożony i zbladły, a grono efebów, całe przerażone i drżące, jak stado ptaków, z którego jastrzęb porwał pastwę, tuliło się u drzwi, nie śmiejąc podnieść oczów na Cezara-kapłana....

Groźne rozkazy pana milczeniem wiekuistém pokryły grób ulubieńca; miano mu posąg wspaniały wzniesć w świątyni Mithry; Tyberyusz nawet ozwał się z ubóstwieniem i chciał imię Hypathosa z Mithry imieniem połączyć....

Cezar czynił to przez wdzięczność, utrzymywał bowiem, że od chwili spełnienia ofiary czuł w sobie dziwnie przybywającą siłę, która weń wstąpiła z ostatniém tchnieniem chłopięcia....

Nazajutrz rano ciało Hypathosa leżało jeszcze w grocie przed ołtarzem Mithry, z piersią rozbitą, a stos dlań przygotowywano na blizkiej górze. Rachel jeszcze nie wstając z miejsca płakała, a płacz jój był tym jękiem ludów wschodnich, przeciągłym, śpiewnym, z którego przed wieki pierwsza się pieśń zrodziła.

Nareszcie boleść jój, podżegając się coraz, doszła do tego stopnia szalu, że pchnięta siłą niezwykłą, wstała jak upiór z rozpuszczonemi włosami i załamawszy ręce na szatach rozdartych, poszła niepostrzeżona ścieżką, którą Hypathos zwykł był przychodzić, sama nie wiedząc dokąd ją niesły rozpacz...

Instynkt przywiązania wiódł ją na to miejsce, w którym ciało ukochanego chłopięcia leżało dotąd bez pogrzebu. Zapomniała o własnem niebezpieczeństwie, i szła tak, szła, wiedzona siłą niewidzialną, aż do jaskini Mithry. Niewolnicy, którzy stos układali, postrzegłszy tę nieznaną kobietę z długimi włosy czarnymi, spadającymi do ziemi, przestraszyli się jój, jak zjawiska z innego świata. Wzięli ją za królowę Lemurów wyspy...

Ona, nie słysząc ich wykrzyknień i nie widząc trwogi, minęła obojętna pogrzebowe łoże i weszła w głąb jaskini, rzucając się z krzykiem na ciało Rubena, leżące z zastygłym na ustach jękiem dzieci, która się przed matką żali. Łzy ostatnie zle-

piły mu powieki długimi rzęsy ciemnymi, spoczywające na policzkach alabastrowej białości.

Obnażona pierś skalana była bryzgami krwi skrzepłej i czarnej, na skroni, zboczony nią także, wiądl wczoraj zielony wieniec werbeny; białe ręce, wysiłkiem walki żywota ściśnięte, jeszcze wyrażały przedśmiertny bój i rozpacz....

Rachel, przypadłszy przed nim na kolana, zarzynała boleścią niezmierną.... Kołem po za nią skupiła się zbiegająca zewsząd rzesza niewolników, szepcząc i dziwując się zjawisku.

Wtém szmer dał się słyszeć na ścieżce — Cezar szedł zapalać stos pogrzebowy....

Helios, który przez szparę przyszedł spojrzeć na trup dziecka, postrzegłszy zarazem blade ciało jego i bladą jak zwłoki Rachelę i wchodzącego Tyberyusza, za którym szedł orszak wyzwolenców i dworu, zasłonił oczy z rozpaczey....

Kobięta sama wpadła w ręce kata.

Cezar zatrzymał się, stał zdziwiony chwilę długą, a gdy Rachel twarz ku niemu zwróciła, wykrzyknął wielkim głosem imię Agrippiny.

Rachel porwała się, instynktem poczuwszy zabójcę.

— Kto jesteś? — zapytał Cezar.

— Kobięta, której zamordowałeś brata! człowiecze krwi nie syty! — krzyknęła uniesiona — kobięta,

która cię przeklina i na głowę twoją wzywa zemsty i piorunów!!

Tyberyusz, który się lękał gromu nad wszystko, przełękły, pobladł, ale wspomnienie tój, której rysy przypominała mu Rachel, gniew wybuchający hamowało.

— Weźże i to drugie życie — mówiła Rachel — zabij i mnie jak jego zabiłeś! pływaj we krwi i pij posokę, której wylałeś tyle. . . .

Po tym wysiłku upadła rozplakana i zasłaniając oczy, jęczała łkaniem przeszywającym; Tyberyusz stał osłupiały. . . . Słowa wyrzeczone skazywały ją na śmierć; gniew powoli wyrastał w jego piersi, oblewał twarz i krwawemi zabłysnął oczyma, ale zarazem przywykły mu towarzyszyć uśmiech, zjawił się na spalonych wargach.

— Na stos oboje! — rzekł do otaczających — Manom Hypathosa spalić tę szaloną niewiastę. . . . Priscus! kto ona?

Ani Priscus, ani z orszaku nikt, nie znali nie-szczęśliwej i nic powiedzieć nie mogli. Helios biegł już na ratunek zapóźno, gdy Juda, jeszcze nie postrzegłszy ucieczki żony, pogrążony w żalu po bracie, zakryty płaszczem, łzy nie mężkie wylewał.

Starzec, nie mówiąc mu nic o Racheli, aby na daremne nie wystawiać go niebezpieczeństwo, śpieszył zrozpaczony ratować biedną, którą chciał jako szaloną przed Cezarem wystawić.

Ale w chwili, gdy zdyszany przybiegł do groty, aby się rzucić do nóg Tyberyusza, już dwa trupy wynoszono na stos z jaskini; Rachel uduszona w rękach oprawców skołała.

Dwa ciała białe położono na łożu ognistém; głuche milczenie panowało dokoła. Tyberyusz brwią nawisłą okrył oczy obłąkane, a usta jeszcze się starał uśmiechać. W uszach jego dźwięczało przekleństwo, którego Cezar nie słyszał nigdy w życiu, bo nie było człowieka, przez którego usta przejść mogły tak straszliwe słowa.

Rzuciwszy okiem na zwłoki kobiety, co boleść przypłaciła życiem, Helios, powoli zwłókł się do groty Ulpa, do Judy, który sam pozostał; przyszedł i usiadł przy nim milczący.

Po długiej godzinie ciszy Juda podniósł czoło i oczyma począł szukać żony... nie znalazł jej.

— Co ci jest? — kogo szukasz? — spytał poważnie Helios.

— Gdzie Rachel?

— Pamiętasz księgi Hioba? — odezwał się starzec.

Juda wlepił weń oczy niespokojny, a starzec powoli dokończył, przywołując słowa Pisma:

— „Tchem moim brzydziła się żona moja... (Roz. XIX. w. 17.)

„Bracią moją oddalił odemnie, a znajomi moi jako obcy odeszli odemnie. (Roz. XIX. w. 13.)

„Ten umiera duży i zdrowy, bogaty i szczęśliwy. (Roz. XXI. w. 23.)

„Bóg zmiękczył serce moje, a Wszechmogący zatrwożył mną. (Roz. XXIII. w. 16.)

„Izali wiesz porządek nieba, i postawisz sposób jego na ziemi? “ (Roz. XXXVIII. w. 31.)

—

XXII.

Trzeba było z tych miejsc, przykre obudzających wspomnienie, osamotnionemu Judzie uchodzić; ból jego cichy, głęboki, ale wzrastający coraz, łzy wy-ciskał z oczów starego Heliosa. Chciał on z nim razem powracać do Rzymu, ale go Macron nie puszczał jeszcze; to szydząc zeń, to dzikie podda-jąc mu myśli uzdrowienia Cezara silnym jakimś le-kiem, ze wszystkich chorób na które cierpiał.

Tyberyusz sam rzadko go widywał, rozprawiał z nim rzadziej jeszcze, ale były chwile, w których przyzywać go kazał, nie o swe zdrowie badając, ale zawsze o też same podania Judei, proroctwa i wieści przychodzące ze Wschodu. Cóż to szkodziło komu, że starzec siedzieć musiał, dręcząc się lata całe, byle w ich ciągu raz na pół chwili był Cezarowi potrzebny?

Uciec nie było sposobu, chyba nieznanemu, bo gdzież ręka i miecz Tyberyusza nie sięgały? Ten co się od nich usuwał, wszędzie dognanym być

mógł, u Partów dzikich, w lasach Germanii, nad wody Nilowemi, na krańcach znanego świata!...

— Dla czegoż nie ulecysz Tyberyusza?—zapytywał go Macron szydersko — naówczas byłbyś wolnym!

— Mogęż ja, czego nie potrafił Bóg?—odpowiadał żyd—któż uleczy tego, który zdrowym być nie chce?

— Od czegoż jesteś lekarzem?...

I ruszał ramionami; sądził, iż dręcząc starca zbrodnię na nim wymoże. Helios nie umiał jęć nawet przypuścić, niemógł się domysłuć.

Lżej nieco stało się dlań, gdy Juda osierocony przyszedł z nim razem zamieszkać; Helios wytłómaczył zjawienie się jego przybyciem na jednym ze statków z Rzymu, i blizkiem pokrewieństwem... Nikt zresztą nań oczu nie zwrócił

W życiu i obyczajach tego, od którego zależeli wszyscy, nic się nie zmieniło, owszem, zdało się jeszcze, że ukryty w tej niedostępnej twierdzy milczący tyran coraz stawał dzikszym i sroższym, a nic go z tego gniazda wyciągnąć nie mogło.

Macron i Cajus w milczeniu patrzeli po sobie, licząc godziny, a choć zmowa ich na życie Tyberyusza już przeszła przez usta i w cichych codziennych utwierdzała się szeptach; żaden z nich wszakże nie ważył się tknąć tego, którego skinienia przywykli się byli obawiać jak piorunu.

Macron dotąd był wszechwładnym: siła jego o-

kazała się w upadku Aemiliusa Scaura, pochodzącego ze staréj Emiliów rodziny. Nienawidzący go po cichu, oddawna, zausznik zaskarżył o alluzyą w wierszach tragedyi Agamemnon, zastosowanych do Tyberyusza, i jak za zbrodnię poczytano historykowi, który ważył się Brutusa i Cassyusza nazwać ostatniemi z Rzymian; tak Scaura obwiniono, że śmiał wyrzec, iż Agamemnowe szaleństwo znosić było potrzeba (*imperantis stultitiam*). Nie śmiało jednak publicznie wniesć tak błahego oskarżenia i wolano mu zarzucić stosunki jego z Livillą... Śmierć Scaura była piękną i odważną; żona Sextia i on, sami sobie odebrali życie.

Choć wszystko jeszcze drżało przed Cezarem, zdawała jednak zuchwałe niekiedy odzywały się słowa. W Germanii wyższej dowodził legionami *Getulicus*, którego wojsko kochało; obwiniono go o stosunki z Sejanem, a odpowiedź śmiała dowiodła, że on jeden nie uląkł się tego, którego wola była prawem dla wszystkich. Odpisał Tyberyuszowi, że łącząc się z Sejanem mógł się na człowieku omylić, ale tak samo przecie oszukał się na nim i Cezar — dodał, że pozostanie mu wiernym dopóki go nie wyzwą, a odwołanie się do legij uważać będzie za wyzwanie. — Zostawiam ci państwo — zakończył posłanie — ty mi zostaw Germaniję...

Śmiała odpowiedź nie tylko go nie zgubiła, ale miała mu zjednać łaskę Tyberyusza, który obra-

chowal zapewne, że ten co tyle powiedział, nie już w sobie ukrywać nie mógł.

Sprawa Partów odciągnęła nieco uwagę i wzrok od wewnętrznych dziejów i Rzymu. Z niej widać tylko, że nierycerska Tyberyusza ręka przestała ciężać na oddalonych ludach i państwo rozprzegało się powoli. Nie było na ratunek Germanika...

Tyberyusz, wycierpiawsy od Getulica słowa zachwale, pozwolił na siebie w Senacie czytać najostrzejsze wyrzuty w testamencie Triona. Umieirający, nie spodziewając się już przebaczenia, pismo przedśmiertne napelnił wyrzutami przeciwko Macronowi i wyzwolencom Cezara, nie szczędząc i jego samego, niedołężnego starca, dobrowolnego wygnańca ze strachu... 1).

Tyberyusz, szydząc sobie z tych obelg i żartując z ich głośności, kazał je publicznie w Senacie przeczytać.

Jednakże sam uczuł wreszcie, że ta ucieczka i zbyt długie przebywanie w Caprei, jest jakby słabości i bojaźni dowodem; począł więc czynić przygotowania jakby na powrót do Rzymu...

Macron zapewne, który codzien więcej nad nim zyskiwał przewagi, doradzić musiał ten krok, zamierzając z niego korzystać.

Tymczasem nie ustawały prześladowania: po

1) Tacyt.

Trionie, Martianus sam sobie skrócić musiał życie, skazany Tatius, Trebellianus i Paconianus, zginęli z ręki własnej i kata; Lucius Aruscus, Vibulenus Agrippa biorą truciznę wśród Senatu; Cajus Galba, dwóch Blesusów padają ofiarą, a z nimi niezliczona moc innych, mniej znanych, których imion, nie tak głośnych, zapomniano zapisać.

Tak strachem panicznym uspokoiwszy Rzym na przyjęcie pana, Cezar rozkazał przygotowywać okręta i puścił się ku Puteolom, wiodąc za sobą nieodstępного Macrona, Cajusa i cały orszak zwykłej dworni, wśród której nie było już jednego, śmielęj głowę i głos podnieść mogącego, człowieka, tylko przerażona cizba i pochlebcy, wyglądający śmierci pana, aby z niej dla siebie skorzystać. Smutna to była podróż, a ci, co zdala widzieli wysiadającego na ląd, ostawionego zewsząd strażami, Tyberyusza, porównywali mimowolnie ostatnie chwile jego, otoczone strachem, do wesołej podróży Augusta, której towarzyszyły spokój i swoboda.

Wlokąc za sobą znużonych ulubieńców, Cezar opuścił wyspę i po latach kilku znowu okiem chłodnym powitał Campaniją szczęśliwą, zbliżając się prawie pod same mury Rzymu. Zdala widział już gmachy swęj stolicy i zabrakło mu odwagi, by Pommerium przekroczyć; przepowiednia węża zjedzonego przez mrówki jeszcze napełniała go strachem... spójrzył na Rzym i wrócił nazad ku brzegom morza.

Helios z innymi znajdował się w orszaku panna; razem z Chariclesem i Thrasyblem wysiadł na ląd w Puteolach; usilną prośbą ledwie wymógł na Macronie pozwolenie udania się na czas krótki do Rzymu, dla zobaczenia rodziny, ale z rozkazem jak najprędzszego powrotu. Macron chciał go mieć pod ręką, myśląc użyć w potrzebie, lub podejrzenie na niego odwrócić, jeśli by nie udało się co zamierzał... Juda pociągnął także ze starcem, nie go już bowiem nie zatrzymywało na wyspie, prócz popiołów żony i brata, którym ręka Cezara położyła kamień grobowy z tajemniczym napisem.

Ale przybywszy do Puteolów, Juda już nie chciał powracać do Rzymu, gdzie nie zostawił nikogo; boleśnie mu było oddalać się od miejsc, w których wiele i długo przecierpiał; wstrzymał się tu, szukając, kędyby osiadł na wybrzeżu, w obcym zupełnie miejscu, bez wspomnień bolesnych, a jednak nieopodal od kąta, w którym pogrzebał co ukochał.

Wysiadłszy na ląd w porcie razem ze starcem, zwolna drogą ku Rzymowi zwracającym swe kroki, pożegnawszy go, Juda smutny udał się ku Neapolis. Była tam, jak po innych znaczniejszych miastach rzymskich, mała kolonija izraelska, żyjąca w spokoju z rzemiosł, handlu i wypożyczania pieniędzy. Ku niej on dążył, spodziewając się tam znaleźć przytułek i jakiś sposób do życia, które

dźwigał jako brzemie tylko konieczne, nie mogąc z ramion go zrzucić. Chciał zdala patrzeć na Capreę modlić się i pracować.

Kraj to był naówczas zanadto dla osierociałego człowieka wesoły i pusty, wśród rzymskiego zewsząd świata noszący jeszcze imie wielkiej Grecyi i obyczajem helleńskim przesiąkły. Na ten brzeg szczęśliwy uciekało z Rzymu co chciało wypoczynku, ukrycia przed natrętném okiem, co w samej stolicy krzychało przeciw Grekom, a tu najłatwiejszém i najlepszém znajdowało przyjęcie ich stroju, mowy i obyczaju. Najrozpieszczeni ówczesni sybaryci, bogacze i próżniacy, tu spędzali miesiące, lata, żywoty całe, wśród zabawy, dumania, uczt, przedadzek, śpiewów i rozrywek filozoficznych.

Filozofja była dla nich taką jak inne zabawką, przysmakiem jak Lucryńskie ostrygi. Tu mieli swe wille Octavius, Apicius, Lucullus, Cicero; tu *oblivia vitae* (zapomnienie życia) przychodziły im najłatwiej, a gdy nieprzemóżone *taedium vitae*, choroba wyżytych, ucisnęła bezsilnego, pożegnawszy przyjaciół ucztą wspaniałą, wyzwoliwszy niewolników, rozdarowawszy majątność, kończył znękany rozkoszą starzec samobójstwem wesołym, rozprawiając o nicości.

Był to kraj rozkoszy i zbytków, a tam, gdzie one mieszkanie założą, przychodzą zawsze ich służgi, żywi się służba z okruchów, korzysta z roz-

rzutności gmin spodlony. I Neapolis też zamieszkanym był w większej części przez Greków, posługaczy życia rozwiązłego, przez histryonów, mimów, tancerzy, skoczków, którzy naówczas tak wielkiej używali wziętości, przez piękne a płocze niewiasty, przez kupców fraszek i cacek pańskich, przez to wszystko co się zwykle gromadzi do koła próżniactwa i przepychu... Do portu Puteolańskiego przychodziły nieustannie ze Wschodu całe ładunki towarów, na które tu odbył był największy—niewolników, uczonych i kształconych ku posłudze rozmaitej, skarbów Wschodu, wyrobów Grecyi, płodów ziem dalekich i rąk ludzkich, pracujących dla Rzymu i wybranych. Począwszy od stworzeń, których języki tylko i mozgi szły na stół patrycyuszów od owoców i chleba, do ludzkiego mięsa, przeznaczonego na rzeź w cyrkach lub pokaz w amfiteatrach, do Nilowego piasku i afrykańskich marmurów, wieziono tu wszystko, czego najwytworniejsza i rozdziwaczona cywilizacya pogan, w gorączkowych swych marzeniach zapragnąć mogła.

Zepsucie obyczajów, jawne już naówczas w Rzymie, jeszcze się wielce jednak różniło od tutejszego; tam było ono codziennie widoczniejsze, wszakże poważne nawet w upodleniu, togą okryte, osłonięte wstydem jakimś; tu już togę zrzucało, przywdziewało kusy strój grecki i sandały, nie wstydało dnia jasnego, nie lękało oka i nagany

Cenzora i Edilów. W obyczajach panowała najzupełniejsza swoboda; chóry niewiast w strojach bacchantek przebiegały nieraz ulice Neapolis, młodzież patrycyatu gnała za niemi, poprzebierana za mimów i woźnice, starzy senatorowie, w zielonych wieńcach bluszczowych, z czaszami w ręku, siadali w swych ogrodach nad gościńcem i z wysokich *perguli* dawali na widowisko, nie wstydząc się rozpusty i zniedołężnienia. Uczty tutejsze drożej jeszcze kosztowały niż owe rzymskie, przeciwko którym bezsilne prawo już był August zmuszony stanować. Tu nikt nie przyśzedł wyrzucać starcom ich szat jedwabnych 1), ani ceny ryb na stół kupionych, ani tego, czém swe ulubione karmili mureny. Płacono po siedm tysięcy sestercyj za barwę, niezliczone summy za stare naczynia korynckie, za wazy murcheńskie, a histrioni, bawiący znudzonych, wyżej od urzędników opłacani byli. Ale nikt wglądać w to nie miał prawa, ani się o to upomnieć.

Wieczorem wiosennym, gdy od Surrentum po-
cząwszy, brzegiem tych zaczarowanych morza kra-
jów, w Stabii, Herculanium, Retinie, Portyku, obu
Parthenopowych miastach i willach od Pausylippu
do Misene, zapalono światła tysiące, zastawiono
stoły i triclinia, gdy wśród rozkwitłych drzew po-

1) Vestis serica. Tacyt. Annal. II. 33.

marańcowych i cytrynowych, wśród krzaków róż i lilij, zasiedli biesiadnicy do uczty, a niewolnicy dobrani poczęli grać na fletach i nucić pieśni — zdala patrząc, rzekłbyś Elizejskie pola, takim weselem tchnęło wszystko, tak jednym uśmiechem jaśniał cały ten swiatek szczęśliwej Campanii.

Nie trzeba tylko było wpatrywać się głębiej co kryły te szaty, co znaczyły śpiewy, jak się kończyły Lukullowskie uczty, co się działo w gyneciach, lupanarach i ganeach, w przysłonionych izbach tych domów i zapartych ergastulach. Jednego dnia wychodziły z nich śpiewy i pijani biesiadnicy w synthezach wonnościami zlanych, drugiego trupy na stosy, poprzebijane własną ręką ciała, pomordowane niewiasty, lub na śmierć skazani niewolnicy za potłuczone naczynie.

Korzystano z godziny, jutra nie było dla nikogo — nazajutrz przyjaciel co leżał z tobą na jednym łożu, oskarżał cię żeś ręką z pierścieniem i wizerunkiem Cezara sięgnął po nieczyste naczynie, żeś nie płakał gdy wszyscy łyzy leli, lub żałował tego po kim boleć nie było wolno, żeś mówił, żeś pisał, żeś myślał, że pomyśleć mogłeś, i nim Senatus cię skazał a kat ściął i rzucił na Gemonije, musiałeś, pożegnawszy przyjaciół przy uczcie, przebić się sam, krew wylać, wziąć truciznę aby mieć stos uczciwy, urnę w rodzinném *columbarium*, i dzieciom majątek zostawić.

Z uczuciem głębokiego smutku w duszy Juda szedł w ten kraj zaczarowany, którego wesele uragało się jego znękaniu — ale droga wiodła mimo tych willi i ogrodów; a gościniec pełen był wozów wytwornych, niosących od morza ku miastu i z miasta ku willom pańskim piękne greckie Bacchisy, Glycery i Aglae, i woźniców otoczonych dworami swych wielbicieli i flecistów Lidyjskich i mirmillonów zwycięzców i zręcznych desultorów (kuglarzy) i zmieszanych z niemi dziedziców największych imion Rzymu, spodlonych, zniewieściałych, zgrzybiałych. — Dzień był wiosenny, a smutek Judy zwiększał ten obraz niezrównanego wdzięku, nękający go swém weselem, — ta uczta powszechna na którą on głodny i ubogi spoglądał.

Usuwając się z gościnnca pokornie ustąpił mijającym go zwycięzcom owym, oszalałej starości i rozpuszcie, przeszedł czarną otchłań Pausylippu pełną zgielku i wrzawy i znalazł się na wybrzeżu Neapolitańskim, otoczony ciągle zwiększającym się tłumem. — Tu się już poczynały przedmieścia greckiego miasta, którego świątynie liczne bieleły wśród sadów na górach przyległych.

Nędzny przechodzień, w wytartej sukni z kijem pielgrzymim, dziwnie się tu wydawał wśród wspańiałych orszaków mijających się ciągle, połyskujących od złota, świecących jedwabiami, pysznia-

cych się purpurą i fioletem, strojnych na pokaz i podziwienie tłumu.

Tam niesiony w krześle posuwał się starzec zwiędły, udający jeszcze młodego zalotnika, z malowaną twarzą i łysiną okrytą wieńcami, zwracając oczy zapiekle ku pięknej Greczynce, leżącej na wozie białymi końmi ciągnionym... Na posługi jego spieszył cały tłum różnego rodzaju niewolników, wyrostków i starców, uczonych i niemych, narzędzi fantazyi i kaprysu. Jeden z nich niósł mu w głowie całego Homera, aby wiersz w potrzebie podszeptać, drugi zaś mógł filozofować, inny śpiewał... innego włos tylko miękki i wonny służył panu po uczcie do otarcia stłuszczonych palców.

Za piękną Greczynką, która jechała znużona do kąpieli, gryząc w ustach zwiędły kwiatek, biegli konno na desultorskich rumakach, młodzi synowie rycerzy, upojeni wonią, winem i śpiewami, śpiesząc do Ganeów pompejańskich, na miłosne schadzki z ulubienicami... Dalej bogaci wyzwolenicy wczoraj jeszcze puszczeni na swobodę, zbytkiem kupionym najostatniejszym zaprzędaniem człowieczeństwa urągali Senatorom zubożałym i na łasce lichwiarzy goniącym ostatkiem... Koło nich także wił się ów tłum niewolników, z którego sami wyszli niedawno.

Sławny autor... choć *Sannio* tylko (błazen) jechał z Neapolis do Bait, a za wozem jego, na któ-

rym jak zwycięzca się rozpierać, ciągnął się długi orszak gawiedzi, przyjaciół, czcicieli, próżniaków i ciekawych... Przywdział też na ten pochód tryumfalny suknię pstrą, całą w meandry i palmy szytą, i wieńca sobie nie żałował, a młody chłopak, którego obejmował za szyję, dopuściwszy do czci podróżowania z sobą, choć syn rycerza, miał się za szczęśliwego, że dlań i na niego oczy zwracano. Pieścił go *Sannio*, a dzieciak aż się rumienił z radości.

Lecz któż opiszę niezliczoną rozmaitość nastroczających się tu obrazów: wszystko szalało wrzało, kipiało, — a wśród zgiewku z uciętą nogą starzec żebrak wołał politowania napróżno. Juda zbliżył się do niego, chcąc o drogę do miasta rozpytać, nieznał bowiem Neapolis, a miał od Heliosa polecające słowo do bogatego Izraelity... i zaczął od dania maleńkiej jałmużny.

Ubogi przypatrzył mu się uważnie, ale nie kwapił z odpowiedzią; patrzył na bogatszych, ku nim zwracając swe krzyki, błagające litości.

— Biedaku, — rzekł Juda, próżno ci gardło zasycha! czyż nie wiesz, że tacy jak oni, co nigdy nie doznali sami nędzy, uzalić się jej niepotrafią?

— Myślisz może, żem kapłan Cybeli, i sam dla siebie jałmużny proszę, — rzekł po chwili kaleka, uśmiechając się gorzko — przykazano mi żebrąć gdym

nogę postradał, podyktowano słowa; służyć i pełnić co mi zlecono.

— Jakto? — zapytał Juda — któż ty jesteś człowiecze?

— Szczęściem nikogo nie widać, mam czas ci odpowiedzieć — odparł żebrak po cichu. — Jeden z tutejszych mieszczan, bogaty Formion, znalazł mnie niemowlęciem wyrzuconego na drodze między Retiną a Pompejanum... Wielki to handlarz, Meherle, pan nasz... i wie co z człowieka zrobić można... Wziął mnie i wychować kazał; robiłem mu w polu, byłem dyspensatorem... potem wóz mi nogę przełamał... a Formion i tak użytek zrobić potrafił z kaleki... Żebnę dla niego na gościńcu, a co uzbieram odnoszę mu wiernie, bom niewolnik... I nie mnie ma jednego, jest nas takich dziesięciu...

O! Farmion dorobi się majątku! pożycza grosz na ziemię, na domy, trzyma lupanar w Retynie i tabernę nad morzem; ma się dobrze a żyje ubogo... I nie darowałby gdyby się dowiedział, że gębie folgujemy... a odpoczywamy sobie...

I począł znów krzyczeć ubogi, wzywając na imie Bogów przechodniów, aby się nad jego nędzą ulitowali.

Juda wzdrygnął się na ten widok nieszczęśliwego najemnika, który z cynicznym uśmiechem wskazał mu drogę, i sparty o mur znów rękę zeschłą wyciągnął.

Szedł dalej zadumany, a choć suknie miał niepozorne, gdy się zbliżył do miasta, jeśli go jedni chwytać ukazując gospody i stręcząc spoczynek wygodny, drudzy rozpytywać czyliby służby nie życzył i nająć się nie chciał widząc ramiona barczyste i szaty odarte.

Wyrwał się im jak mógł, unikając bicia niewolników i różeg liktorów, poprzedzających urzędników, i wozów niewiast, przejeżdżających się w wielkim pędzie po ulicach, dla pokazania swych wdzięków, i kłótni gminu, który wychodził z Ganeów pijany, gotów do walki.

Nikt mu nie powiedział drogi, aż przypadkiem natrafił na Izraelitę, który go z mowy i twarzy poznał za brata. Spójrzeli na się, przemówili słowy tajemniczemi, a choć bogatszy, co widać było po stroju i na wpół poganin, Hebrejczyk podjął się Judzie pokazać dom, którego szukał.

Na górze, nad miastem, stał zamknięty murem wśród sadu, dom Hananiasa, do którego Helios dał mu pismo polecające.

Nawet na ludzi obcych, obyczaju różnego i życia, rozwiążyły Neapolis ówczesny wywierał wpływ wielki choć powolny—mimowolnie tracili oni charakter, który ich wyróżniał, ścięrały się ostrzejsze jego rysy, zastosowywali do ogółu, uginali i łamali pod nieustannym przykładu ciężarem. Hananias był bogaty, a ze złotem do domu jego we-

szły zwyczaje greckie, pogańska ogląda owego wieku i obojętność i trocha niewiary. Hebrejczyk dawno był przestał ścisłego zachowywania zakonu choć się go jeszcze nie zaparł, nie nosił nic coby go od Greków i Rzymian różniło, starał się, nawet za jednego z tutejszych uchodzić. Dom miał na sposób krajowy urządzony, niewolników przyuczonych obrzędem zwykłym mu służyć i kochał się tak w pięknych naczyniach, w pięknych szatach i malowaniach i sprzętach jakby wychowaniec Grecyi.

Atrium jego domu spoczywało na marmurowych kolumnach, biła w niém fontanna wśród impluvium, które złożone napełniały rybki, a choć w głębi brakło ołtarza Bogów domowych, zastępowały go drzwi, prawie takiego kształtu jak świątynka Larów gdzieindziej, i nie dziwiło to nikogo, bo penaty częściej już mieszkaly przy kuchni niżeli na poczesnym miejscu domu 1). Rozporządzenie całej zajmowanej przez Hananiasa *insula*, przepych posadzek, mozaiką najrozmaitszą wysłanych, kobierców i zasłon był tak wielki jak w domach patrycyuszów; naczynia kosztowne, stoły i siedzenia kością słoniową sadzone, ozdobne cathedry, wspaniałe *aedicula* i *pyxisy* świadczyły, że majątek Hananiasa pozwalał mu wszelkiego zbytku, a wiara od żadnego nie wstrzymywała.

1) W wielu domach Pompei.

Wiele też z tych rzeczy cennych kupiec pobrał na targu w dobrą chwilę, gdy nabywców brakło, lub w długach za bezcen otrzymał

Hananiaś nie był złym człowiekiem, ale nie miał serca; rachuba surowa, sprawiedliwość ścisła i bezlitośna zastępowały dlań uczucie, którego nie znał. Tych dwojga dosyć było na zrobienie majątku i nienawiści u ludzi. Oddaj coś winien, powtarzał choćby umierającemu — i z umarłego kazał zdierać szatę ostatnią, jeżeli mu się nie wypłacił za życia. Prawda, że ściśle też spełniał obowiązki swoje, ale tyle tylko ile wymagało po nim prawo, zwyczaj lub zobowiązanie, nie mniej, nie więcej; miał dla ubogich przeznaczoną ilość jałmużny, owoców, chleba którą rozdawał, gdy ta się wyczerpała — konanie denara by na nim nie wymogło...

Litość uważał za nierozsądną słabość, a dzieła jej za owoce płochości, które nigdy dojrzeć nie mogą, miłosierdziem nawet kierował u niego rozum, a serce najmniejszego w niem udziału nie miało. Na nieprawym czynie nikt Hananiasa nie schwytał, a choć to co prawnie robił bolało często, nie zważał wcale, okuwszy raz wolę w żelazną formę legalności niezbląganą jak Fatum.

Znano go z rzetelności i surowości najwyższej; obawiali się wszyscy, nikt nie kochał.

Gdy do drzwi jego zapukał Juda, długą chwilę wyczekać musiał nim mu się otworzyły, wyjrzał

ostiarius, i dostrzegłszy odartego człowieka z kartą w ręku, ledwie nań chciał rzucić okiem.

— Hananias syn Daniela tu mieszka?— zapytał pozdrawiając go Juda.

— Tu, ale go w domu nie ma, wyszedł na Augustale... Alboż nie wiecie, że to jego spraw godzina? ma dosyć ich z dłużnikami i nie mało się upoci nim grosz swój odzyska...

— Kiedy powróci?

— O! któż to wie! zaraz może, może dopiero wieczorem na spoczynek.

— Wpuście mnie bym nań poczekał pod portykiem.

— Co za jeden jesteś?

— Juda syn Abrahama... list niosę od Heliosa z Rzymu.

— Tak jest! a no, to wnijdź i usiądź przy drzwiach atrium a spocznij... ale nie rychło się doczekasz Hananiasa... i gdy przyjdzie przez *Posticum* 1), możecie nań długo tam czekać, nim pismo oddacie...

Wpuszczony Juda przez korytarz mimo celi odźwiernego, wszedł do atrium, rzucił swój kij i tłumoczek i usiadł na ławie, z potu ocierając czoło, a *atriensis* 2) pilnujący téj części domu, znowu go

1) Tylne wejście domu.

2) Sługa stróż atrium.

jął badać i rozpytywać, nim mu tu zostać dozwolił. Potrzeba było przejść przez różgi wejrzeń, pytań i domysłów niewolników, aby u drzwi pozostać.

Nie długo jednak czekał tu przybyły, gdyż w chwilę potem hałas dał się słyszeć u drzwi głównych i Hananias wszedł w towarzystwie kilku osób, głośnie prowadzących rozmowę, do głębi domu.

Wiodły ich za nim sprawy różne: byli to wyzwolenicy podrujnowani, na domy swe i ziemie potrzebujący odeń pieniędzy; stary mąż konsularny, któremu na ostatnią ucztę niedostawało grosza, zużyty i blady; niewiasta jakaś płacząca z klejnotami w rękę i smutnych kilka postaci klientów, błagających zasiłku lub litości.

Żyd w pośród tych natrętów proszący go łzami, słowy i wymownemi ruchy stał chłodny i nieporuszony. Był to mężczyzna nie młody już, siwiejącego włosa, ale twarzy pięknej i rumianej, bo żadnem nie wyniszczonej uczuciem silniejszém; strój nie różnił go od innych Rzymian, tylko biała czapka na głowie w kształcie zawoju, jaką naówczas nosili żydzi w Rzymie, odznaczała jego pochodzenie.

U wnijscia kategoryczną odpowiedzią pożegnał zebrzących, którzy od Augustale i portyków, aż tu za nim gonili.

— Cajus Sextus, — odezwał się starzec... — grosz jest ciężki, dać go nie mogę, bo nie mam,

wszystkoście mi już zabrali, a nikt nie oddać nie chce; codzień trudnię o złoto, i wierzcie mi, że chciałbym wam usłużyć a nie mogę... darujcie... Ale czemużbyście nie pozbyli się niepotrzebnę wam *Insuli* na Awentynie? Wszak nie mieszkacie tam nigdy? Dalbym wam kupca na te domy...

Starzec mruknął coś po cichu, rzucił nań wzrokiem zagniewanym i klnąc zawrócił się nazad. Hananias odezwał się do kobiety.

Servia Holconia... klejnotów tych nie mogę kupić, drogie są dla mnie... Wyżej nad tysiąc sestercey nie dalbym za te fraszki, które mi bezpożytecznie leżeć będą... Wiem, że chcecie kupić sobie flecistę, który się wam podoba, a stary Rufo żąda zań dwa tysiące, lecz za prawdę oszukać się dobrowolnie nie mogę... dla waszych łez i prośby.

I zwracając się do innego, rzekł powoli:

— Tranquillusowi dopłacam do wartości jego ziemi oszacowanę przy zastawie... możecież pragnąć więcej? Wszak taka umowa? wszak dzień i godzina minęły? jestem w prawie zajęcia posiadłości, nikt mi nie zarzucić nie może.

Cajus Sextus odszedł, dając na pastwę Eumenidom nieubłaganego człowieka.

Holcoria płakała i targała go za suknie, ale łzy na nim nie robiły wrażenia, Tranquillinus groźnie nań spoglądając mruczał — Hananias stał niewzruszony...

— Ziemi mojej nie wezmiesz — odezwał się po chwili ostatni — stoi na granicy posąg Cezara, który mnie obroni; pozbawionyby był czci, gdybyś ty objął tę posiadłość, bo w bóstwa cesarów wierzyć nie chcecie.

Hananas pobladł, ale nic nie odpowiedział z razu. Od wszystkiego się wówczas broniono obrażami Cezarów, od więzienia, sądu, wyroku, uderzeń, i najwięksi łotrowie opatrywali się w tę tarczę, której nikt, obawiając się prawa *lesae majestatis* tknąć nie śmiał....

— Odniosą ci posąg Cezara ojca ojczyzny — rzekł po chwili i postawią w twoim domu, — aniś go ty sprzedawał, anim ja mógł kupić... ale ziemia jest moją.

Powoli wszyscy się porozchodzili. Ostarius drzwi za nimi zaryglował, a Hananas wszedł pod kolumnadę atrium, i wzrok jego z widocznym wstrętem znuzonego niemiłemi sprawy człowieka padł na siedzącego w cieniu Jude. — Baczniejsze wejrzenie dało mu poznać zaraz pochodzenie przychodnia, i cierpliwie czekając co mu powie, stanął przed nim.

Przychodzień schylił się pokornie i podał pismo Heliosa.

— Cóż ten pisze? — mruknął Hananas roztagonionym wzrokiem mierząc zwitek — i czego przychodzisz?

— Helios z Rzymu do ciebie mnie przysyła...

— Czego żądasz ?

Juda w kilku słowach prostych opowiedział mu całą nędzę swoją.

Bogacz słuchał powieści zimno ; w owe czasy nie już nie dziwiło , prócz szczęścia i długich lat spokoju. Śmierć starca Pisona umierającego w łóżku była dziwowiskiem , o którym rozповідаł sobie Rzym cały , wszelka inna dola najpospolitszą rzeczą ; ci nawet , co mieli szczęście biesiadować z Cezarem , gdy wyrok śmierci z triclinium ich wyciągnął , jak Asinius Galla , bez szemrania , otarłszy usta , szli na śmierć nie wyrzekając na losy.

Dziwiono się cnocie takiej jak Geminiusa Rufa , który przebijając się mężnie zawołał : — Powiedzcie senatowi że tak umiera Rzymianin ! — ale nie zwracano oczu nawet na wszelaką podłość , na najstraszliwszą dolę , i gdy u trupa Sabinusa rzuconego na Gemonije , jeden wierny pies tylko pozostał 1) , ledwie czyje serce pocziwą istotę pojęło.

Los też Judy , Rubena i Racheli ledwie nieznaczłą zmarszczkę na gładkie czoło Hananiasa wywołał.

— Coż poczniesz z sobą ? — spytał przeczytawszy pismo Heliosa — chciałbym staremu powinowatemu zadość uczynić , ale mam moich ubogich i sam nie jestem bogaty. -- Co dla ciebie uczynić mogę ?

1) Dio Cassius.

— Daj mi pracę! rzekł Juda, więcej nie żądam.

— Sądzę żeś uczciwy i wierny — odparł po chwili Hananias, wpatrując się w niego bacznie.... Mogę cię użyć wreszcie. Wczoraj dopiero po jednym z Sejanów, który w czas sobie życie odebrał, objąłem domostwo w długu i kilku niewolników przy Capuańskiej bramie, nie mam tam dotąd dozórce....

A choć w ergastulum ledwie coś niedołągów głodem zamorzonym dysze, i nad temi oko mieć potrzeba, ażeby w góry nie poszli.... Mogłbym cię tam osadzić dozórce; dom opuszczony, niewolnicy nie wiele warci, ale i to mnie grosz kosztuje...

Westchnął jakby od ciężkiego przypomnienia.

— Straciłem na nich kilka tysięcy sestercyj! — rzekł jakby do siebie — jeszcze niedołągów karmić potrzeba; a kupić ich nikt nie zechce, bo co był lepszego, sprzedał niecnota.

— Zrobię co mi każecie! — odezwał się Juda.

— Idź tam, chleb mieć będziesz, — dodał stary — później zobaczymy do czegoś zdolny.

I klasnął w ręce na atriensa, rozkazawszy przywołać starszego nad niewolnikami, aby dał sługę i zaprowadzić polecił Judę do domu przy Capuańskiej bramie.

Począł głową skinawszy odszedł, zapowiadając, że później sam przybędzie dla obejrzenia posiadłości.

Juda, prowadzony przez mileżącego niewolnika, ubocznemi drożynami po za miastem, dostał się wreszcie do miejsca, którego dozorcą tak niespodzianie został mianowany. — Był to plac dosyć znaczny i budowa obszerna, ale od lat wielu pobytu pana w Rzymie opuszczona; niegdyś wspaniała willa, dziś pustka, której piękne drzewa stare świadczyły tylko o staranném dawniej utrzymaniu....

Drzwi jęj główne wychodziły na ulicę, i obite były blachami bronzowemi, które rdza poprzeglądała w wielu miejscach; bogowie opiekuńczy Janus, Forculus (Podwójnik), Limentinus (Próżnik), Cardea (Zawiasowa bogini), nie ustrzegły ich od zniszczenia, bo w wąziem przejściu, wiodącem do *Cavaedium* (głównego podwórca) 1) niegdyś przez psy i stróża pilnowanego, dziś tylko obite na ścianie malowanie psa na łańcuchu wyobrażające, z napisem *cave canem*, jakby na śmiech zostało. Rosły tu trawy blade i przechadzały się wężę z podniesionemi głowami. Napis *Have* (Salve), wyłożony mozaiką na drugim progu wygnieciony był, śmieciem zarzucony i nieznaczny, — nie było komu witać, i kogo....

Samo podwórze, *atrium* stare znać, wzniesione było dawnym obyczajem, (*ex more veterum*) bez kolumn, spartym na belkach tylko otoczone daszkiem,

1) Z grecka zwano je *Diathyrum*.

którego dachówki w wielu miejscach opadłe leżały na ziemi. Ziela rozścielały się w niém wszędzie, kryjąc ślady jakie po sobie zostawiło umyślne i powolne zniszczenie. Drzwi, które dzieliły *atrium* od *tublinum*, równie opuszczonego jak dom cały, ledwie się jeszcze trzymały na zawiasach. Ztąd już dawno obrazy przodków, drogie naczynia, stoły kosztowne, przeniesione gdzieś zostały i szczątki tylko pokruszonych sprzętów dowodziły, że izba ta niegdyś z całego domostwa była najpiękniejsza. Ze ścian powydzierano marmuru płyty, które je ubierały, posadzka z lithostrotu połupana i spękana, zasuta kurzem i błotem, w wielu miejscach w czarną przemieniła się ziemię...

Daliej w głębi izby sypialne, *cubacula*, i wewnętrzny podwórzec, nowszej już budowy, na kolumnach do pół czerwono malowanych oparty, — również były opuszczone i zarosłe. Przed kolumnami na podstawach stojące jeszcze gdzie niegdzie posągi, nie miały rąk i głów, a inne obalone na ziemię, rozpadły się za drobne okruchy. *Piscina* wyschła od dawna... a woda ustępując zostawiła w niej tylko brudy, które ją długo okrywały...

Wewnątrz obszernego domostwa też samą ruinę i pustki znalazł. Juda z śladami zaledwie dawnego przepychu. Zasłony ode drzwi poodrywane były lub szmatami wisiały na pordzewiałych kółkach, łaźnia obaliła się wewnątrz, wschody wiodące na pergule

osypały w stos gruzów, a *viridarium* zarosło bujnymi krzewy, splątanymi jak gąszcz leśna. . . .

Przeszli ruinę całą i nie spotkali w niej człowieka, nie usłyszeli ludzkiego głosu, nie znaleźli śladu zamieszkania.

Nareszcie bijąc się po tych gruzach i wołając, dokrzyczeli się ogorzałego staruszka, z piętnem niewoli wypaloném na twarzy, który z kluczami naprzeciw nich się wywłókł i padł zobaczywszy Judę, przeczuwając w nim zwierchnika.

Był to zgrzybiały w pracy i niewoli biedak, tak wychudzony i blady, że litość brała patrząc na nędzę jego; dla niemocy znać do pracy postanowiono go starszym nad innemi i powierzono klucze *ergastulum*, które od strony ogrodu mieściło się w podziemnym lochu.

Trzeba było niewolników obejrzyć do czegoby się przydać mogli, i Juda zszedł po kamiennych wschodach do zatęchłej od wilgoci izby sklepionój; która była ich mieszkaniem. Czarne to było więzienie: jedno okno kraciaste u góry dawało doń trochę światła, podłogę stanowił kamień przesiąkły wilgocią; stół zastępowała bryła cegły pokrytej tynkiem obitym, ławy podobne, trochę słomy potrzesione, otaczały ściany; kilka rozbitych amfor i glinianych skorup całym były sprzętem tych nieszczęśliwych, skutych łańcuchami i leżących na ziemi w jakimś pół-snie choroby, znużenia i głodu. 9

Na odgłos kroków i schrzypłe wołanie staruszka klucznika, porwali się niewolnicy, zabrzęczały łańcuchy, czterech ludzi powstało jęcząc z ziemi. Ciała tych nieszczęśliwych wynędzniałe i wychudłe, oczy zaczerwienione i wpadłe, ręce spracowane, namulane od kajdan nogi, popiętnowane twarze, łachmany odartych tunik, ledwie pokrywające nagość, wzbudziłyby litość w najdzikszym.

Wszyscy wstawszy, popadali zaraz na twarz przed przybyłym, a stary Tyro — tak zwano klucznika — jął ich pokazywać przybyłemu, z zimną krwią zastarzałego w niewoli i upodleniu człowieka.

— Oto ten — rzekł wskazując czarnego i barczystego ale ranami okrytego człowieka, którego pochodzenie wschodnie zdradzały rysy twarzy i dzikie a dumne wejrzenie — jeszczeby się na coś przydał: może, ale pracować nie chce; potrzebuje nieustannego smagania, bo go już i głodem darmośmy moryli.

Niewolnik spójrzył na starca jakby mowę jego rozumiał, i poprawił czapki kształtem przypominającej frygijską, potem stęknął głosem ogromnym, aż Juda wzdrygnął się, usłyszawszy ten bolesny jęk jego piersi.

— Jest to Parth — dodał stary — z tych ludzi, wiadomo, rzadko się uda co dobrego, ale ręczyska silne. Mówiłem ja dawnemu panu, żeby go nie kupował, ale niecny mango (zręczny handlarz) skusił

go szerokiemi ramiony, któremi go chwalił. A w ergastulu to zamiera, przywykłe do powietrza i swobody....

Ten drugi — mówił wskazując człowieka, którego jedna ręka po pięść była ucięta — pochodzi z lasów Germanii; na placu boju musiano mu pięść urzezać tak się bronił wściekle.... Jeszczeby go do młyna użyć można, ale nłyn się nasz zepsuł i nie było go za co naprawić.

Człek ten stary i siwy, był olbrzymiego wzrostu i rysów twarzy nienitych, warg wielkich, niekształtnego nosa, cery białej poplamionej żółto i wejżenia osłupiałego, ale chwilami zbielełe jego oczy, z pod brwi nawisłej i zarosłej strzelały nienawiścią dziką i żądzą zemsty okrutną.... Grzbiet miał pochylony, a ciało z za szmat odartych wyglądało włosem okryte i błotem zwalane ... Chlamyda z niego padała kawałami, gdzie niegdzie wicią poczepiana. Wzrok, który rzucił na Judę, przeszył go głęboko: uczuł w nim nieprzyjaciela.

— Ten już do niczego — mówił dalej Tyro ukazując trzeciego, bladego ale jeszcze młodego człowieka, który leżał na słomie wstać niechcąc, czy też niemogąc — to dzikie jakieś stworzenie od Gothońskich brzegów, Swew może, ale go o nie dopytać nie można. Mrze głodem dobrowolnie, języka jego nikt nie rozumie, on nieczyjego. Sprzedać go chyba, to jaki *mango*, poczerwieniwszy i odpasł-

szy, a wystawiwszy na *catastę* (rusztowanie, z którego pokazywano niewolników kupującym), może sobie z nim da rady.

W Judzie największą może litość wzbudził ten zamysłony i obojętny niewolnik, którego nawet bicz Tyrona, sine pręgi zostawujący na plecach, do wstania nie zmusił. Spójrzał tylko na kata obojętnie i leżał jak wprzód, nie ruszywszy się z miejsca, zdając się wyzywać razów. Wyniszczenie nadzwyczajne. Znać było na tém ciele, żółkłem jak roślina, która nie widzi słońca; twarz malowała nieprzewycięzoną rozpacz, przeszłą już w ołowiane odrętwienie.

— Gdyby był zdrow, jeszczeby i bardzo mógł w ogrodzie pracować, bo to młode i silne... ale uparty, a niczém go pożyć niepodobna... Nie zapłacze choćbyś go ubił, a leżąc tak całe dnie we łzach się kąpie. Znać musiał tam kosztować lepszego bytu. Z niego nie będzie pociechy i nie wielka szkoda gdy zdechnie, jak się spodziewam...

— Ten czwarty — rzekł wreszcie wskazując kalekę z nogą strzaskaną i bezwładną — rusza się o kiju i jednéj nodze dość dobrze... a ręce to jeszcze ma silne... Iberyjczyk, zresztą niczego, usługny, wesół, tylko nie wiele umie. — Jam temu nie winien, i nie dziw zresztą, że tak pochudli — dokończył staruszek — dawno już o nas zapomniano; jeść dniami nic nie było, trochę fasoli i bobu, trochę

zdziczałych owoców lub ryby, co się kupiło w porcie za sprzedane owoce.... Woda nam zagniła i śmierdzi... doprawdy, jam nic nie winien....

Wszyscy niewolnicy, prócz Swewa, popatrzeni na Judę, któremu pilno było wyrwać się z tego okropnego więzienia. Cały zadumany wyszedł na światło dzienne i uczuł, że oddychanie powietrzem może być dobrodziejstwem.

Tak przeszli z kolei wszystkie budowy, ogrody, sad, opuszczone składy i niegdyś wspaniałe podwórce, w których dziś przytułku na noc trudno było wynaleźć. Obejrzawszy wszystko, Juda nie wiedział co robić i od czego począć, tak wiele było do czynienia. Rękami tych pięciu zgłodzonych kaleków trudno było dźwignąć zniszczone domostwa i ogrody, a Hananias nie zdawał się skłonny do szafowania groszem na tę kosztowną ruinę.

XXIII.

Cezar, wydobywszy się w końcu z Caprei, błędził po Campanii do koła Rzymu, po kilkakroć, jakśmy rzekli, zbliżał się już o kilka tysięcy kroków do Pomerium, ale orszakowi swojemu rozkazał się zawrócić i z kolei w Tusculum, w Tibur, w sąsiednich willach podmiejskich przebywał, wlokąc za sobą wszędzie Maconą i Cajuśa, którzy gasnące w nim życie śledzili okiem chciwem przyszłości.

W tym czasie spłonął Cyrk blizki Awentynu, pusty za Tyberyusza, który na igrzyska dla ludu był skąpy, i część miasta na górze téj pobudowana ze świątynią Swobody (Libertatis). Cezar przez jakąś próżność czy dziwactwo dobroczynne szkody wynikłe z pożaru sam zapłacić kazał i swoim kosztem odbudował tę część miasta, porządniej i wygodniej niż wprzód, rozszerzając ulice, dzieląc domy placami przestronniejszymi.

Ani ognia, ani zgłiszczów, ani nowego miasta nie oglądał jednak Tyberyusz blakając się jak wygnaniec. Zdaje się, że Cajusa podejrzewając o szalbierstwo poznaawszy lepiej, czy znudzony nim, myślał o wyborze innego po sobie następcy i szukał kogoś po myśli. Jakkolwiek tajemne były ich stosunki z Macronem, Cezar już o nich coś wiedział, już się czegoś domyślał, odgadywali też coś ludzie, choć ta przyjaźń dla jednych okrywała się obojętnością, dla drugich tłómaczyła miłostkami z piękną Nemią.

Nocne ich schadзки, narady, rozmowy przybierały dla niewolników pozór wesółych biesiad, do których przypuszczana żona pretoryana, przez usłużnego męża rzucona w ręce Cajusowi, mogła te spiski rozpustną spółką czynić dla nieświadomych, co się pod nią kryło.— Macron i Cajus, choć nie nie przedsiębrali, od dnia do dnia w osłabłym Tyberyuszu dopatrując oznak zbliżającej się śmierci,— przerażili się dowiadując, że przed Thrasyłem Cezar utyskiwał, jakoby nie miał kogo po sobie następcą wyznaczyć.

Syn Drusa zbyt jeszcze był młodym, Klaudiusz z którego wszyscy wyśmiewali się na dworze, zbyt starym a głupim by mógł panować, obcego rodu nie chciał naznaczać Tyberyusz, Cajusa, węża, jak go zwał, nienawidził coraz bliżej poznając, — a Macron nawet, bojąc się być odga-

dnięty, począł drżać o siebie gdy w drodze Cezar ze słodkim zagadnął go uśmiechem:

— Neviolu kochany,— obracasz się tyłem do zachodu, a nazbyt ku wschodowi poglądasz—wieszli jednak pewnie zkąd się pokaże słońce?

Drugi raz gdy w rozmowie z Caligulą wspomnieli coś o Sylli, a Cajus sobie z niego żartował...

— Będziesz miał wszystkie jego wady,— rzekł Tyberyusz,— z cnót żadnej.

Bawiąc się z wnukiem, gdy czerwone od zazdrości oko Caliguli spotkał starzec wlepione w to dziecko,— rzekł cichym głosem do niego.

— Zabijesz go, Cajus, ale ciebie zamorduje drugi...

Te półsłówka, wejrzenia, poczęły przerażać coraz bardziej Caligulę i Macrona; naradzali się, nie wiedząc co począć, czekać jeszcze czy koniec i rozwiązanie przyspieszyć? Maeron począł się radzić Heliosa o życie Cezara, Helios nie mu powiedzieć nie nmiął, Charicles śmielszy i pragnący się wodzowi przypochlebić, zaręczał że dui zostało niewiele.

Lękano się wszakże już codzień bezsilniejszego starca, i dawny strach przejmował ich na jedno jego skinienie, choć Cezar o sobie tylko myślał, czując się u schyłku.

Dawny nałóg tajenia się ze wszystkiém i dziś go nieopuszczał jeszcze, lękał się aby osłabienia

jego i zwątlenia nie odkryto; im bardziej czuł się chorym, tém mocniej pragnął siłę okazać i zdrowie. Nie tylko więc nie wstrzymywał się od jadła, napoju i rozpusty, jak mu Helios doradzał, ale coraz dłużej przesiadywał za stołem i pił z towarzyszami często do upadłego.

Naówczas kocie jego oczy zwracały się z szyderskim wyrazem na Cajusa i Macrona, uśmiech błdził po sinych wargach, a spiskowi drżeli o siebie, widząc jak codzień dla nich był słodszy.

Brakło może tylko Tyberyuszowi narzędzia, aby Macrona obalić i Cajusa się pozbyć. Ale dziecię Germanika drogie było Rzymianom, którzy przebacząc mu wiele, ojca i przyszłości nadzieję widzieli w nim tylko; Tyberyusz obawiał się gwałtowniejszego kroku, by nie przyspieszyć wybuchu, którego się domyślał—udawał ślepego. . .

Macron, choć posądzany, podnosił się słabością Tyberyusza do coraz większej władzy; Rzym widział po za nim Cajusa. Odwagał się nawet do osobistej zemsty, mimo wiedzy starca, do którego przystąpić nikt nie mógł ze skargą, i czynić załość nienawiści osobistej, posługując się do niej imieniem Cezara. Tak, bez wiedzy jego posłał Macron do Senatu delacyę na Albucillę, kobietę osławioną, która wyszła była za Satriusa, znanego

także z donosów, oskarżając ją o rozpustę i bezbożność względem Cezara (*impictas in principem*) 1).

W liście pisanym do Senatu zuchwały pretoryanin, aby skrócić procedurę i nie dopuścić uniewinnienia wyraził: że sam wybadał winnych i niewolników brał na tortury. Od Tyberyusza nie było słowa w tym przedmiocie do Senatu, ale już list Macrona stał się dostatecznym. Zamięszani w tę sprawę Domitius, Vibius i Arruntius, ludzie wysokiego rodu i wielkiej zasługi. Dwaj pięwsi już przeczuwając prędką zmianę panowania, gdyż mimo tajemnicy otaczającej go, słabość Tyberyusza była wiadomą a wiek późny i rozpusta kazały się domyślać prędkiego końca—nie spieszyli się ze śmiercią. Vibius powoli niby głodem się morzył, Domitius gotował do obrony układając inowę.

Senat patrzył przez szpary na to, że pierwszy żył zbyt długo, a drugi zbyt powolnie mowę gotował; doradzano zwłokę podobną i Arruntiusowi. Ale ten odpowiedział, że nie każdemu podoben środki przystoją.

— Żał mi—rzekł—żem dotąd żył i wśród obelg i niebezpieczeństw życia bronił, długo nienawidzony przez Sejana, dziś przez Macrona; gdy zawsze jakiś ulubieniec panować musi, zginąć wolę, niż żyć spodlonym, choć winy w sobie nie czuję. Mo-

1) Tacyt.

żebym dziś wykupił się zwłoką od umierającego starca, jakże uniknę młodego tyrana, który nastąpi po nim? Gdy mimo długiego doświadczenia i życia kolei, upojenie władzą zepsuło Tyberyusza, czegoż się można po Cajusie spodziewać, ledwie wyszłym z dzieciństwa, nieświadomym niczego a najplugawszymi karmionym przykłady, bo prowadzonym przez Macrona, gorszego nad Sejana, i wybranego na jego zgubę 1).

Wołając наконец, że nie chce dożyć przyszłości, Arruntius stworzył sobie żyły i umarł... Albucilla chciała się zabić, i raniła tylko; współników jej rozpusty senatorów, Pretora i tego Balbusa, który wymówną gębę poświęcał niepoczciwym sprawom, stając jako prawnik zawsze przeciwko niewinnym a naigrawając się z cnoty, skazano na śmierć.

Ale się już zbliżał koniec tego straszliwego dramatu i panowania; Tyberyusz konał powoli, Rzym w ciszy oczekiwania wyglądał niecierpliwie jego zgonu. Senat z każdym listem spodziewał się wieści o wschodzącej jutrzence, lepiej tusząc po następcy.

Cezar—powiada Tacyt—im bardziej słabł, tém silniejsze w sobie starał się okazywać życie, duch w nim jeszcze trwał potężny... ciało tylko zużyte

1) Tacyt Annal. VI. 48.

gnilo. rozpadało się i niszczało co chwila. Napróżno wyprawiał żarty i przy biesiadach do wesołości zachęcał, nikogo to kłamstwo, tyle go kosztujące, nie oszukało.

Z Tusculum kazał się więc znowu na brzeg morza; nie będąc już w stanie dopłynąć do Caprei chciał przynajmniej umierać patrząc zdala na szafirowe morze, w którym spoczywała ulubienica.

Na przylądku Misene stała willa, dawniej należąca do Luculla 1) patrząca, wedle słów Fedra, na Sikulskie i Tusków morze z góry wierzchołka. Tam gdzie przepychem i zbytkiem wszyscy przesadzali jedni drugich, willa Luculla gasiła jeszcze inne swą wspaniałością i bogactwem. Sławne to miejsce Lucullus wziął po Maryuszu i Cornelii matce Grachów, aby z przytulku cnoty uczynić gniazdo rozkoszy.

Do koła stały wille; Cezara dawniej, potem Augusta, w której po śmierci Antoniusza przebywał Oktawiusz, Pompejusza, Hortensiusza, Catona, Varona, Vatiusa... Z wierzchołka tej góry oglądać było można stojącą w zatoce flotę rzymską, a w niewielkiem oddaleniu od willi Luculla znajdowały się

1) Phaedrus. Fab. X, II. V.

Caesar Tiberius quum patens Neapolim
In Misenensem venisset suum,
Quae monte summo posite Luculli manu,
Prospecta Siculum, et prospicit Tuscum mare...

gmachy, ku potrzebie floty wzniesione, podziemne pisciny na olbrzymich wsparte filarach, pieczary o stu izbach ciemnych, w których niewolnicy, żołnierze i tłumy słuzebników jęczały skazane na nieoglądanie słońca i pozbawienie powietrza... Wszędzie tak obok najwymyślniejszych rozkoszy musiała w pogańskim świecie stać najstraszliwsza niewola i nędza; ale zdawało się koniecznem by ci których nie miano za ludzi nawet, padali ofiarą wybranych.

Ville te zamykały w sobie co tylko życie uprzyjemnić i rozpieścić mogło; jedne z nich budowano na zimę, inne na lato, zwracając ku słońcu lub otaczając je cieniem. Ulice platanów, jeziora, sadzawki, w których ulubione karmiono ryby, rzeki łącznie, grotty chłodne i pieczary cały dzień wygrzewające się na słońcu, portyki od północy, galerie na południe, ogrody, teatry, wszystko tam znaleźć było można, czego najwymyślniejsza zapra gnęła fantazyja 1). Zdobiono je jak cacka, wyściełano jak gniazda, chlubiło się niemi jak zasługą.

W pośród tych budowli, jedna nad drugą wspanialszych i piękniejszych, uiedaleko wieży strażniczój, która strzegła portu w Missenie, na górach i rozpadlinach skał wzniesiona błyszczała willa Luculla, nowo przyozdobiona dla Cezara. Niepokojny szukał jak zwierz przeczuwający śmierć

1) Zobacz opis willi Vatiusa, w listach Seneki. Ep. 56.

łożyska, przenosił się z miejsca na miejsce, obawiając końca, ludzi, życia, obrzydłszy drugim i sobie, zgonu wreszcie doprosić nie mogąc.

Za nim szli w ślad ci których się lękał, nienawidził a ciągnął ich za sobą — wlokący się w pokorze z pochlebstwem na ustach i nienawiścią w sercu; — tłum przygnieciony... milczący, posłuszny, stado kruków opodal krążące nad zdychającym zwierzęciem.

Gdziekolwiek przybył Tyberyusz, długo wymieszkać nie mógł, zachciewał zmiany, spodziewał się polepszenia gdzieindziej, niecierpliwił póki nie stanął, nazajutrz już tęsknił i puszczał się dalej znowu... Po Tusculum i Tibur wołał wielkim głosem Caprei, dyszący ledwie, zesłabły żądał jój powietrza i ciszy...

Zdala spojrzawszy na Rzym, z pod murów jego prawie rozkazał orszakowi zawrócić, już w Astura uczuł się chorym ciężko, ale w oczach Macrona i Cajusa dojrzawszy radości, na przekór silił się zdrowego udawać; w Circei, dokąd go potem wieziono, znów odżył trochę, a co nigdy prawie igrzyskom się nie lubił przyglądać, zażądał tu wojennych widowisk. Słowo jego było rozkazem, nocą usypano cyrk z ziemi, wyłożono marmurami ze ścian domów i świątyń zdartemi siedzenia dla Tyberyusza Augusta, postroili się wszyscy wytwornie i lud zbiegł przyglądać dawno niewidzianemu igrzysku.

Ale nie było zwierza, za którymby się uganiać mogli niewolnicy i gladyatorowie, jeden dzik tylko dał się schwycić w górach. Cezar kazał go pędzić ku sobie, aby dać dowód siły, własną go przebijając ręką. Cajus, który stał za nim, przeląkł się widząc z jakim zamachem rzucił włócznię, która wywołała oklaski, zatrząsłszy się we wnętrznościach zwierzęcia. Ale tuż za włócznią rzuconą padł Cezar na ziemię wysiłony, i gdyby go Macron z przybocznymi nie wstrzymał, byłby się w prochu cyrku tarzał. Na rozgrzanego ucztą i spoconego igrzyskiem wiatr wionął w tej chwili, i Tyberyusz powrócił do willi, jęcząc ze ściętymi zębami, zbladły, a krew kilkakroć rzuciła mu się ustami. Myślano już że skona, Cajus źle nawet już taił radość i niecierpliwość pochwycenia władzy. On i Macron patrzali po sobie szydersko się uśmiechając, śledząc oddech coraz słabnący, gasnący, ledwie dojrzany; ale Tyberyusz dźwignął się z sarkazmem w ustach i spojrział na nich.

Wstał i żył znowu — struchleli spiskowi.

— Do Caprei! do Caprei! zawołał — tam tylko żyć można. . . .

W milczeniu orszak puścił się z nim ku Misene, z kądem okręt ich przewieźć miał na wyspę. . . .

W drodze strach i przerażenie panowało na dworze Tyberyusza, nie wiedziano co począć. Macron kłął życie uparte. . . a bogi wzywał na świadectwo,

że swojeby dał za pana. Starzec widział kłamstwo i udawał że go nie rozumie, aby nie przyspieszyć śmierci.

Pochód przez Campanię był powolny i do pogrzebowego podobny, choć Cezar starał się go uczynić wesołym, kłamiąc twarzą, zmuszając do żartów i śmiechu przybocznych.

Tak przybyli do Puteolów i brzegiem prześlicznej zatoki ciągnęli ku willi Cezara, który legł znowu podróżą, choć powolną, do ostatka zębkany...

Od Circei do świątyni Serapisa. w której chwilę się dwór zatrzymał, słowa prawie z ust Tyberyusza nie słyszano, ruchami tylko dawał znać, że pragnie wesołości, twarz jego pokaleczona wrzodami, oczy krwawe, usta zapadłe, opadająca głowa, zwiastowały nadchodzącą chwilę ostatnią. Gdy Macron zbliżał się po rozkazy, Cezar dawał mu je ręką drżącą, ruchem ust niepostrzeżonym. Oczy jego zwrócone były na Caprę, gdzie chciał odżyć w wonnym powietrzu, ale przybyć tam brakło mu siły, trzeba było spocząć w Misene; czekać dnia pogodnego, by się na wyspę dostać. Jak czarowny kraj snów, stała ona przed oczyma jego w przezroczystym powietrzu i morza ametystową barwą okryta, zdając się wabić ku sobie.... Stała tuż blisko, a między nią i Cezarem śmierć już zaparła drogę....

Macron i Cajus spoglądali po sobie niespokojniejsi coraz, dwór już się zwracał ku nowemu słoń-

cu, oczekując jego wnijsia. W Caliguli widziano nie wychowanka Tyberyuszowego, ale syna bohatérskiego Germanika i ostatniéj godnéj imienia rzymianki, matrony Agryppiny, — nikt nie znał jego serca....

Pokryty zasłoną Tyberyusz spoczywając na wozie, który wolno ciągnął się brzegiem morza do willi Luculla, zbliżał się na miejsce, gdzie chwilowo miał tylko odpocząć. Gdy stanęli przed długim portykiem od podnoża gór, marmurowych kolumn, lasem wiodących na wierzchołek, potrzeba było otworzyć wóz i dźwigać chorego na ramionach, gdyż o swéj sile iść nie mógł. Uśmiech jednak zjawił się na jego ustach, a piérwszém słowem było wołanie o łaźnię i ucztę, które już nań czekały. Wniesiono go prosto do kąpieli....

Na górze, z którój cudny widok rozlegał się dookoła, pozostali tylko Charicles mający tegoż dnia powrócić do Rzymu, Macron i Cajus.... Twarz ostatniego mimo wyuczonéj obojętności wydawała najwyższe rozdrażnienie i niecierpliwość, był jak zgłodniały podrozny, któren na przyobiecana ucztę a doczekać się jej nie może.

Macron z dzikim swéj twarzy wyrazem, patrzył nań uśmiechając się, a w oczach jego znać było rachubę, która omylić nie mogła; chęć panowania nad bezsilnym i blasku tylko a nasycenia, jak sądził, pragnącym towarzyszem. Chwilę milczeli wszyscy, obawiając się jeszcze słowem zdradzić, gdy Cha-

ricles śmielszy od nich, obejrzawszy się począł po cichu. . . .

— To już ostatki! — rzekł ostrożnie — Cezar kona widocznie . . . choć niechce umierać.

Życie w nim jak olój w lampie dopaliło się do dna, knot tylko jeszcze skwierczy tłustości resztkami.

Cajus chciwie usta nastawił.

— Jesteś pewny? — zapytał.

— Albożbym mówił wątpiąc? — słowa to są śmierć niosące.

— Kiedyż? — rzekł Cajus.

— Fatum wie tylko . . . dziś . . . jutro . . . za godzinę . . . Zobaczymy go u stołu, reszty życia uczta zabierze. . . .

Macron i Cajus eicho coś z sobą szeptać poczęli, wtém szmer dał się słyszeć i niewolnicy niosący przybory do wieczerzy, poczęli się snuć w portykach.

Cezar wychodził z łaźni, Cajus śpieszył z nim dzielić triclinium.

Izba, do której wezwano starych biesiad towarzysów, przygotowawszy w niej stoły, była z obu stron otwartą i dokoła kolumnami otoczoną. Z dwóch boków jój podniesione zaślony purpurowe ukazywały w ramach szerokich drzwi, głąb' ogródów willi już kwitnącemi i wonnemi obsypanych krzewami, a w drugą stronę szerokie morze i śpiącą na nim flotę. Chociaż kilkanaście dni jeszcze dzieliły

od Kalend kwietniowych, wiosna na tém szczęśliwém wybrzeżu rozwijała się już z całą siłą i przepychem klimatu najrozkoszniejszego pod słońcem. Powietrze wonne, śpiew ptaków, zapach kwiatów, uśmiech wiosny — wszystko zachęcało do życia, odzywając się weselem.... Spokój wieczorny pocałunkiem Hespera zdał się wygładzać morze, którego niezmierne płaszczyzny tak były czyste i jasne, że w nich jak w zwierciadle odbijały się wyspy i lądy i blaski zachodu i białe willi gmachy.

Zorza zachodzącego słońca ciepłemi promieniami stroiła ten krajobraz niezmiernego wdzięku, tak uroczysty i wielki, że oczy nawet znękanym życiem ludzi, zwracały się ku niemu, by zeń trochę pokoju i nadziei zaczerpnąć.

W jadalnej izbie tak na dwie otwartéj strony, przysposobiono ucztę mającą zatrzymać biesiadników przy stołach do dnia, ucztę, która dla zniewieszczonych Rzymian ówczesnych stanowiła najważniejszą w życiu godzinę. Zwykły dwór Cezara, niewielki liczbą, znanych twarzy kółko, otoczyło Tyberyusza, którego złożono na łożu wspaniałém, sadzoném perłową macią i złotém, widać było, że ostatka sił dobywał, aby dotrzeć do końca, i niespokojnym okiem mierzył świadków, niezręcznym śmiechem aktora, pokrywając trawiącą go boleść....

Spotkał wzrok Cajusa zwrócony w siebie, badawcze oko Macrona, i domyślił się raczej niż wy-

śledził, że Charicles w ruchach jego symptomów choroby szukał.

Napróżno wesolą usiłował począć rozmowę, nie nie szło, nie było mówić o czém; Thrasyllus, Retorowie, wszyscy milczeli, nie umiejąc słów znaleźć.

Tyberyusz czuł że go badano, milczał bojąc się zdradzić głosem, usta wśród uśmiechu zaprawiały się goryczą, zadumywał długo trzymając czaszę przechyloną, z której wino i róż liście spływały na purpurową szatę. Jak cienie na polach Elizejskich przesuwaly się przed nim śliczne postacie młodzieńców i dziewcząt posługujących do stołu... a w piersi Cezara młodość ich budziła uczucie zazdrości.

Podli ci niewolnicy mieli przed sobą życie, pan świata widział śmierć tylko.

Tyberyusz po chwili wniósł aby spełnić pięćkroć pięć czasz magistralnych i wino zaprawione wonią krążyć zaczęło, on sam wypijał je żywo, jakby z niém chciał wlać w siebie nowe życie.

I wkrótce martwe jego lice, zbladłe krwią nabiegać, oczy złowrogiego poczęły nabierać blasku, trochę sił wróciło starcowi; ale to nie trwało długo, za trzecią czarą podniósł się i rzucił gwałtownie jakby poczuł w sobie żądło śmierci i opadł na łożę przysłaniając końcem szaty.

Cajus i Macron porozumieli się wejrzeniem przelotnym, ale twarze ich w téj chwili tak były, blade jak ściany białego marmuru, na których się malowały.

— *Habet!* — rzekł Cajus do towarzysza głosem tak stłumionym — że jak szmer wiatru słowa te przeleciały do uszu Macrona.

Charicles zbliżyć się chciał do Cezara, ale trwo-ga przykuła go do łoża.

Tegoż wieczora miał on odjeżdżać do Rzymu, Tyberyusz go zatrzymał tylko na biesiadę wieczorną. — Podano ostatnie napoje i miano skończywszy libacyą wstawać od stołów — Cezar zdawał się konać, tak oddech miał ciężki, przerywany, a wzrok osłupiały, i gdy szatę odrzucił, ujrzano krople potu występujące na jego czole.

Porwał się jeszcze i spark na łokciu, zwracając twarzą ku towarzyszom.

— Dla czego milczycie — rzekł głosem zmienionym — milczenie nie jest bogiem biesiady, złe z nią w parze chodzi. Czemu nie zaśpiewa chór? dla czego Priscus nie każe greckim skoczkom, wesołym nas zabawić tańcem?

Rozkaz był jeszcze wszechmocnym, ale to, co zwykle wesele budzi, napiętnowało się smutkiem... Weszli Saltadorowie i śpiewacy, pieśń się ozwała miękka, lubieżna, rozkoszna, tęskna, ale po za nią wiał jakiś głęboki smutek, drżało przerażenie jakby przeczucie zbliżającej się burzy.

Oko Cezara osłupiałe nie śledziło ruchów tańiecznic, nie zwracało się za ich biegiem, utopione w dal ciemną, zastrzegło i ścięło się bezmyślnie.

Wśród zabawy Charicles powstał aby pożegnać pana, przystąpił ku niemu, przykląkł i całując rękę drżącą i zimną, gdy ją niósł do ust, ujął tak zręcznie, by dobijającego ostatków życia pulsu namiętnie 1). Tyberyusz drgnął, odgadł myśl jego i szkliste oko zatrzymał chwilę na Greku, z groźbą zimną jak dotknięcie miecza.

— Starcze! — rzekł — ostatka sił pytasz we mnie? nie prawdaż? Boisz się pocziwy, stary mój sługo ażebyś pana nie stracił. . . . Nie bój się! żyje Cezar jeszcze i długo żyć będzie — dodał ciszej słabnącemi usty. — Nie dobrze jest nocą przebiegać pola Campanii, zostań z nami do dnia, przeciągniemy ucztę jak bywało w Caprei . . . niech Priscus także rozpocząć na nowo, niech nam dadzą wina, jadła, śpiewu i wesela. . . .

Życie krótkie . . . potrzeba go używać.

Wszyscy na te słowa zadrżeli, bo starzec ledwie się dźwigał, brakło mu tchu widocznie, lecz Priscus był posłuszny.

Wnet nowy orszak młodzieży pobiął drugą ucztę gotować, świeże przynosząc wieńce, amfory i czasze. A że mrok coraz gęstszy zelegał wnętrze sali i blask tylko dnia ostatni odbity, od morza zwierciadeł słabo oświecał triclinium, wniesiono kandelabry i lampy, spuszczo zasłony z stropów

1) Historyczne.

posypały się kwiaty i polały wonie, — rozpoczęto biesiadę na nowo....

Cezar, a za nim towarzysze nową wyleli libacyą bogom. — Charicles musiał pozostać.

— Nie radbym i chwili stracić — rzekł Cezar do niego — tyś mój stary przyjaciel i sługa, jedziesz do Rzymu, ja ciągnę do Caprei mojej, nie wiem kiedy się zobaczymy znowu.... Wiem żeś przywiązany do Cezara, używaj z nim razem.

Charicles zadrżał z trwogi; Tyberyusz obrócił się potem do Cajusa.

— I ty coś chmurny jesteś — rzekł — a wiek twój nie po temu.... Dla czego wszystko co mnie dziś otacza smutne? Jam przecie wesół i chcę by mi się śmiały oczy wasze i usta.

Ale próżne to były zachęty....

Czasze poczęły krążyć nieustanne, a choć z amethystowej pili Cezar, widać było po twarzach, że Falerus stary bił do głowy. Niepokój tylko o życie wytrzeźwiał trzech ludzi, których jedna myśl i pragnienie wiązało.

Macron, Cajus, Charicles już byli wszechwładni, a postrach trwał jeszcze, bo chmurna brew Tyberyusza marszcząc się mogła wyzwąć nową siłę w posłusznych niewolnikach Priscusa.

Ale już co chwila, mimo upojenie i udanie, twarz groźna stawała bladszą, a znaki zbliżającej się śmierci widoczniej na niej piętnowały — napróżno

wysilał się, bełkotał, uśmicheał trwając w komedyi do końca, wszystko zwiastowało ostatnią jego godzinę.

Śpiewały chory greckie, krążyły czasy, a chwila każda wiekiem zdawała się nieprzebytym.

Nareszcie Tyberyusz osunął się na poduszki i zdawał dogorywać, kilka razy zdejmował z palca pierścień, trzymał go w drżącój dłoni, jakby chciał oddać komuś, poglądając na Cajusa i Macrona, i znowu kładł na rękę....

Żaden z tych ruchów nie uszedł chciwych oczu świadków czatujących śmierci.

Słudzy naostatek wzięli go na barki i zanieśli do sypialni, dokąd trzej strażnicy powlekli się za nim niespokojni.

— Silne życie! — powtarzał Cajus ściskając usta i przez zęby cedząc wyrazy.

— Dobił się sam przecie — mówił Charicles — nie dożyje wschodu słońca.

— Czas wreszcie aby się to wszystko skończyło! — dodał Macron.

U drzwi zapuszczonych zasłoną, za któremi złożono na pół martwe ciało Tyberyusza, stanęli z uchem do ściany przyciśniętym, słuchając oddechu, szpiegując szelestu.

W izbie panowała cisza niczém nieprzerwana, ani jęku, ani westchnienia, ani głosu....

— Umarł — rzekł Cajus niecierpliwym.

— Idźmy i zobaczmy....

— A jeśli żyje ?

— To żyć przestanie — odparł chwytając zasłonę
Macron — żył dosyć !

I dźwigając drzwi silną ręką żołnierską pretoryanin wszedł śmiało do izby.

Dwóch niewolników opodał od łoża siedzieli na ziemi w milczeniu patrząc na łoże Cezara, który leżał nie dając już znaku życia. Macron zbliżył się i zwieszoną bezwładnie ujął rękę z pierścieniem — zimną była i skośniała.

Cajus z po za niego poglądał, i podany annulus, znak władzy przyjął w dłonie drżące. . . .

Ale w chwili, gdy połą szaty opadłój na ziemię, miał Macron przykryć trupiěj bladeści twarz Cezara; — zmarły podniósł głowę, otworzył oczy straszliwie i uśmiechnął się złowrogo... Cajus i Macron cofnęli się przerażeni. . . . śmierć zajrzała im w oczy.

Wódz pretoryanów jednak nie stracił przytomności.

— Dawus! — rzekł do niewolnika, który za nim stał drżący — narzucić mi poduszki na to martwe ciało....

Nie będziemy malować tēj sceny ohydnej zgonu Tyberyusza; głuche o niěj chodziły wieści po Rzymie, lecz dwaj dziejopisarze 1) podają, że dogorywający Cezar przygnieciony został poduszkami

1) Tacyt i Swetoniusz.

i uduszony wprzód nim skonał, a ręka Cajusa, przybranego syna, na gardle jego zostawiła ślad ostatniego uścisku....

Syn Germanika mścił się za ojca, matkę i brata.

Zaledwie podniesiono drzwi zasłone i spiskowi wyszli z izby, strażę i niewolnicy do koła willi zebrani jakby tylko czekali na nich, ozwali się szmerem radośnym, potem głośnemi okrzyki. Odgłos ten zwiastujący śmierć Tyberyuszową pobiegł brzegami morza, w pola Campanii, drogą Apijską potoczył się ku Rzymowi, na skrzydłach wiatru przeleciał na krańce państwa i nieopisana radość wstrzęsła milionami ludzi....

Cajus natychmiast obwołany został następcą... nikt nie wątpił, że senat musi mu dać władzę, syn Germanika miał w ręku pretoryanów i wojska. Nigdy śmierć może tak zgodną nie była powitana radością.

Koniec Tomu pierwszego.



SPIS ROZDZIAŁÓW

Tomu pierwszego.

THE HISTORY OF THE

REPUBLIC OF THE UNITED STATES

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>Str.</i>
SŁÓWKO WSTĘPNE	7

KSIĘGA I-SZA CAPREA.

I.	11
II.	21
III.	31
IV.	34
V.	41
VI.	52
VII.	64
VIII.	75
IX.	88
X.	96
XI.	114
XII.	120
XIII.	133
XIV.	147
XV.	157

	<i>Str.</i>
XVI.	173
XVII.	186
XVIII.	205
XIX.	220
XX.	234
XXI.	255
XXII.	270
XXIII.	300





Niektóre Dzieła,

wydane nakładem Księgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego, w Wilnie.

Studia Eleonory Ziemięckiej. in-8vo. 1860.

Plotkarz. Komedia w czterech Aktach, wierszem; i **Pustynia.** Ko
w jednym Akcie, wierszem. Przez Józefa Korzeniowskiego, 12. 1860.

Podróż do Włoch. Napisał Józef Kremer. Z drzeworytami. Tom 1szy i 2
wyszły z pod prasy, (Tom 3ci pod prasą). in 8vo.

Próby Nowego Dykcyonarza. Wydaje Pan Wirszajtos in 12. 1860.

Podróż Króla Stanisława Augusta do Kaniowa w roku 1787. Podług
Kazimierza Konstantego Hrabiego de Bröl-Platera, opisana przez J. L
szewskiego. in 12. 1860.

Zasady Kaznodziejstwa czyli nauka opowiadania Słowa Bożego, opar
podaniach i wzorach Pisma Świętego, Ojców Kościoła, poważnych P
i najcenniejszych Kaznodziejów polskich. Przez X. A. Lipnickiego. 2 to
8vo. 1860.

Przewodnik dla Spowiedników, dzieło ułożone przez X. J. Gauma. Z
najcenniejszych, najdoswiadczeńszych i najświętobliwszych Spowied
w Kościele i t. d. Przetłóżył z francuzkiego X. Urban Rokicki. 2 tomy
1860.

Metamorfozy. Obrazki przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy in 12. 1859.

Historia Kotka w Płocie. Przez J. I. Kraszewskiego. 12. Tom 1. 1860.

Handzia Zahornicka. Powieść przez Teod. Tom. Jeża. in 12. 1860.

Arankanla i jej mleszkańoy. Wspomnienia z podróży po Południowych
winyach rzeczypospolitej Chilijskiej. Przez Ignacego Domejkę; tłómac
z hiszpańskiego przez Jana Zamostowskiego. in 12, 1860.

Studia Historyczne Michała Balińskiego, zawierające następujące artykuły: 1.
Śniadecki i Tadeusz Czacki. — 2. Napoleon i Jan Śniadecki. — 3. Dopiełni
Pamiętników o Królowej Barbarze. — 4. Spytko z Melsztyna i ród j
opowiadanie historyczne. — 5. Zgon Żółkiewskiego w Cecorskiej wyprawie i
maik jego w Bessarabii. — 6. Paprocki i Paosza — Dopiski do Stadyów h
rycznych: I. Dopisek o Szkicu P. Karola Szajnochy pod tytułem: Bar
Radziwiłłówna II. Dopisek o sprostowaniu rodowodu Melsztyńskich. Z pi
rycinami litografowanemi: a mianowicie: portretami Jana Śniadeckiego i
deusza Czackiego, w ozdobnych medalionach w litografii Fajansa; widok
ruin pałacu Królowej Barbary w Wilnie, i 2ma widokami pomnika Hetm
Stanisława Żółkiewskiego w Bessarabii. 8. 1856.

Konkurent i Mąż. Komedia we dwóch aktach przez Józefa Korzeniowsk
12. 1860.

Listy z Podróży przez Tadeusza Padalicę. 3 tomy. 12. 1859.

Dzieje Rzymsko-Katolickiego Kościoła, w krótkich szczegółach zebrane
1859.

Dwanaścioro Cudowayoh Dzieci. Zbiór dwónastu życiorysów dla użytku
dzieci i jej kształcicieli. Przez Dra T. Triplina. 12. 1859.

Pastelnik w Proniunach. Powieść w dwóch częściach przez Ignacego Chod
Autora Obrazów Litewskich. Podania Litewskie. Serya Trzecia. 12. T. 1. 1859.

Biblioteka Raczyńskich

JK 53



JK0053